



guillaume

musso

URATUJ MNIE

Musso Guillaume

Uratuj mnie

Sam, nowojorski lekarz niepokieszony po samobójczej śmierci żony, i Juliette, młoda kobieta, której nie udało się zrealizować marzeń o karierze aktorskiej na Broadwayu, spotykają się przypadkiem tuż przed jej powrotem do Paryża. Spędzają wspólnie weekend. Bojąc się zaangażować, każde udaje kogoś, kim nie jest. Miłość przychodzi nieoczekiwanie, ale wyjazd Juliette jest przesądzony. Dziewczyna wsiada do samolotu, który eksploduje krótko po starcie, o czym przerażony Sam dowiaduje się z telewizji. Następnego dnia spotyka w parku kobietę, która oznajmia mu, że Juliette żyje. Grace ma też dla niego drugą, mniej przyjemną wiadomość - Juliette pozostało tylko kilka dni życia.

Kim jest nieznajoma i dlaczego tyle o nich wie? Skąd wzięła noszący datę następnego dnia egzemplarz gazety, informującej o cudownym ocaleniu? Może wszystko jakoś się wyjaśni, a miłość okaże się silniejsza od śmierci?

1

Dzisiejszy dzień jest pierwszym z tych, które zostały ci do przeżycia.

Anonimowy napis wyryty

na jednej z ławek w Central Parku

Styczniowy poranek w Zatoce Nowojorskiej — pora, w której dzień zyskuje przewagę nad nocą.

Przez wędrujące na północ chmury spoglądamy z wysoka na Ellis Island i na Statuę Wolności. Jest zimno, całe miasto sparaliżowała śnieżycą i wichura.

Nagle przez pułap chmur przebija się jakiś ptak o srebrzystych piórach, spada jak strzała na drapacze chmur i nie zważając na szalejącą zamieć, szybuje w stronę północnego Manhattanu, jakby gnała go jakaś tajemna siła. Z piskiem przelatuje z niesamowitą prędkością nad Greenwich Village, Times Square i Upper West Side, by w końcu wylądować na bramie wejściowej jednego z parków.

Znajdujemy się na samym końcu Morningside Park w pobliżu Uniwersytetu Columbia.

W tym czasie młoda Francuzka, Juliette Beaumont, korzysta z ostatnich chwil snu. 6:59:57 :58 :59
7:00:00

*

Kiedy rozległ się dzwonek budzika, Juliette wyciągnęła po omacku rękę w stronę nocnej szafki i zrzuciła z niej radiobudzik, który natychmiast przestał nieznośnie brzęczeć.

Przetarła oczy, wysunęła się spod kołdry, postawiła jedną stopę na lśniącym parkiecie i po kilku zaledwie krokach zaczęła nogą o dywan ślizgający się na wypastowanych klepkach. Podniosła się wściekła i złapała pośpiesznie okulary, których nie cierpi, ale bez których nie może się obejść z powodu słabego wzroku i ponieważ nie toleruje soczewek kontaktowych.

W ustawionej na schodach kolekcji lusterek odbiła się twarz młodej dwudziestoosmioletniej kobiety, okolona półdługimi włosami, i jej wesołe oczy. W odpowiedzi posłała im naburmuszoną minę, po czym spróbowała zaprowadzić jako taki porządek na głowie, przyglądając szybkimi ruchami kilka złocistych kosmyków wijących się wokół twarzy. Głęboko wycięty T-shirt i koronkowe majteczki sprawiały, że wyglądała seksownie i zarazem figlarnie.

Jednak trwało to zaledwie chwilę, bo zaraz owinęła się kocem i przycisnęła do brzucha jeszcze ciepły termofor. Ogrzewanie nie było najmocniejszą stroną mieszkania,

które od trzech miesięcy dzieliła z Colleen, swoją współlokatorką.

— 1 pomyśleć, że bulimy za to dwa tysiące dolarów czynszu! — westchnęła.

Szczelnie opatulona zeszła po schodach, a raczej zeskoczyła z nich na złączonych nogach i pchnęła biodrem drzwi do kuchni. Gruby pręgowany kot, który czatował na nią od paru dobrych minut, wskoczył w jej objęcia, potem wdrapał się na plecy i o mało nie podrapał jej szyi ostrymi pazurami.

— Ej, uważaj trochę, Jean-Camille! — krzyknęła, chwytając kota z zamiarem postawienia go na podłodze.

Kocur wyraził niezadowolenie głośnym miauknięciem, po czym zwinął się w kłębek w swoim koszyku.

Tymczasem Juliette postawiła na kuchence garnek z wodą i przekręciła włącznik radia.

...gwałtowna burza śnieżna, szalejąca od czterdziestu ośmiu godzin w Waszyngtonie i Filadelfii, przesunęła się teraz w kierunku północno-zachodnim, atakując z impetem Nowy Jork i Boston.

Manhattan obudził się tego ranka przykryty grubą warstwą śniegu, która sparaliżowała ruch i spowolniła rytm życia miasta.

Transport powietrzny został zakłócony: wszystkie samoloty startujące z lotnisk Johna Kennedy'ego i La Guardia są odwołane lub opóźnione.

Z powodu bardzo trudnych warunków drogowych władze stanowe radzą zrezygnować z poruszania się samochodami.

Metro powinno w zasadzie funkcjonować normalnie, jednak autobusy mogą kursować nieregularnie. Przed-

siębiorstwo kolejowe Amtrack zapowiada zmniejszenie liczby pociągów, a muzea, zoo i obiekty zabytkowe po raz pierwszy od siedmiu lat będą zamknięte dla zwiedzających.

Zamieć spowodowana zderzeniem wilgotnej masy powietrza znad Zatoki Meksykańskiej z masą zimnego powietrza napływającego od strony Kanady przesunie się w ciągu dnia w kierunku Nowej Anglii.

Zalecamy państwu szczególną ostrożność.

Słuchacie Radia Manhattan na fali sto jeden i cztery.

Wy poświęćcie nam dziesięć minut, my otwieramy wam okno na świat...

Juliette zadrżała, słuchając tych wiadomości. Trzeba szybko wypić coś ciepłego na rozgrzewkę.

Przeszukała kuchenne szafki, ale nie znalazła ani rozpuszczalnej kawy, ani herbaty. Trochę zawstydzona, musiała wyłowić ze zlewozmywaka torebkę z wczorajszej herbaty Colleen.

Wciąż zaspana, usiadła na parapecie i spojrzała przez szybę na otulone białym płaszczem miasto.

Zalała ją fala smutku, bo wiedziała, że pod koniec tego tygodnia będzie musiała pożegnać Manhattan.

Decyzja nie przyszła łatwo, ale trzeba było pogodzić się z tą koniecznością: o ile Juliette kochała Nowy Jork, o tyle Nowy Jork nie kochał jej. Żadne z jej marzeń i żaden ze snów nie urzeczywistniły się w tym mieście. Po skończeniu liceum przez dwa lata kontynuowała naukę w klasie humanistycznej przygotowującej do studiów wyższych, potem ukończyła Sorbonę, jednocześnie grając przez cały czas w teatrach studenckich. Następnie została przyjęta na warsztaty teatralne prowadzone przez szkołę Florenta, gdzie była jedną z najbardziej obiecują-

cych uczennic. Równocześnie biegała na różne castingi, nakręciła dwie czy trzy reklamówki i statystowała w paru filmach telewizyjnych. Jednak wszystkie te wysiłki okazały się daremne. Nie pozostało jej zatem nic innego jak zrezygnować z ambicji i przyjmować propozycje udziału w promocjach w supermarketach i innych przedsiębiorstwach, grać w sztukach wystawianych w przypadkowych miejscach z okazji czyichś urodzin i uczestniczyć w przebraniu Kubusia Puchatka w przedstawieniach organizowanych w Disneylandzie.

Jej horyzont zdawał się ograniczony, ale jeszcze nie traciła nadziei. Postanowiła wziąć byka za rogi i wyskoczyła do Stanów Zjednoczonych. Z głową pełną marzeń o Broadwayu wylądowała w Wielkim Jabłku w roli dziewczyny *au pair*. Czyż nie mówi się, że temu, kto osiągnie sukces w Nowym Jorku, wszędzie wszystko się uda?

Przez pierwszy rok opiekowała się dziećmi i miała dużo wolnego czasu, który wykorzystwała na naukę angielskiego, nabranie poprawnego akcentu i uczęszczanie na zajęcia aktorskie. Ale wszystkie przesłuchania, przez które przeszła, zakończyły się jedynie propozycjami niewielkich ról w sztukach eksperymentalnych lub awangardowych wystawianych w maleńkich teatrach, na strychach i w salkach parafialnych.

Potem miała się różnych zajęć: pracowała jako kasjerka na pół etatu w małym supermarkecie, sprzątaczką w obskurnym hotelu na Amsterdam Avenue, kelnerką w kawiarni.

Miesiąc temu postanowiła wrócić do Francji. Colleen miała się niedługo wyprowadzić i zamieszkać z przyjacielem, a jej zabrakło odwagi i chęci, by poszukać nowej

współlokatorce. Tak więc nadszedł czas, aby pogodzić się z porażką. Prowadziła ryzykowną grę i przegrała. Przez jakiś czas myślała, że jest sprytniejsza od innych, i nic sobie nie robiła z pułapek rutyny i zobowiązań. Dziś jednak czuła się zupełnie zagubiona, dezorientowana i bez pomysłów. Poza tym skończyły się oszczędności, a wiza dziewczyny *au pair* wygasła już dawno temu, co stawiało ją w sytuacji cudzoziemki przebywającej na terenie Stanów nielegalnie.

Samolot do Paryża odlatuje pojutrze, oczywiście jeśli pozwoli na to pogoda.

Dalej, mała! I przestań się nad sobą litować!

Z trudem wstała z parapetu i powędrowała w stronę łazienki. Zrzuciła koc, następnie bieliznę i wskoczyła do kabiny prysznicowej.

— Aaaaa! — wrzasnęła, czując na plecach lodowaty strumień.

Colleen kąpała się pierwsza i nie zostawiła ani kropli gorącej wody.

Niezbyt to miłe, pomyślała Juliette.

Mycie się w zimnej wodzie było wprawdzie torturą, ale niezdolna do chowania urazy, szybko znalazła usprawiedliwienie dla przyjaciółki: Colleen kończyła wspaniałe studia prawnicze i tego dnia szła na spotkanie w sprawie pracy do znanej w mieście kancelarii.

Choć Juliette nie miała skłonności do narcyzmu, tego ranka stała przed lustrem trochę dłużej niż zwykle. Coraz częściej dręczyło ją pytanie: Czy jestem jeszcze młoda?

Skończyła właśnie dwadzieścia osiem lat. Oczywiście, że jest jeszcze młoda, ale musiała przyznać, że to nie to samo co mieć dwadzieścia lat.

Suszając włosy, podeszła do lustra, przyjrzała się swojej twarzy i w kącikach oczu zauważyła drobniutkie zmarszczki.

Zawód aktorki, wystarczająco trudny dla mężczyzn, był jeszcze trudniejszy dla kobiet: one nie mogły pozwolić sobie na najmniejszą niedoskonałość w wyglądzie, podczas gdy mężczyznom dodawała ona uroku i charakteru, co zawsze ją denerwowało.

Zrobiła krok w tył. Jej piersi były nadal bardzo ładne, choć może nie trzymały się tak wysoko jak dwa lata temu.

Ależ skąd! Tak ci się tylko wydaje.

Juliette nigdy nie miała zamiaru poddawać swojego ciała jakimkolwiek zabiegom „ulepszającym”: wzmacniać uśmiech kolagenem, zacierać zmarszczki na czole zastrzykami z botuliny, poprawiać kształt kości policzkowych, fundować sobie dołek w brodzie lub nowy biust... Jeśli ktoś uznał to za naiwność, trudno. Ona wolała siebie taką, jaką była: naturalną, wrażliwą i marzycielską.

Prawdziwy problem polegał na tym, że straciła pewność siebie. Stopniowo musiała porzucić wszystkie nadzieje: że zostanie aktorką, że spotka wielką miłość. Jeszcze trzy lata temu myślała, że wszystko jest możliwe; może być Julią Roberts albo Juliette Binoche. Potem zmęczyła ją codzienność. Wszystkie zarobione pieniądze pakowała w czynsz. Nie pamiętała już, kiedy kupiła sobie jakąś kieckę, a jadła najczęściej ravioli z puszki i makaron.

Nie stała się ani Julią Roberts, ani Juliette Binoche. Za pięć dolarów za godzinę serwowała cappuccino w kawiarni, a ponieważ nie wystarczało to na opłaty za mieszkanie, w weekendy miała się różnych innych zajęć.

W myślach nadal pytała lusterko: Czy mogę jeszcze kogoś oczarować? Wzbudzić w kimś pożądanie?

Bez wątpienia — ale jak długo jeszcze?

Patrząc sobie prosto w oczy, rzuciła na głos ostrzeżenie:

— Niedługo przyjdzie taki dzień, że żaden mężczyzna się za tobą nie obejrzy...

Póki co, ubieraj się szybko, jeśli nie chcesz się spóźnić.

Wciągnęła rajstopy i dwie pary skarpetek, czarne džinsy, koszulę w paski, gruby sweter i blezer z supelkowej włóczki.

Rzuciła okiem na zegar i wpadła w panikę, widząc, która jest godzina. Lepiej się pospieszyć. Szef nie jest taki słodki, i nawet jeśli to ostatni dzień jej pracy, niepogoda nie może usprawiedliwić spóźnienia.

Zbiegła ze schodów, łapiąc z wieszaka czapkę i szalik i zatrzaskując za sobą drzwi tak, by nie zgilotynować nimi kota, nieustraszonego Jeana-Camille'a, który zwabiony zapachem śniegu, wystawił nos na zewnątrz.

Kiedy z kolei ona wystawiła na dwór swój nos, omiół ją lodowaty podmuch. Nigdy jeszcze nie widziała tak spokojnego Nowego Jorku.

W ciągu paru godzin Manhattan zamienił się w gigantyczną stację sportów zimowych. Śnieg nadawał ulicom metropolii widmowy wygląd i paraliżował ruch. Na chodnikach i skrzyżowaniach utworzyły się wielkie zaspę. Po ulicach, zazwyczaj hałaśliwych i zatłoczonych, posuwały się tylko terenowe samochody z napędem na cztery koła, kilka żółtych taksówek i nieliczni przechodnie, opatuleni, jakby wybierali się na narty.

Odnajdując na moment zapach dzieciństwa, Juliette otworzyła usta i złapała w nie parę płatków śniegu. O mało nie upadła i dla utrzymania równowagi rozpostarła szeroko

ramiona. Na szczęście stacja metra była niedaleko. Wystarczy uważać, żeby się nie pośliz...

Za późno. Zanim zdążyła dokończyć, runęła jak długa i zaryła nosem w śnieg.

Obok przeszli dwaj studenci, nie udzielając jej pomocy i śmiejąc się złośliwie. Juliette poczuła się upokorzona i była bliska płaczu.

Zdecydowanie ten dzień nie zaczął się najlepiej.

2

A my nadal jesteśmy ze sobą złączeni, Ona na wpół żywa, a ja na wpół martwy.

Victor Hugo

Parę kilometrów stąd, trochę dalej na południe, potężny land-rover przejeżdżał przez opustoszały parking przy cmentarzu na Brooklyn Hill.

Plastikowa karta umieszczona w narożniku przedniej szyby pojazdu zawierała informację o nazwisku i zawodzie właściciela:

Doktor Sam Galloway szpital Świętego Mateusza Nowy Jork

Samochód zatrzymał się w pobliżu wejścia na cmentarz. Mężczyzna, który z niego wysiadł, mógł mieć około trzydziestki. Był dobrze zbudowany, miał na sobie płaszcz, a pod spodem doskonale skrojony garnitur. Wyglądał solidnie i elegancko, ale jego spojrzenie — dziwne z powodu oczu, z których jedno było niebieskie, a drugie zielone — zasnuwała mgiełka melancholii.

Czując mroźne i szczypiące powietrze, Sam Galloway zawiązał mocniej szalik i dla rozgrzewki chuchnął w ręce. Zrobił kilka kroków po śniegu w stronę cmentarnej bramy. O tej porze była jeszcze zamknięta, ale dzięki zeszłorocznej darowiźnie dla cmentarza Sam uzyskał prawo do posiadania własnego klucza.

Od roku przychodził tu regularnie raz w tygodniu, zawsze rano, przed udaniem się do szpitala. Ten rytuał był dla niego jak narkotyk.

To jedyny sposób, żeby pobyć z nią jeszcze trochę...

Otworzył małą żeliwną furtkę, którą zazwyczaj wchodził stróż, i włączył oświetlenie, po czym machinalnie skierował kroki między alejki.

Był to obszerny cmentarz położony na pagórkowatym terenie przypominającym park. Latem ludzie przyjeżdżali tu nacieszyć się widokiem różnych gatunków drzew i pospacerować cienistymi alejkami. Jednak tego ranka najcichszy świergot ptaka i żaden ruch nie zakłócały ciszy tego miejsca, poza śniegiem cicho tworzącym zaspę.

Po przejściu około trzystu metrów Sam dotarł do grobu swojej żony.

Śnieg dokładnie przykrył kamień nagrobkowy z różowego granitu. Rękawem płaszcza Sam oczyścił jego górną część, odsłaniając napis:

Federico, Galloway (1974—2004) Spoczywa tu na wieki

a nad nim zdjęcie trzydziestoletniej kobiety o ciemnych włosach upiętych w kok i spojrzeniu uciekającym przed obiektywem aparatu.

Nieuchwytna.

— Dzień dobry — powiedział cicho. — Zimny dziś mamy ranek, prawda?

Od kiedy umarła rok temu, Sam zwykł rozmawiać z Federicą, jakby nadal żyła.

Tymczasem nie miał w sobie nic z osoby nawiedzanej. Nie wierzył ani w Boga, ani w życie pozagrobowe. Prawdę mówiąc, wierzył w niewiele rzeczy poza nauką medyczną. Był doskonałym pediatrą, który — w powszechnym mniemaniu — okazywał wiele współczucia swoim małym pacjentom. Mimo młodego wieku opublikował już w poważnych pismach medycznych liczne artykuły i otrzymywał wiele interesujących propozycji współpracy od różnych szacownych instytucji.

Sam zrobił niedawno specjalizację z jednej z dziedzin psychiatrii, która wychodzi z założenia, że nawet osoby dotknięte najstraszliwszą tragedią mogą odnaleźć siły i odbudować swoje życie, zamiast poddawać się chorobie i pogrążyć w rozpacz. Część jego pracy polegała zatem na naprawianiu najpoważniejszych urazów psychicznych, którym ulegały dzieci i które spowodowane były chorobą, agresją, gwałtem oraz przedwczesną śmiercią bliskich osób.

Jednak o ile był dobry w udzielaniu pomocy pacjentom w przewyciężaniu cierpienia i odzyskiwaniu panowania nad sobą, o tyle wydawało się, że wobec siebie nie potrafił zastosować rad, jakie im dawał. Z pewnością dlatego, że niedawna śmierć żony zupełnie go załamała.

Historia jego związku z Federicą była dość skomplikowana. Znali się od bardzo wczesnej młodości i oby-

dwoje dorastali w Bedford-Stuyvesant, zakazanej dzielnicy Brooklynu, która swoją złą sławę zawdzięczała handlowi narkotykami i rekordowej liczbie zabójstw.

Kiedy Federicą miała sześć lat, jej pochodzący z Kolumbii rodzice opuścili ulice Medellin, nieświadomi tego, że zamieniają jedno piekło na inne. Zaledwie rok po przybyciu do Ameryki ojca dosięgła kula zabłąkana podczas jakiejś strzelaniny między rywalizującymi dzielnicowymi gangami. Federicą została więc sama z matką, która stopniowo wpadła w sidła alkoholizmu, i narkotyków, zaczęła chorować.

Dziewczynka chodziła do obskurnej szkoły, której budynek znajdował się w samym środku wysypiska i złomowiska spalonych samochodów. Nie było tam czym oddychać i panowała napięta atmosfera, a na rogach ulic wystawiali dealerzy zawsze gotowi do usług.

W wieku jedenastu lat, przebrana za chłopca, sama odprzedawała narkotyki w jednym podejrzanym barze na Bushwick Avenue. A działało się to w Brooklynie lat osiemdziesiątych i było jedynym sposobem na zdobycie działki potrzebnej jej matce. Zresztą, to właśnie matka nauczyła Federicę podstawowych reguł dealerki: nigdy nie oddawać towaru przed zainkasowaniem od kupującego forsy.

W college'u poznała dwóch młodszych od siebie chłopaków, którzy wydawali się inni od pozostałych: Sama Gallowaya i Shake'a Powella. Sam, klasowy intelektualista, zawsze z książką w ręku, samotnik wychowywany

przez babcię, był jedynym białym w całej szkole, co przysparzało mu wielu wrogów, bo do tej szkoły chodzili głównie Afroamerykanie.

Natomiast Shake był istnym żywiołem. W wieku trzynastu lat był równie wysoki i umięśniony jak większość dorosłych mieszkających w dzielnicy, ale pod tym wyglądem złego chłopaka skrywał wrażliwą duszę.

We troje jednoczyli siły niezbędne do przeżycia w szemranym środowisku. Wzajemna pomoc i przyjaźń zrodziła się z tego, co ich różniło, i każdy odnajdował równowagę dzięki pozostałym. Kolumbijka, biały i czarny: serce, inteligencja i siła.

W miarę jak dorastali, starali się trzymać możliwie najdalej od awantur w dzielnicy. Widzieli spustoszenia, jakie czyniły w ich otoczeniu twarde narkotyki, i nie mieli ochoty po nie sięgać. Sam i Federica nie wyobrażali sobie nawet, że pewnego dnia wydostaną się z tego szamba, w którym każdego dnia życie ludzkie wisiało na włosku. Wszechobecne ryzyko jego utraty nie zachęcało bynajmniej do snucia dalekosiężnych planów. Nie mieli zatem żadnych konkretnych ambicji, bo nie miał ich nikt wokół nich.

A jednak wbrew wszelkim oczekiwaniom i dzięki splotowi okoliczności wydostali się z tego bagna oboje. Zostając lekarzem, Sam „przeciągnął” przyjaciółkę z dzieciństwa do swojego otoczenia i rzecz jasna wkrótce się z nią ożenił.

Na cmentarzu śnieg nadal padał wielkimi płatkami. Sam nie odrywał wzroku od fotografii żony. Na tym zdjęciu Federica miała wbity w kok długi pędzel, a na

sobie fartuch, który wkładała zawsze, gdy zabierała się do malowania. Zdjęcie zrobił Sam. Było trochę nieostre. Nic dziwnego: trudno było uchwycić Federicę nieruchomą.

W szpitalu nikt nie wiedział, skąd Sam pochodzi, a on nigdy na ten temat nie mówił. Nawet kiedy żył z Federicą, rzadko powracali w rozmowach do świata, który udało się im opuścić. Należy dodać, że komunikowanie się nie było najmocniejszą stroną jego żony. Dla ochrony przed mroczną aurą swojego dzieciństwa, dzięki malowaniu bardzo wcześnie stworzyła sobie własny świat, który odgradzał ją od wszystkiego. I to tak grubym murem, że jeszcze długo po wyprowadzce z Bed-Stuy nigdy naprawdę nie opuściła gardy. Sam postanowił, że uda mu się ją z tego „wyleczyć”, tak samo jak wyleczył wielu pacjentów. Ale sprawy potoczyły się inaczej. W miesiącach poprzedzających śmierć Federica coraz częściej zaszywała się w swoim świecie i zamykała w milczeniu.

W ten sposób jeszcze bardziej się od siebie oddalili.

Trwało to do pamiętnego wieczoru, kiedy otwierając drzwi do domu, młody lekarz odkrył, że żona postanowiła zrezygnować z życia, które stało się dla niej nie do zniesienia.

Wpadł w otępienie. Federica nigdy nie wysyłała sygnałów, które zapowiadałyby, że zamierza ze sobą skończyć. Pamiętał nawet, że ostatnio wydawała się spokojniejsza. Teraz rozumiał, że była spokojna jedynie dlatego, że podjęła już decyzję i w pewnym sensie zaakceptowała takie wyjście jako ostateczne wyzwolenie.

Sam przeszedł przez wszystkie stadia: rozpacz, wstyd, bunt... Nie było dnia, żeby nie zadawał sobie pytania:

Co powinienem był zrobić, a czego nie zrobiłem?

Dreńczęce go poczucie winy nie pozwalało zakończyć żałoby. Nie mogło być mowy o tym, by „odbudował swoje życie”. Nadal nosił obrączkę, pracował siedemdziesiąt godzin w tygodniu i często spędzał w szpitalu kilka nocy z rzędu.

Zdarzały się chwile, w których czuł złość do żony i zarzucał jej, że tak zwyczajnie odeszła, niczego mu nie zostawiając: żadnych słów pożegnania, żadnych wyjaśnień. Nie umiał sobie wytłumaczyć, co doprowadziło ją do tego ostatecznego kroku, tak osobistego i intymnego. Ale tak to już było. Bywają pytania, które pozostają bez odpowiedzi i trzeba się z tym pogodzić.

Oczywiście w głębi duszy wiedział, że żona tak naprawdę nigdy nie wyleczyła się ze swojego dzieciństwa. I nigdy tak naprawdę nie wyprowadziła się z blokowisk w Bed-Stuy, otoczona gwałtem, strachem i odłamkami szkła z ampulek po narkotykach.

Niektóre rany nie odnawiają się, ale nie można ich również całkowicie wyleczyć. Musiał się z tym pogodzić, nawet jeśli każdego dnia swoim pacjentom mówił zupełnie coś innego.

W głębi cmentarza gałąź jakiegoś drzewa złamała się pod ciężarem śniegu.

Sam zapalił papierosa i jak co tydzień opowiedział żonie o najważniejszych wydarzeniach ostatnich dni.

Po chwili przestał mówić. Wystarczało mu bycie z nią i ze wspomnieniami. Lodowate zimno ścinało mu twarz.

Dobrze czuł się w otoczeniu wirującego śniegu, którego płatki przyczepiały się do włosów i zarostu, bo był obok niej.

Czasami w nocy, po wyczerpującym dyżurze, odbierał dziwne doznania zmysłowe bliskie halucynacji: zdawało mu się, że słyszy głos Federiki i że widzi ją w drzwiach pokoju lub na szpitalnym korytarzu. Wiedział dobrze, że to wszystko jest nierealne, ale przyzwyczał się uważać te wizje za sposób obcowania z żoną.

Kiedy na dobre zrobiło mu się zimno, Sam postanowił iść do samochodu, jednak po przejściu kilku kroków nagle zawrócił.

— Już dawno chciałem ci o czymś powiedzieć, Federico...

Głos mu się załamał.

— O czymś, czego ci nigdy nie wyznałem... czego nie wyznałem nikomu...

Przerwał na moment, jakby nie był jeszcze pewien, czy chce kontynuować tę spowiedź.

Czy ukochanej osobie należy o wszystkim mówić? Sądził, że nie. A jednak ciągnął:

— Nigdy ci o tym nie mówiłem, bo... jeśli naprawdę jesteś gdzieś tam w górze, z pewnością dobrze o tym wiesz.

Nigdy dotąd nie czuł obecności żony tak intensywnie jak tego ranka. Może z powodu nierealnego pejzażu, całej tej bieli, która otaczała go zewsząd i sprawiała wrażenie, jakby znalazł się gdzieś w niebie.

Mówił więc długo, bez przerw, i wreszcie wyjawiał jej to, co od tylu lat tkwiło w jego sercu.

Nie było to przyznanie się do zdrady małżeńskiej ani

nie dotyczyło żadnego wspólnego problemu. Nie chodziło również o pieniądze. To było coś innego. Coś o wiele poważniejszego.

Kiedy skończył, poczuł wewnętrzną pustkę i ogromne zmęczenie. Zanim odszedł, resztką sił wyszeptał: — Mam tylko nadzieję, że nadal mnie kochasz...

3

Uratować komuś życie to tak, jak się zakochać: nie ma silniejszego narkotyku. Potem przez kilka dni chodzimy po ulicach i wszystko, co widzimy, wydaje nam się zmienione. Wydaje się nam, że staliśmy się nieśmiertelni, jakbyśmy uratowali własne życie.

Fragment z filmu *Ciemna strona miasta* Martina Scorsese

Szpital Świętego Mateusza godzina 17.15

Jak każdego wieczoru Sam skończył obchód, zatrzymując się na dłużej w dwóch salach. Zawsze zostawiał sobie tych chorych na koniec, może dlatego, że zajmując się nimi od dawna, traktował ich po trosze — nie przyznając się do tego otwarcie — jak członków rodziny.

Cichutko uchylił drzwi do sali numer czterysta trzy na oddziale onkologicznym dla dzieci.

— Dobry wieczór, Angelo.

— Dobry wieczór, doktorze Galloway.

Na jedynym w tej sali łóżku siedziała po turecku czter-

nastoletnia dziewczynka, chuda, prawie przezroczysta. Na kolanach trzymała laptopa w cukierkowym kolorze.

— Co dziś nowego?

Odrobinę ironicznym tonem Angela opowiedziała mu o swoim dniu. Często zachowywała się arogancko, bo nie znosiła współczucia i uzalania się nad jej chorobą. Nie miała rodziny. Zaraz po urodzeniu zostawiono ją na porodówce w małej miejscowości w New Jersey. Była dzieckiem zbuntowanym, niezbyt towarzyskim, ciągle przenoszonym z ognisk opiekuńczych do rodzin zastępczych, i dużo czasu upłynęło, zanim Sam zdobył jej zaufanie. Ponieważ wielokrotnie leżała w szpitalu, Sam prosił ją czasami, żeby pocieszała młodsze dzieci, które czekało leczenie lub operacja. Zawsze kiedy widział, jak się śmieje, z trudem uświadamiał sobie fakt, że jej krew atakowana jest przez komórki rakowe.

Dziewczynka chorowała na białaczkę. Dwukrotnie przeszczepiano jej szpik, ale za każdym razem następował odrzut.

— Czy zastanowiłaś się nad tym, co ci powiedziałem?

— Nad nową operacją?

— Tak.

Choroba była obecnie w takim stadium, że jeśli nie spróbuje się jeszcze jednego przeszczepu, komórki rakowe zaatakują wątrobę oraz śledzionę i nie można będzie jej uratować.

— Nie wiem, czy to wytrzymam, panie doktorze. Czy będę musiała znów przejść chemioterapię?

— Niestety tak. Poza tym trzeba będzie przenieść cię do sterylnej sali.

Niektórzy koledzy Sama uważali, że jego starania na

nic się nie zdadzą i że najlepiej pozwolić Angeli spokojnie przeżyć czas, który jej pozostał. Organizm był już tak wycieńczony, że prawdopodobieństwo powodzenia kolejnej operacji można było ocenić najwyżej na pięć procent. Mimo to Sam, który opiekował się nią troskliwie, nie dopuszczał do siebie myśli, że może ją stracić.

Nawet jeśli istnieje jedna szansa na milion, wykorzystam ją, myślał.

— Muszę się jeszcze zastanowić, panie doktorze.

— Oczywiście. Nie ma pośpiechu. To ty decydujesz. Należało obchodzić się z nią delikatnie. Angela była

wprawdzie bardzo dzielna, ale również niezwykle wrażliwa.

— Niech pan poczeka!

— Czekam.

Dziewczynka kliknęła na ekran komputera i włączyła drukarkę, z której po chwili wysunął się bardzo dziwny rysunek. Żeby odwrócić uwagę od choroby, Sam namówił ją na różne zajęcia artystyczne i z czasem malowanie i rysowanie pomagały Angeli lepiej znosić smutek codzienności. Spojrzała z zadowoleniem na swoje dzieło, po czym podała je Samowi.

— Proszę. Narysowałam to specjalnie dla pana. Wziął kartkę i popatrzył na nią zdziwiony. Grube, czerwone i żółte zakrętaszy przypominały mu malarstwo Federiki. Był prawie pewien, że po raz pierwszy Angela namalowała coś niefiguratywnego. Już miał ją spytać, co przedstawia rysunek, ale zreflektował się, przypomniawszy sobie, jak bardzo żona nie cierpiała tego rodzaju pytań.

— Dziękuję, powieszę w moim gabinecie.

Złożył kartkę i schował do kieszeni fartucha. Powstrzymał się od pochwał, bo dobrze wiedział, że Angela ich nie lubi.

— Śpij dobrze — powiedział tylko, kierując się do wyjścia.

— Ja zdechnę, prawda?

Zatrzymał się w progu i spojrzał w jej stronę. Angela spytała ponownie:

— Jeśli nie zrobi mi się tego cholernego przeszczepu, to zdechnę?

Podszedł do niej powoli i usiadł na brzegu łóżka. Patrzyła na niego z mieszaniną bezczelności i strachu, on jednak wiedział, że w tym wyzywającym spojrzeniu kryje się przerażenie.

— To prawda, możesz umrzeć — przyznał. Odczekał kilka sekund, po czym dodał:

— Ale to się nie zdarzy. A potem:

— Obiecuję ci to.

*

Bar kawowy Starbucks — Piąta Aleja, godzina 16.59

— Poproszę duże cappuccino i babeczkę z jagodami.

— Już podaję.

Realizując zamówienie, Juliette spojrzała przez szybę. Nawet jeśli od jakiegoś czasu śnieg nie padał, miasto spowijało zimno i wiatr.

— Proszę bardzo.

— Dziękuję.

Rzuciła okiem na zegar wiszący na ścianie: jeszcze minuta i jej zmiana się skończy.

— Espresso macchiato i butelkę wody Evian.

— Chwileczkę.

Ostatnia klientka, ostatni dzień pracy, a za dwa dni żegnaj, Nowy Jorku.

Podawała napoje nieskazitelnej „pracującej dziewczynie”, która odwróciła się na pięcie i nawet jej nie podziękowała.

Kiedy Juliette widziała takie dziewczyny na ulicy, patrzyła na nie z ciekawością i zazdrością. Jak tu wygrać z kobietami o smukłej sylwetce, ubranymi jak z żurnala, które doskonale znały wszystkie reguły gry i wszystkie sekretne kody?

One mają to wszystko, czego ja nie mam, myślała. Są mądre, wysportowane, pewne siebie... Potrafią mówić, nie tracąc rezonu, podkreślić swoją wartość, zręcznie prowadzić grę...

A zwłaszcza były *financially secure*, czyli miały dobrą pracę i adekwatne do niej zarobki.

Przeszła do szatni, zdjęła służbowy mundur, następnie wróciła do dużej sali trochę zawiedziona, że żadna z dziewczyn należących do personelu nie życzy jej przed wyjazdem *good luck*.

Pomachała w stronę kontuaru, ale odpowiedziano jej niedbałym machnięciem. Ciągle to samo, jakby była niewidzialna.

Po raz ostatni przeszła przez długą salę. Już miała wychodzić, kiedy jakiś głos przy wejściu zawołał do niej po francusku:

— *Mademoiselle!*

Juliette spojrzała w stronę mężczyzny o szpakowatych włosach i starannie przystrzyżonej brodzie, siedzącego przy stoliku pod oknem. Nawet jeśli był stary, jego wygląd wskazywał, że jest silny. Szerokie ramiona i wysoki wzrost sprawiały, że kawiarniane meble wydawały się małe. Juliette знаła tego klienta. Przychodził tu od czasu do czasu, najczęściej bardzo późnym wieczorem. Kilka razy, zwłaszcza pod nieobecność szefa, pozwoliła mu wprowadzić psa, czarnego doga noszącego dziwne imię Cujo.

— Przychodziłem się z panią pożegnać, Juliette. Jeśli dobrze zrozumiałem, wkrótce wraca pani do Francji.

— Skąd pan wie?

— Słyszałem — odparł lakonicznie.

Ten człowiek budził zaufanie i jednocześnie obawę. To było bardzo dziwne.

— Pozwoliłem sobie zamówić dla pani grzany cydr — powiedział, podając jej szklaneczkę napoju. Juliette zatkało z wrażenia. Mężczyzna zdawał się dobrze ją znać, podczas gdy ona nigdy z nim nie rozmawiała. Za to teraz stała obok niego i czuła się jak otwarta książka.

— Proszę na chwilę usiąść — zaproponował. Zawahała się przez moment, nie spuszczając z niego wzroku, ale w jego oczach nie dostrzegła żadnego niebezpieczeństwa. Tylko zmęczenie. Poza tym jakiś intensywny płomień, którego nie umiała określić.

W końcu zdecydowała się usiąść naprzeciwko niego i upiła łyk cydru.

Mężczyzna widział, że pod hałaśliwym sposobem bycia dziewczyny kryje się osoba wrażliwa i niepewna.

Za nic nie chciałby okazać się nachalny. Miał jednak mało czasu. Jego życie było skomplikowane, dni długie,

a zajęcia niezbyt przyjemne. Postanowił zatem przejść do sedna.

— W przeciwieństwie do tego, co pani myśli, pani życie nie jest porażką...

— Dlaczego pan mi to mówi?

— Dlatego że każdego ranka sprawdza pani swój wygląd przed lustrem.

Zdziwiona Juliette odsunęła się trochę.

— Skąd pan wie, że...

Ale mężczyzna nie dał jej dokończyć:

— To miasto jest okrutne.

— To prawda — przyznała Juliette. — Każdy biegnie w swoją stronę, nie przejmując się innymi.

Ludzie bez przerwy się o siebie ocierają, a jednak czują się bardzo samotni.

— Tak to już jest — westchnął, rozkładając szeroko ręce. — Świat jest, jaki jest, a nie taki, jaki chcielibyśmy, żeby był: sprawiedliwy świat, w którym ludziom przytrafiają się dobre rzeczy...

Mężczyzna milczał przez parę sekund, po czym dodał:

— Ale pani jest kimś dobrym, Juliette. Któregoś dnia widziałem, jak obsłużyła pani klienta, który nie miał pieniędzy, dobrze wiedząc, że należność za jego zamówienie zostanie odliczona od pani wynagrodzenia...

— To nic wielkiego — stwierdziła Juliette, wzruszając ramionami.

— To nic wielkiego i jednocześnie bardzo dużo. Nic nie jest bez znaczenia, ale nie zawsze ocenia się właściwie skutki swoich czynów.

— Po co pan mi to wszystko mówi?

— Bo chcę, by przed wyjazdem była pani tego świadoma.

— Przed powrotem do Francji?

— Proszę o siebie dbać, Juliette — rzucił, wstając, i właściwie nie odpowiedział na jej pytanie.

— Niech pan zaczeka! — krzyknęła.

Nie wiedząc dlaczego, koniecznie chciała go zatrzymać. Pobiegła za nim, ale on wyszedł już z kawiarni.

Przy obrotowych drzwiach leżało jeszcze sporo śniegu. Po raz trzeci tego dnia Juliette się pośliznęła. Zachwiała się do tyłu, ale zdążyła złapać za rękaw mężczyzny, który z tacą w ręku szukał wolnego miejsca. Niestety, szarpnęła tak mocno, że pociągnęła go na podłogę, gdzie wylądowali, oblani gorącym cappuccino.

Oto cała ja! Wieczna niezdara, która chciałaby mieć wdzięk Audrey Hepburn, a która bez przerwy ląduje nosem w rynsztoku.

Czerwona ze wstydu podniosła się szybko, przeprosiła wściekłego klienta, grożącego pozwaniem do sądu, i wypadła z kawiarni.

Manhattan znów się ożywił. Miasto na powrót zamieniało się w stresujące mrowisko. Tuż przed kawiarnią odgłos maszyny do odśnieżania mieszał się z hałasem ulicznego ruchu. Juliette włożyła okulary, przeczesła wzrokiem aleję w kierunku północnym, następnie spojrzała w stronę *downtown*. Ale mężczyzna zniknął.

*

W tej samej chwili Sam wsiadł do szpitalnej windy, wjechał na ósme piętro i zatrzymał się przed drzwiami sali numer osiemset osiem.

— Dobry wieczór, Leonardzie.

— Niech pan wejdzie, doktorze.

Ostatnia osoba, którą Sam odwiedzał tego wieczoru, nie była właściwie jego pacjentem. Leonard McQueen był jednym z najstarszych rezydentów szpitala Świętego Mateusza. Sam poznał go zeszłego lata podczas nocnego dyżuru. Nie mogąc zasnąć, stary McQueen postanowił wyjść na taras znajdujący się na dachu szpitala i wypalić papierosa. Oczywiście było to surowo zabronione. Tym bardziej że McQueen miał raka płuc w końcowym stadium. Jednak kiedy Sam natknął się na niego na dachu, nie zbeształ go jak niesforne go dziecka. Po prostu usiadł obok niego pod pretekstem odetchnięcia rześkim wieczornym powietrzem i przez chwilę rozmawiali. Od tej pory Sam odwiedzał go regularnie, pytając o zdrowie, i w ten sposób zrodziła się między nimi więź oparta na wzajemnym szacunku.

— No, to jak się pan dzisiaj czuje?

McQueen uniósł się na łóżku i trochę impertynenckim tonem odparł:

— Wie pan co, doktorze? Człowiek nigdy nie czuje się lepiej niż wtedy, gdy stoi nad grobem.

— To nie jest jeszcze to stadium, Leonardzie.

— Niech się pan nie wysila, doktorze. Wiem dobrze, że mój koniec się zbliża.

I jakby na potwierdzenie słuszności swoich słów zaczął długo kasłać, co rzeczywiście mogło świadczyć o pogorszeniu się stanu jego zdrowia.

Sam pomógł mu usadowić się na wózku, który przesunął w stronę okna.

McQueen przestał kasłać i jak zahipnotyzowany patrzył na leżące w dole miasto. Budynek szpitala znajdował się nad East River, skąd rozciągał się widok na siedzibę ONZ zbudowaną z marmuru, szkła i stali.

— No i co, doktorze? Nadal żyje pan w stanie wolnym?

— Nadal jestem wdowcem, Leonardzie, i przyzna pan, że to nie to samo.

— Wie pan, czego panu potrzeba? Małej partyjki z nogami w górze. Sądzę, że takie coś ujęłoby panu trochę powagi. W pana wieku nie jest wskazane zbyt rzadkie używanie własnych urządzeń, jeśli rozumie pan, co mam na myśli...

Sam nie mógł się nie uśmiechnąć.

— Wiem, o czym pan myśli, i nie musi mi pan tego rysować.

— Mówię poważnie, doktorze. Przydałby się ktoś w pana życiu.

Sam westchnął.

— Jeszcze na to za wcześnie. Przez pamięć o Federice...

McQueen nie dał mu jednak dokończyć.

— Z całym szacunkiem, ale nie mogę już tego słuchać. Byłem trzykrotnie żonaty i mogę pana zapewnić, że jeśli raz w życiu szczerze pan kogoś kochał, to może się to panu zdarzyć ponownie.

— Czy ja wiem...

Staruszek wyciągnął rękę w stronę widocznego w dali miejskiego mrowiska.

— Nie powie mi pan chyba, że wśród milionów ludzi na Manhattanie nie znajdzie się ktoś, kogo mógłby pan pokochać równie mocno jak swoją żonę.

— Myślę, że to nie jest takie proste, Leonardzie.

— A ja myślę, że pan sam wszystko komplikuje, doktorze. Gdybym był w pana wieku i miał pańskie zdrowie, nie spędzałbym wieczorów na pogaduszkach z takim starym człowiekiem jak ja.

— W takim razie pożegnam pana, Leonardzie.

— Zanim pan sobie pójdzie, chcę panu coś dać — powiedział staruszek, grzebiąc w kieszeni, z której wyciągnął pęk kluczy. — Kiedy przyjdzie panu ochota, niech pan wstąpi do mojego mieszkania. Moja piwniczka jest pełna wybornych win, które jak ten idiota trzymałem na specjalne okazje, zamiast je wypić.

Po kilku sekundach wymamrotał jakby do siebie:

— Jaki człowiek jest czasami głupi.

— Wie pan, ja nie jestem wielkim amatorem...

— Niech pan uważa na słowa — zachnął się McQueen. — Tu nie chodzi o jakieś tam sikacze. Ja panu mówię o najszlachetniejszych francuskich winach wartych fortunę. Bez porównania lepszych od tych wszystkich cienkuszki rodem z Kalifornii czy Ameryki Południowej. Niech pan je wypije za moje zdrowie. Serio. Proszę mi obiecać, że pan to zrobi.

— Obiecuję — odpowiedział Sam z uśmiechem. McQueen rzucił klucze, a Sam złapał je w locie.

— Miłego wieczoru, Leonardzie.

— Nawzajem, doktorze.

Wychodząc z sali, Sam pomyślał o tym, co powiedział stary Leonard: „Człowiek nigdy nie czuje się lepiej niż wtedy, gdy stoi nad grobem”.

Kochamy to, czym sami nie jesteśmy.

Albert Cohen

— Colleen? Jesteś tam?

Juliette otworzyła ostrożnie drzwi, starając się nie upuścić na podłogę chińskich dań i butelki wina, które właśnie kupiła za napiwki z całego tygodnia.

— Colleen? To ja. Wróciłaś już?

Przed południem jej współlokatorka zadzwoniła do niej do kawiarni i powiedziała, że rozmowa kwalifikacyjna przebiegła bardzo dobrze i że dostała pracę. W związku z tym postanowiły spędzić babski wieczór i odpowiednio uczcić to wydarzenie.

— No gdzie ty jesteś?

W odpowiedzi usłyszała tylko miauczenie kota, który przybiegł z pokoju i zaczął ocierać się o jej nogi, mruczając z zadowolenia.

Juliette położyła pakunki na kuchennym stole, wzięła kota na ręce i przeszła szybko do salonu, jedyne w całym mieszkaniu pomieszczenia, w którym zostawiały włączone ogrzewanie.

Przez dłuższą chwilę siedziała z zamkniętymi oczami, przyciśnięta do kaloryfera nastawionego na maksimum. Fala ciepła wspięła się wzdłuż jej nóg, po czym rozplynęła po całym ciele.

Mmm... To lepsze niż facet!

Nie otwierając oczu, oddała się przez chwilę marzeniom o życiu w doskonałym świecie, w którym chmurki nagromadziły tyle wody, że po przyjściu z pracy do domu można wziąć wspaniałą gorącą kąpiel.

Ale nie należy żądać zbyt wiele.

Kiedy otworzyła oczy, zobaczyła mrugające światełko automatycznej sekretarki. Z żalem odeszła od grzejnika, by odsłuchać wiadomości.

Masz jedną nową wiadomość:

Cześć, Juliette, to ja. Bardzo mi przykro, ale nie będzie mnie dziś wieczorem. Nie zgadniesz dlaczego. Jimmy zaprasza mnie na dwudniowy pobyt na Barbadosie! Wyobrażasz sobie? Na BAR-BA-DO-SIE! Gdybym nie zdążyła się z tobą zobaczyć, życzę ci miłego powrotu do Francji.

Juliette poczuła się rozczarowana.

Tak to już jest z przyjaźnią po amerykańsku: dzielisz z kimś mieszkanie, a kiedy przyjdzie chwila rozstania, wszystko, co ci zostaje, to krótka wiadomość na automatycznej sekretarce!

Nie należało mieć złudzeń. Jasne, że Colleen wolała spędzić weekend w towarzystwie narzeczonego niż z nią!

Juliette zaczęła chodzić po mieszkaniu tam i z powrotem, przeżuwając w milczeniu żal do Colleen, aż za-

trzymała się przed paroma zdjęciami — pamiątką po ważnych momentach w ich życiu. Ładując na Manhattanie, każda miała dokładnie określony cel: Colleen chciała zostać adwokatem, a Juliette pragnęła być aktorką. Na realizację tych planów wyznaczyły sobie trzy lata. A jaki jest wynik tego wyścigu? Jedna z nich została właśnie zatrudniona w prestiżowej kancelarii adwokackiej, podczas gdy druga skończyła jako kelnerka w kawiarni! Dzięki uporowi i wytrwałej pracy Colleen z pewnością zostanie wkrótce wspólniczką w jakiejś kancelarii. Zarobi dużo pieniędzy, za które będzie mogła ubierać się u Donny Karan i które pozwolą jej na spokojne zajmowanie się ważnymi sprawami w zaciszu wygodnego gabinetu w którejś ze szklanych wież. Zostanie tym, kim miała nadzieję zostać: jedną z tych szybkich i nieprzystępnych *executive women*, spotykanych rano na Park Avenue. Juliette miała sobie za złe, że zazdrości swojej współlokatorce. Jednak kontrast między sukcesem tamtej a jej własną życiową porażką był tak ostry, że przyprawił ją o ból brzucha. Co ją czeka po powrocie do Francji? Na co przyda się dyplom z literatury klasycznej? I pomyśleć, że będzie zmuszona mieszkać z rodzicami! Przypomniała sobie swoją młodszą siostrę Aurelię, nauczycielkę, która wyszła za mąż za żandarma i przeprowadziła się do Limoges, gdzie go właśnie przeniesiono. Aurelia i jej mąż surowo oceniali „cygańskie życie” Juliette i uważali ją za osobę nieodpowiedzialną. Wielu jej paryskim przyjaciółom jakoś się w życiu powiodło. Większość zdobyła dobry zawód, rzekomo

kreatywne zajęcia, dzięki którym „realizowali się” jako inżynierowie, dziennikarze, informatycy... Żyli w stałych związkach, brali kredyty na spłatę domu i mieli jedno lub dwoje dzieci, które teraz bawiły się na tylnym siedzeniu renault mégane.

Jeśli o nią chodzi, nie miała żadnej z tych rzeczy; ani stałej pracy, ani miłości, ani dziecka. Dobrze wiedziała, że wyprawa do Nowego Jorku z zamiarem szukania szczęścia w zawodzie aktorskim była mrzonką. Wszyscy wokół bez przerwy jej powtarzali: to nie jest rozsądne. To prawda, że obecne czasy nie sprzyjały szalonym pomysłom. Raczej faworyzowały chłód, ostrożność, „zero ryzyka”. Społeczeństwo także głosiło roztropność, emeryturę po dwudziestu pięciu latach, radarową czujność, rygor i zakaz palenia...

Ale Juliette nikogo nie posłuchała. Wierząc niezłomnie w swoją szczęśliwą gwiazdę, mówiła sobie, że któregoś dnia zadziwi wszystkich i że ludzie zaczną traktować ją bardziej serio, kiedy przeczytają na okładce „Paris Matcha”: MŁODA FRANCUZKA DOSTAŁA GŁÓWNĄ ROLE W HOLLYWOOD! Nigdy nie opuszczała rąk i walczyła, jak umiała. Lecz nie udało się, bo albo była zbyt miła, albo zbyt w stylu „dzielna dziewczynka”. Oczywiście wszystko potoczyłoby się inaczej, gdyby była „córka...”. Ale jej tata nie nazywał się Gerard Depardieu, tylko Gérard Beaumont, i z zawodu był optykiem w Aul-nay-sous-Bois.

A może w gruncie rzeczy wcale nie ma talentu? Gdyby jednak nie wierzyła w siebie, co mogłaby zrobić? Wielu aktorów i aktorek długo czekało na sławę: Tom Hanks przez całe lata grał w kiepskich teatrach, Michelle Pfeiffer była kasjerką w supermarkecie, Al Pacino nie przyjęto

do Actors Studio, Sharon Stone dostała pierwszą rolę bardzo późno, a Brad Pitt w przebraniu kurczaka sprzedawał sandwicze w centrum handlowym.

Jednak najważniejsze było to, czego nikt nie mógł zrozumieć: Juliette czuła, że żyje tylko wtedy, gdy gra. Nieważne, że jest to sztuka wystawiana przez jakiś teatr uczelniany i że na sali siedzi tylko dwoje widzów: istniała dzięki roli. Była sobą tylko wtedy, kiedy stawiała się kimś innym. Jakby musiała wypełnić w sobie jakąś pustkę, jakby prawdziwe życie jej nie wystarczało. Za każdym razem, kiedy to mówiła, przez głowę przechodziła jej myśl, że ta potrzeba szukania alternatywy dla rzeczywistości ma w sobie coś patologicznego.

Odegnęła te ponure myśli, nucąc piosenkę Aznavoura: *Widziałem się już na afiszu...* Nie przerywając śpiewania, weszła do pokoju Colleen. Na krześle leżały starannie złożone cholernie drogie ubrania, jakie jej współlokatorka kupowała przed ważnymi spotkaniami w sprawie pracy. Inwestycje dość ryzykowne, które jednak mogły się wkrótce zwrócić. Juliette nie mogła oprzeć się pokusie i postanowiła je przymierzyć, zwłaszcza że Colleen i ona nosiły ten sam rozmiar. Zdjęła dzinsy i stary sweter, po czym włożyła szary kostium od Ralph Lauren. Puściła do siebie oko w lustrze.

Nieźle.

Następnie włożyła elegancki czarny golf z kaszmiru i wsunęła stopy w mokasyny od Ferragamo. W wirze tej zabawy umalowała się leciutko: trochę

pudru na twarz, trochę tuszu na rzęsy i kreseczka eye-linera.

— Lustreczko, lustreczko, powiedz mi, kto jest najpiękniejszy?

Ta przemiana ją zaskoczyła. W takim przebraniu do złudzenia przypominała jakąś businesswoman. Ubranie robi jednak swoje.

Rozzuchwalona, wyszeptała w stronę lustra:

— Juliette Beaumont, bardzo mi miło. Jestem adwokatką.

Tak ubrana zeszła po schodach do kuchni, skąd wzywało ją miauczenie Jeana-Camille'a, domagającego się swojej porcji jedzenia.

Wrzuciła mu do miseczki zawartość jednego opakowania z chińszczyzną.

— Masz tu coś pysznego: kurczak pięć smaków i tajlandzki ryż.

Pogłaskała po głowie zwierzaka, który mruczał z zadowolenia, i oznajmiła mu:

— Juliette Beaumont, bardzo mi przyjemnie. Jestem adwokatką.

Nagle postanowiła nie spędzać tego wieczoru samotnie jak stara panna. A może by tak zafundować sobie teatr? Na przykład komedię muzyczną na Broadwayu? Na godzinę przed spektaklem teatry na Times Square oferowały czasami niewykupione bilety po całkiem rozsądnej cenie. Poza tym z powodu śniegu wielu ludzi mogło zrezygnować z wyjścia z domu. Trzeba spróbować szczęścia. Teraz albo nigdy. A może wybrać się na *Upiora w operze* albo *Koty*? Przejrzała się ponownie w lustrze w łazience i po raz pierwszy od dawna uznała, że jest ładna.

— Przykro mi, Jean-Camille, ale Nowy Jork czeka na mnie! — zawołała do kota z teatralną emfazą. Poszła znowu do pokoju Colleen, wzięła jej szalik burberry i wyszła w krystaliczną zimową noc, zdecydowana dobrze wykorzystać ostatnie godziny na Manhattanie...

W Nowym Jorku wszyscy czegoś szukają. Mężczyźni szukają kobiet, a kobiety mężczyzn. W Nowym Jorku każdy czegoś szuka. I czasami... ktoś znajduje.

Donald Westlake

Sam czytał w skupieniu historię choroby, kiedy Beckie, przełożona pielęgniarok, dotknęła jego ramienia.

— Pański dyżur skończył się już pół godziny temu, doktorze — powiedziała, pokazując mu grafik dyżurów.

— Muszę tylko jeszcze sprawdzić jeden przypadek — odpowiedział Sam prosząco, jakby chodziło o jakąś uprzejmość z jej strony.

— To pan powinien się leczyć — mruknęła pielęgniarka, zabierając mu dokumentację. — Proszę iść do domu, doktorze.

Sam skinął głową i uśmiechnął się niewyraźnie. Kiedy Beckie patrzyła, jak się oddala, jedna ze stażystek z interny szepnęła jej do ucha:

— Ależ on jest przystojny...

— Daj sobie spokój, kochana, nie masz żadnych szans.

— Żonaty?

— Gorzej...

Sam otworzył drzwi świetlicy dla personelu. Zdjął pomiętą bluzę, powiesił na wieszaku i wepchnął w głąb metalowej szafki. Poprawił krawat, włożył marynarkę i gruby płaszcz, nie patrząc nawet na swoje odbicie w lustrze. Już dawno przestał przejmować się swoim wyglądem, nie przypuszczając, że to właśnie sprawia, iż wielu osobom wydaje się jeszcze bardziej interesujący.

Wsiadł do windy w towarzystwie azjatyckiego pielęgniarza, który pchał wózek z noszami.

Prześcieradło przykrywało leżące na nim ciało i nie budziło wątpliwości co do stanu „chorego”.

Pielęgniarski próbował zażartować, ale ponure spojrzenie Sama odwiodło go od tego zamiaru. Na parterze drzwi windy otworzyły się na duży, rozbrzmiewający różnymi głosami hol, przypominający raczej strefę odlotów na lotnisku. Nie mogąc się oprzeć, Sam rzucił okiem na poczekalnię ostrego dyżuru: była pełna chorych.

W ciągu najbliższych godzin będzie ich coraz więcej.

W rogu poczekalni jakiś stary mężczyzna skurczył się na krześle. Trzął się pod zniszczonym nieprzemakalnym płaszczem i przyglądał egzotycznym rybkom pływającym w akwarium. Wzrok Sama napotkał spojrzenie młodej wychudzonej kobiety siedzącej z kolanami podciągniętymi pod brodę. Jej oczy były zaczerwienione od narkotyku albo od braku snu. Obok płakało dziecko, czepiając się jej nogi.

A gdybym tak został na nocnym dyżurze?

*

— To będzie sześć dolarów, paniusiu.

Juliette zapłaciła haitańskiemu taksówkarzowi za kurs i dorzuciła skromny napiwek w podziękę za konwersację po francusku.

Yellow cab podwiózł ją na skrzyżowanie Broadwayu z Siódmą Aleją, na Times Square — najbardziej uczęszczany zakątek Manhattanu bez względu na porę dnia i nocy.

To miejsce przyciągało Juliette, jak magnes przyciąga kawałek metalu. Większość sal widowiskowych Nowego Jorku mieściła się na tym małym wyasfaltowanym trójkącie otoczonym drapaczami chmur.

Bez względu na to, czy padał deszcz, czy śnieg, albo czy wiał wiatr, Times Square niezmiennie kipiał gigantycznymi ekranami i elektronicznymi panelami umieszczonymi na fasadach biurowców, błyszczącymi tysiącem świateł. Wszędzie pełno teatrów, kin i restauracji wsysających i wypluwających z siebie fale ożywionych i rozgorączkowanych klientów.

U ulicznego sprzedawcy Juliette kupiła hot doga i ugryzła go ostrożnie, by nie poplamić keczupem swojego pięknego płaszcza. Spojrzała na gigantyczny ekran z ciekłego kryształu anonsujący spektakle, następnie skierowała się do budynku z białego marmuru, przed którym — jak w każdy ostatni dzień grudnia — zebrał się tłum, żeby podziwiać sławetne Wielkie Jabłko — symbol Nowego Jorku, które spadając, oznajmiało nastanie nowego roku.

Młoda Francuzka pragnęła po raz ostatni skorzystać z tej upojonej mieszaniny energii i blichtru.

Chociaż często przeklinała Manhattan, w głębi serca kochała to miasto. Należąc raczej do gatunku „szczurów miejskich” niż „polnych myszy”, nie marzyła o wsi, spokoju i o malutkich

ptaszkach. Potrzebowała ruchu i sklepów otwartych przez całą dobę, choćby po to, by się przekonać, że wszystko jest w zasięgu ręki.

Oczywiście wszystko to było przesadne i sztuczne jak jakiś ogromny nocny lokal w samym środku Manhattanu! Oczywiście, że można było uznać to miejsce za okropne z powodu tych wszystkich agresywnych reklam, ogłuszającej muzyki i wydostającego się zewsząd dymu.

Juliette jednak czuła się tu doskonale. Wprawdzie wokół kręciło się mrowie ludzi, ale przynajmniej nie było się samemu.

Do cholery! Przecież to jest Nowy Jork, Broadway — najdłuższa ulica na świecie, jeśli wierzyć informacjom z przewodników, biegnąca przez cały Manhattan i ciągnąca się aż po Bronx.

*

Chłód i noc rozdarło wycie syreny.

Automatyczne drzwi szpitala Świętego Mateusza zamknęły się ciężko za Samem, w chwili gdy karetka z piskiem opon podjechała na parking. W pierwszym odruchu chciał pomóc sanitariuszom, ale w porę się zreflektował: doktor Freeman — szefowa oddziału nagłych wypadków — już kiedyś nie zgodziła się na jego nocny dyżur pod pretekstem, że nie spał przez kilka nocy z rzędu.

Teraz po raz pierwszy od rana wystawiał nos na dwór i prawie zapomniał o zamieci szalejącej poprzedniej nocy. Niewiarygodnie niska temperatura przyprawiła go niemal o zawrót głowy.

Zanim ostatecznie opuścił szpital, zobaczył lekarzy

uwijających się koło noszy. Dotarły do niego tylko urywki zdań: „Oparzenia drugiego stopnia... ciśnienie osiemdziesiąt na pięćdziesiąt... puls sześćdziesiąt pięć... Glasgow sześć...”. Potem głosy rozmyły się, w miarę jak zbliżał się do swojego samochodu.

Trzymając ręce na kierownicy, odczekał parę sekund z zapalonym silnikiem. Zawsze potrzebował dłuższej chwili, by oczyścić myśli i spróbować zapomnieć o pacjentach, z którymi zetknął się w ciągu dnia. Najczęściej mu się to nie udawało.

Tego wieczoru był szczególnie zmęczony. Jechał w górę Pierwszą Aleją, kierując się na północ. O dziwo, nie było dużego ruchu.

Przekreślił gałkę radia:

...burmistrz Nowego Jorku szacuje, że śnieżycy będzie kosztowała co najmniej dziesięć milionów dolarów, a miasto ma już czternaście milionów deficytu z tytułu odśnieżania.

Chwilowo służby mają jeszcze trudności z dokładnym usunięciem śniegu z głównych arterii, a drogi nadal są śliskie, wobec czego zalecamy daleko idącą ostrożność...

*

Juliette czuła się jak mała kropelka wody niesiona przez rwący potok wielobarwnego tłumu, przesuwany w oślepiającym blasku olbrzymich reklam. Wycie syren, uliczni grajkowie, tłum, migające żółte taksówki... wszystko to przyprawiało ją o ból głowy. Jak zahipnotyzowana podniosła wzrok na ekrany oblepiające fasady

domów i zakręciło jej się w głowie. Było ich tyle, że nie wiedziała, na co patrzeć: notowania giełdowe, wideoklipy, obrazy z dziennika telewizyjnego, prognoza pogody...

Kiedy po raz kolejny ktoś ją potrącił, postanowiła przedostać się na przeciwległy chodnik i tam odzyskać trochę spokoju.

Samochody nadjeżdżały ze wszystkich stron, ale ona zdawała się ich nie widzieć...

*

Sam jechał teraz Broadwayem. Nastawił kompakt ze starym jazzem i — pośród szklanych biurowców i natężonego ruchu samochodów — poddał się kołyszącym dźwiękom saksofonu. Stłumił ziewnięcie, sięgając jednocześnie ręką do kieszeni koszuli po paczkę papierosów. Zły zwyczaj z młodości. W tamtych czasach większość chłopaków z Bed-Stuy zaczynała palić w wieku siedmiu, ośmiu lat, zanim sięgnęli po mocniejsze używki. Samochód jadący przed nim miał na szybie kolorową nalepkę. Sam zmrużył odruchowo oczy, starając się odczytać umieszczony na niej napis: *If you can read this, you 're too near**. Z zamyślenia wyrwał go długi dźwięk klaksonu. Machinalnie posłał jakieś obelżywe słowo kierowcy mijającego go samochodu. W tej samej chwili jego wzrok napotkał slogan prezentujący jakiś specyfik antynikotynowy na jednej z tablic reklamowych pokrywających całą ścianę budynku. Przystojniak w szortach i podkoszulku zachwalał zalety sportu i podkreślał szkodliwość palenia, mówiąc: „Jeszcze możesz odmienić swoje życie!”.

*** Jeśli możesz to przeczytać, to znaczy, że jesteś za blisko.**

— Mów za siebie! — warknął.

Po co zresztą miałby to robić? Już raz się w życiu zmienił i to wystarczy. Z wyzywającym wyrazem twarzy zaciągnął się głęboko, jakby chciał w ten sposób zademonstrować, że nie boi się ani Boga, ani śmierci: w Boga nie wierzył, a na śmierć nic nie mógł poradzić.

Wkładając zapalniczkę do kieszeni, natrafił na rysunek, który dostał od Angeli. Rozłożył go i na odwrocie kartki zobaczył mnóstwo małych kabalistycznych znaków, których przedtem nie zauważył: kółka, trójkąty i gwiazdki, a wszystko to tajemniczo splecione. Jakie znaczenie mają te dziwne znaki?

Pochłonięty tą myślą, dopiero w ostatniej chwili zauważył młodą kobietę przechodzącą przez ulicę tuż przed jego samochodem.

Dobry Boże! Za późno na hamowanie. Mocno skręcił kierownicę w prawo, wysłał szybką modlitwę do Boga, w którego nie wierzył, i ze wszystkich sił wrzasnął:

— Uwaga!!!

*

— Uwaga!!!

Juliette stanęła jak wryta. Samochód ledwie ją wyminął, u ona po raz pierwszy w życiu poczuła oddech śmierci.

Auto Sama wjechało na chodnik, gdzie zatrzymało się z piskiem opon. To cud, że nikogo nie potrafił.

— Idiota! Morderca! — wrzasnęła Juliette do kierowcy, dobrze wiedząc, że sama nie jest bez winy.

W ciągu dwóch sekund jej serce tak przyspieszyło, że o mały włos nie eksplodowało. Nadal była na księżycu. Jak zwykle. To miasto zdecy-

dowanie nie jest przeznaczone dla marzycieli. Wszędzie czyha niebezpieczeństwo, na rogu każdej ulicy...

— Cholera! — krzyknął Sam.

Tym razem przestraszył się nie na żarty. Życie mogło skończyć się ot tak, w dwie sekundy. Zresztą stale balansuje nad przepaścią, o czym on wiedział lepiej niż ktokolwiek inny. Mimo to w takich chwilach boimy się jak cholera.

Wysiadł z samochodu, trzymając torbę lekarską, którą zawsze miał pod ręką na siedzeniu pasażera. — Wszystko w porządku? Nic pani nie jest? Jestem lekarzem i mogę panią zbadać albo odwieźć do szpitala.

— Nic mi się nie stało — zapewniła go Juliette. Chwycił ją za rękę, pomagając wstać, i w tym momencie na niego spojrzała.

Sekundę wcześniej nie istniała i nagle stała tu przed nim.

— Czy jest pani pewna, że wszystko w porządku? — powtórzył niezręcznie.

— *It's OK.*

— Może kieliszek dla poprawy samopoczucia?

— Nie, dziękuję. Nie ma takiej potrzeby. Sam prawie bezwiednie nalegał:

— Bardzo proszę. Żeby mi pani wybaczyła.

Wskazał ogromną fasadę hotelu Marriott, którego futurystyczna sylwetka dominowała nad zachodnią stroną Times Square.

— Zostawię tylko samochód na hotelowym parkingu. Zajmie mi to minutę. Zaczeka pani na mnie w holu?

— Zgoda.

Zrobił kilka kroków w kierunku samochodu, nagle zatrzymał się gwałtownie i wrócił do niej, żeby się przedstawić:

— Nazywam się Sam Galloway. Jestem lekarzem.

Spojrzała na niego i nagle zapragnęła mu się spodobać. Dokładnie w chwili, gdy otworzyła usta, wiedziała, że zaraz popełni cholerne głupstwo, ale było już za późno.

— Bardzo mi miło. Juliette Beaumont. Jestem adwokatką.

6

To była chwila krótka jak mgnienie oka; ona spojrzała, nie widząc mnie, i to był triumf, wiosna, słońce i ciepłe morze.

Albert Cohen

Pomimo zimna i wiatru, które nadal rządziły miastem, przed hotelem przesuwał się niezmiennie gęsty tłum. Juliette stała od kilku minut w holu i obserwowała balet podjeżdżających taksówek i limuzyn, z których wysiadali mężczyźni w smokingach i kobiety w wieczorowych sukniach.

Wreszcie Sam przyjechał windą z parkingu.

Z pięćdziesięcioma piętrami ze szkła i betonu Marriott był drugim największym hotelem na Manhattanie. Juliette, która nigdy nie przekroczyła jego progów, otworzyła szeroko oczy, wchodząc do wielkiego atrium wznoszącego się na wysokość prawie czterdziestu pięter. Bijący od niego intensywny blask sprawiał, że można było zapomnieć o zimie.

Stanął za Samem na ruchomych schodach prowadzących na pierwsze piętro. Stamtąd pojechali dalej jedną

z przezroczystych wind podobnych do kapsuły międzyplanetarnej, które zdawały się fruwać po budynku. Sam nacisnął guzik z cyfrą czterdzieści dziewięć i tak zaczęli zawrotną podróż pod dach. Nie odezwali się do siebie...

Po co ja zaprosiłem tę dziewczynę?, myślał Sam, czując, że sytuacja go przerosła.

— Jest pani w Nowym Jorku w interesach?

— Tak — odparła Juliette, starając się, by jej głos brzmiał pewnie. — Przyjechałam na kongres prawników...

O choroba, po co powiedziałam, że jestem adwokatką? Dostanie mi się za to kłamstwo.

— Długo zostaje pani na Manhattanie?

— Wracam do Francji jutro wieczorem. Przynajmniej to jest prawdą.

Na wysokości trzydziestego piętra pochyliła się trochę w stronę szklanej ściany, spojrzała w dół i zakreśliło jej się w głowie, jakby zawisała w próżni.

Ups... Żebym tylko teraz nie zwymiotowała.

Winda zatrzymała się w westybulu, gdzie hostessa wzięła od nich płaszcze i odniosła do szatni.

Panoramiczny bar zajmował sporą część ostatniego piętra. Na szczęście nie było zbyt wielu klientów i mogli usiąść przy stoliku pod oknem, skąd rozciągała się niezrównana panorama Nowego Jorku.

Sala tonęła w przyćmionym świetle. Na małym podium młoda kobieta siedząca przy fortepianie nuciła eleganckie ballady zabarwione jazzem w stylu Diany Krall.

Juliette rzuciła okiem na kartę: najgłupsza rzecz kosztowała fortunę. Sam wybrał martini dry, a ona zdecyd-

wała się na jakiś wymyślny koktajl na bazie wódki, soku żurawinowego i zielonej cytryny. Atmosfera była spokojna, ale ona nie mogła się odprężyć, tak bardzo była spięta. Nagle wydało jej się, że cały budynek się rusza!

Sam zauważył jej zmieszanie.

— To bar się kręci — wyjaśnił ze śmiechem.

— Jak to?

— Bar umieszczony jest na platformie obracającej się wokół własnej osi.

— Niesamowite — odrzekła, odpowiadając uśmiechem na jego uśmiech.

Była dziewiętnasta trzy.

*

19.08

W świetle świecy zauważyła zmęczone rysy jego twarzy, niejednakowe oczy — jedno zielone, drugie niebieskie: według Kościoła znak diabła.

Mimo to był naprawdę w porządku. *Gorgeous**, jak mówią Amerykanie.

Poza tym, a raczej przede wszystkim, ten jego głos, otulający i dający poczucie bezpieczeństwa.

Wzięła głęboki oddech, jej serce biło szybciej, niżby chciała.

* **Wspaniały, przepiękny.**

19.11

Ona: Był pan we Francji?

On: Nie. Wie pani, jestem tylko zacofanym Amerykaninem, który nigdy nie wyjechał ze swojego kraju, nie licząc wakacji na Hawajach.

Ona: Czy pan wie, że mamy bieżącą wodę w prawie wszystkich domach mieszkalnych?

On: Niemożliwe! A co z prądem?

Ona: Wkrótce będzie także prąd.

19.12

Podobał mu się w niej brak sztuczności. Mimo ubrania w stylu *working girl* była naturalna. Mówiła doskonale po angielsku, z lekkim, miłym dla ucha akcentem, a kiedy się uśmiechała, jej twarz promieniała.

Patrząc na nią, czuł coś w rodzaju słabego wyładowania elektrycznego.

19.15

Ciekawe, czy zaprosiłby mnie na drinka, gdybym mu powiedziała, że jestem kelnerką?

19.20

Zauważył, że drży w swoim cienkim sweterku. Wstał więc i okrył jej ramiona marynarką.

— To niepotrzebne, zapewniam pana — powiedziała dla zasady.

Odniósł jednak wrażenie, że jej twarz mówi coś zupełnie innego.

— Odda mi pani za chwilę — podtrzymał spokojnie swoją propozycję.

A śliczna jesteś jak nie wiem co.

19.22

Dyskusja na temat mężczyzn i kobiet.

Ona: Ma pan rację, nietrudno jest podobać się mężczyznom. Wystarczy mieć długie nogi, jędrne pośladki, płaski brzuch, talię osy, seksowny uśmiech, sarnie oczy oraz jędrny i obfity biust...

On: (*śmieje się*).

19.25 Cisza.

Ona upija łyk koktajlu.

On obserwuje przez okno ruch uliczny i słucha pomrukiwania miasta rozciągającego się pięćdziesiąt pięter niżej. Tak dalekiego i tak bliskiego.

Kiedy przypadkiem zerknął na jej obgryzione paznokcie, natychmiast schowała je, zaciskając pięści.

Rzucił jej rozbawione spojrzenie.

Nawet nie rozmawiając, prowadzili coś w rodzaju dialogu.

19.26

Powiedz mu.

Powiedz mu prawdę. Natychmiast. Powiedz, że nie jesteś adwokatką.

19.34

Ona: Ulubiony film?

On: *Ojciec chrzestny*. A pani?

Ona: *Kobieta z sąsiedztwa* François Truffauta.

Spróbował powtórzyć nazwisko reżysera, co brzmiało mniej więcej: „Fłasła Tłoufo” i co wywołało u niej wybuch śmiechu.

19.35

Ona: Ulubiony pisarz? Bo mój — Paul Auster. On (*niezbyt pewnie*): Muszę się zastanowić...

19.40

On: Ulubiony obraz?

Ona: *Sjesta* van Gogha. A pański?

Zamiast odpowiedzieć, podał jej rysunek Angeli i wyjaśnił, że nigdy by się nie spotkali, gdyby nie ten mały kawałek papieru...

19.41

Dlaczego, stykając się z tysiącami osób, zakochujemy się tylko w jednej?

19.46

On: Znam pewną restaurację, która by się pani spodobała. Podają tam doskonałe hamburgery z *foie gras*. Ona: Nabiera mnie pan?

On: Wcale nie, to *spécialité de la maison*: bułka z par-mezanem, w środku kotlet pieczony na ruszcie z dodatkiem *foie gras* i czarnymi truflami, a do tego pani sławetne *french fries*.

Ona: Litości! Proszę nic więcej nie mówić! Mój żołądek ściska się z głodu. On: Podam pani adres. Zabiorę cię tam.

19.51

Być może jest to właściwa osoba, ale chwila nie jest właściwa.

19.52

On: Ulubione miejsce w Nowym Jorku? Ona: Targ warzywny na Union Square jesienią, kiedy park pokryty jest różnokolorowymi liśćmi. A pańskie?

On: Dziś wieczorem tutaj z panią, w samym środku lasu drapaczy chmur błyszczących w nocy. Ona (*zachwycona, ale ostrożna*): Bajeruje mnie pan...

19.55

Ona: Ostatni zapamiętany pacjent?

On: Kilka tygodni temu pewna stara Portugalka z zawałem serca. Właściwie nie była moją pacjentką. Ja tylko byłem przy jej przyjęciu do szpitala. Moi koledzy zrobili jej angioplastykę, żeby udroźnić zatkana arterię, ale serce okazało się zbyt słabe...

Zrobił krótką pauzę, jakby na nowo przeżywał tę operację.

Ona: Udała się?

On: Nie, nie można jej było uratować. Mąż czuwał w szpitalu całymi godzinami. Był strasznie smutny. Kilka razy słyszałem, jak mrucał: *Estou com saudades de tu*.

Ona: To znaczy „brakuje mi ciebie”, prawda?

On: Coś w tym rodzaju. Kiedy próbowałem go pocieszyć, wyjaśnił mi, że w jego kraju używa się słowa *saudade* dla określenia żalu wywołanego nieobecnością kogoś, kto jest daleko lub kto odszedł. Trudno je przetłumaczyć na inne języki. To słowo wyraża niemożliwy do określenia stan duszy, jakiś ulotny, zaraźliwy smutek...

Ona: I co się z nim stało?

On: Umarł kilka dni później. Oczywiście był stary i schorowany, ale nikt nie potrafił określić jednoznacznie przyczyny jego zgonu. (*Milczy przez parę sekund, po czym dodaje*): Wiem dobrze, że można poddać się śmierci, kiedy nic już nas nie trzyma na ziemi...

20.01

On: Ostatni proces, jaki pani wygrała? Ona (*po chwili wahania*): Nie będziemy chyba tracić czasu na rozmowy o pracy...

20.02

Przez chwilę słuchają w milczeniu lubieżnych fraz piosenkarki, której głos, raz delikatny, raz chrapliwy, doskonale pasuje do muzyki. Słowa piosenki mówią o rodzącej się miłości i o bliznach pozostawionych przez rozczarowanie, o żalu i o żałobie...

20.05

Patrzy na nią, jak nawija na palec kosmyk włosów. 20.06

Ona: Odnoszę czasem wrażenie, że nie słucha mnie pan uważnie. Czy to dekolt kelnerki tak rozprasza pana uwagę?

On (*uśmiechając się*): Czy to scena zazdrości?

Ona: Marzyciel z pana!

Mówiąc to, wstaje, żeby pójść do toalety.

*

Kiedy został sam, poczuł w głowie zamęt.

Spadaj stąd, Sam! Zjeżdżaj, zanim będzie za późno!

To niebezpieczna kobieta. W jej spojrzeniu jest jakiś blask, a na twarzy malują się słodycz i szczerłość, na które jest zbyt wrażliwy.

To dlatego, że nie jest jeszcze gotowy. Oczywiście przez parę minut doznał uczucia lekkości i euforii, poczuł się silny i szczęśliwy. Było to jednak złudzenie, które znikło tak szybko, jak się pojawiło.

Spojrzał na zegarek i wziął głęboki oddech. Żeby się uspokoić, położył na stole paczkę papierosów, ale zdenerwował się jeszcze bardziej. Od pewnego czasu przepisy zabraniały palenia w barach i restauracjach. A „miasto, które nigdy nie śpi”, poddało się dyktaturze zerowego ryzyka.

Nagle przypomniał sobie słowa McQuinna: „A może by tak partyjka z nogami w górze?”. Czemu nie? Mówiąc dosadnie — jakieś dobre pieprzenie. Przecież to żadne przestępstwo. Szybko jednak odegnał tę myśl: w tym, co czuł do Juliette, było coś jeszcze oprócz pożądania.

I na tym właśnie polegał problem...

Spanikowana Juliette zamknęła za sobą drzwi toalety.

Co się ze mną dzieje? Przecież nie można zakochać się w kimś, kogo zna się od trzech kwadransów. To nie była odpowiednia chwila: pojutrze wraca do Francji. Poza tym nie jest tak naiwna, by wierzyć w to, co tutaj nazywano *love at first sight**.

Wbrew powszechnej opinii Manhattan nie jest miejscem do romansowania. Ludzie nie przyjeżdżają tutaj szukać

* **Miłość od pierwszego wejrzenia.**

miłości. Do Nowego Jorku przybywa się, by robić interesy, zaspokajać ambicje zawodowe lub artystyczne, rzadko w poszukiwaniu pokrewnej duszy.

Jeśli chodzi o uczucia, Juliette musiała przyznać, że te trzy lata nie pozostawiły za sobą miłowych kamieni. Z początku nawet podejmowała pewne próby. Umawiała się na randki, ale nigdy nie czuła się dobrze w czasie tych spotkań przyprawionych na sposób amerykański.

Tutaj miłosne rendez-vous aranżowane przez Internet przypominały bardziej rozmowy kwalifikacyjne w sprawie zatrudnienia. Konwersacja toczyła się zawsze wokół pracy i pieniędzy. Wszystko było zbyt łatwe do przewidzenia. W tym mieście, gdzie cztery małżeństwa na pięć kończą się rozwodem, pierwsza randka polegała na przedstawieniu swojego CV i zadaniu pytania: ile zarabiasz? Chodziło po prostu o to, by szybko ocenić, czy opłaca się tracić czas na rozmowę.

Młoda Francuzka bardzo szybko zrezygnowała z tych rytuałów, które bardziej przywodziły jej na myśl egzamin konkursowy zdawany do ENA niż poszukiwanie magii miłości.

Tym razem jednak było inaczej. Ten mężczyzna, Sam Galloway, nie był taki jak inni. Kiedy tylko zaczęli rozmawiać, poczuła w środku pieczenie.

No, mała, przestań pisać sobie scenariusze filmowe, przecież nie masz szesnastu lat!

Juliette starała się ze wszystkich sił zapanować nad emocjami. Poza tym należało pamiętać o tym okropnym kłamstwie. Przecież znajomość zaczynająca się od kłamstwa nie może się dobrze skończyć. Była pewna, że ten mężczyzna przysporzy jej cierpień. Może najlepiej będzie, jeśli nie wróci do stolika...

Podniosła oczy i przekleła swój los: w chwili gdy postanowiła wykazać się rozsądkiem, nieoczekiwane spotkanie zasiało w jej myślach taki zamęt.

— W tym momencie nie potrzebuję żadnego mężczyzny! — oznajmiła na głos dla większej pewności.

— Tym lepiej dla ciebie, kochanie — odpowiedział jej głos z kabiny obok. — Będzie o jednego więcej dla kumpelek!

Juliette zamarła, żałując, że dała się tak ponieść, po czym szybko opuściła toaletę.

Sam wciąż siedział przy stoliku, jakby przyspawała go do krzesła jakaś niewidzialna siła.

Ostatnim wysiłkiem woli spróbował racjonalnie podejść do targających nim emocji.

Miłość od pierwszego wejrzenia nie istnieje albo jest po prostu zjawiskiem biologicznym.

Ale jego mózg nadal odbierał informacje dotyczące Juliette: sposób, w jaki się uśmiecha, przygryza dolną wargę, kształt jej twarzy, linia bioder, francuski akcent... Przetwarzał te wszystkie dane trochę jak komputer, ale wkrótce uwolnił hormony i neuroprzekaźniki. I to było przyczyną jego euforii.

Widzisz, nie ma co wymyślać nie wiem jakich historii z powodu zwykłej reakcji chemicznej. Wobec tego teraz wstań i odejź, zanim ona wróci.

Starając się, by nie zostać zauważoną, Juliette poprosiła jedną z hostess o podanie płaszcza i skierowała się do wind. Podjęła właściwą decyzję. Jediną rozsądną. Drzwi windy rozsunęły się z dźwiękiem dzwoneczków.

Zawahała się...

Podobno są ludzie potrafiący rozpoznać właściwy moment, w którym decyduje się ich los. A jeśli to właśnie jest ten moment?

— Wszystko w porządku?

— Tak, a co u pana? Usiadła naprzeciwko niego.

Zdażył zauważyć, że odebrała z szatni płaszcz. Ona zauważyła, że zabrał marynarkę.

On dopijał martini, a ona podziwiała światła miasta migające jak miliony gwiazd. Miała wrażenie, że gra w jednej z komedii romantycznych z Meg Ryan kończących się happy endem. Wiedziała jednak, że to wrażenie nie potrwa długo.

Kiedy Sam ujrzał płatki śniegu przylepiające się do szyb, położył rękę na ramieniu Juliette.

— Czy ma pani jakiegoś przyjaciela?

— Może... — odparła, żeby nie ulec zbyt łatwo. — A pan?

— Ja nie mam żadnego przyjaciela.

— Dobrze pan wie, o co pytam!

W chwili gdy Sam otwierał usta, zamierzając odpowiedzieć, w jego głowie błysnął nagle flesz, w którego blasku ujrzał twarz Federiki. Szła z rozwianymi włosami po długim drewnianym pomoście na Key West. Jak trzy lata temu podczas tygodnia wakacji, jednego z tych krótkich okresów, kiedy byli naprawdę szczęśliwi.

Zamrugał parę razy, żeby odpędzić ten obraz. Potem spojrzał na Juliette i powiedział dobitnie:

— Prawdę mówiąc, jestem żonaty.

Miłość jest jak gorączka; dopada nas i mija bez najmniejszego udziału naszej woli.

Stendhal

Zjeżdżając na dół, nie zamienili ani słowa i nie spojrzeli na siebie ani razu. Przeżyli parę uroczych chwil, ale teraz czar prysł i trzeba było zejść na twardą ziemię i znaleźć się na powrót w scenografii zwykłego życia.

— Czy mogę panią odwieźć? — zapytał, kiedy wyszli na ulicę i owiało ich szczypiące lodowate powietrze.

— Nie, dziękuję — odparła chłodno.

— W jakim hotelu się pani zatrzymała?

— To nie pana sprawa.

— Może powinna mi pani zostawić swój numer telefonu, na wypadek gdyby...

— Niby na wypadek czego? — ucięła, podpierając się pod boki.

Popatrzył na nią z żalem. Z jej ust leciała para i uznał, że kiedy się złości, jest jeszcze piękniejsza. Już żałował swojego kłamstwa, chociaż stanowiło jedyny oręż, jaki znalazł, by obronić się przed niebezpieczeństwem i nie być wobec niej nieuczciwym.

- No to cześć! — rzuciła, zamierzając odejść. — Pozdrowienia dla żony!
 - Niech pani zaczeka... — zaryzykował, chcąc ją zatrzymać.
 - Proszę nie nalegać, nie zadaję się z żonatymi mężczyznami.
 - Dobrze to rozumiem.
 - Niczego pan nie rozumie. Jest pan... a zresztą, naprawdę wszyscy jesteście tacy sami!
 - Nie ma pani prawa mnie osądzać — bronił się. — Nic pani nie wie o moim życiu. Nie zna mnie pani...
 - ...i nie mam ochoty poznać pana lepiej.
 - W porządku. Mimo wszystko dziękuję za miłe chwile.
 - A ja dziękuję, że mnie pan nie rozjechał — odpowiedziała z ironią. — A na przyszłość zalecam większą ostrożność za kierownicą...
- I bach!
- Dziękuję za radę.
 - Ciao.
 - No właśnie.

Juliette odwróciła się do niego plecami i przyspieszając kroku, ruszyła w stronę najbliższej stacji metra.

Nigdy z żonatym mężczyzną, to była zasada, od której nie robiła żadnych wyjątków. Nie miała wprawdzie pieniędzy, dzieci, solidnego zawodu i facetów, miała za to swój system wartości, który wyciągała na wierzch w trudnych chwilach.

Sam się zreflektował. Pobiegł za nią kilka metrów i złapał za rękę.

Kiedy się odwróciła, zobaczył łzy spływające po jej zaczerwienionych od mrozu policzkach.

— Proszę posłuchać, przykro mi, że ten wieczór tak źle się kończy. Uważam, że jest pani naprawdę... urocza, i nie ukrywam, że od bardzo dawna nie czułem się tak dobrze w czyimś towarzystwie.

— Jestem pewna, że pańska żona będzie zachwycona, kiedy się o tym dowie.

Broniła się, lecz była jednocześnie poruszona szczerością, jaką słyszała w jego głosie.

— Nie byłoby dobrze, gdybyśmy rozstali się w taki sposób...

— Proszę mnie puścić! — krzyknęła, próbując się wyrwać.

Przechodnie przyglądali im się i rzucali Samowi oburzone spojrzenia. Zbliżył się policjant z zamiarem położenia kresu tej dyskusji.

— Wszystko w porządku! Niech się pan nie wtrąca w nie swoje sprawy! — krzyknął Sam.

Parkingowy przyprowadził właśnie jego samochód i wręczał mu kluczyki. Policjant kazał mu jechać i nie blokować ruchu. Sam zdążył jeszcze popatrzeć na oddalającą się młodą kobietę.

— Juliette! — zawołał za nią, lecz ona się nie odwróciła.

Nie pozwól jej odejść! Wymyśl coś takiego jak w filmach... Co zrobiłby Cary Grant, żeby zatrzymać Grace Kelly? Jak postąpiłby George Clooney, chcąc zatrzymać Julię Roberts?

Nic nie przychodziło mu do głowy.

Dał więc parkingowemu dwadzieścia dolarów napiwku i wykonał niebezpieczny manewr, chcąc włączyć się do ruchu we właściwym kierunku. Zrobił parę wywijasów, dzięki którym udało mu się dogonić Juliette. Opuścił szybę i powiedział:

— Proszę posłuchać! Prawda jest taka, że nigdy się nie wie, co wydarzy się jutro...

Mogło się wydawać, że go nie słucha, ale on mówił dalej:

— Liczy się tylko teraźniejszość. Tu i teraz. Jego słowa porywały wiatr i śnieg.

Zwolniła i spojrzała na niego z mieszaniną ciekawości i urażonej godności.

A co ma mi pan do zaoferowania tu i teraz¹?

— Jeden dzień i jedną noc. Pod dwoma warunkami-bez przywiązania i bez pytań na temat mojej żony Nie ma jej na Manhattanie w ten weekend.

— Spierdalaj!

Zraniony tą odpowiedzią, nie nalegał więcej i odjechał Popatrzyła za nim i zdała sobie sprawę, że nawet nie wie, gdzie on mieszka.

*

Sam wszystko popsuł i teraz czuł się podle. Pomimo padającego śniegu nie podniósł szyby, w nadziei, że wiatr smagający policzki powoli wywieje mu z głowy obraz twarzy Juliette.

Przez całą drogę do domu myślał tylko o tym, by jechać ostrożnie, tak jak mu radziła...

Juliette zamachała energicznie, starając się zatrzymać taksówkę na rogu Czterdziestej Piątej i Ali Star Cafe

— Do szpitala Świętego Mateusza — powiedziała sadowiąc się na tylnym siedzeniu.

— *Where is it?* — spytał kierowca, młody chłopak w turbanie i o miedzianym odcieniu skóry.

— Niech pan rusza! Potem pokażę panu drogę — poleciła Juliette, na której nie robił już wrażenia nowy narybek siły roboczej, znający miasto równie dobrze jak przebywający tu od wczoraj turyści. Sam dotarł do Greenwich Village i cudem znalazł miejsce do zaparkowania nie dalej niż sto metrów od swojego domu, wśród niskich budynków z brunatnymi fasadami i kamiennymi gankami. Mieszkał w ładnym dwupiętrowym domu z cegły położonym tuż za placem Waszyngtona, przy małej brukowanej uliczce otoczonej dawnymi stajniami zamienionymi teraz na urocze apartamenty — przedmiot pożądanego wielu no woj orczyków.

Dom należał do właściciela sławnej galerii sztuki na Mercer Street. Trzy lata wcześniej Sam wyleczył jego syna i w dowód wdzięczności marszand wynajął mu dom za przyzwoitą cenę. Sam uważał to mieszkanie za zbyt luksusowe, ale w tamtych czasach przyjął tę propozycję ze względu na Federicę, która na pierwszym piętrze mogła urządzić sobie pracownię.

Kiedy otwierał drzwi ciemnego i zimnego domu, obraz promiennej twarzy młodej Francuzki jak flesz rozświetlił niespodziewanie czarny labirynt jego myśli.

— Niech pan tu na mnie zaczeka. Nie zajmie mi to dużo czasu.

Taksówka podwiozła Juliette pod główne wejście szpitala. Młoda kobieta skierowała się zdecydowanym krokiem do automatycznych drzwi. Czy naprawdę jest dobrą

aktorką? Zaraz się o tym przekona. Jeśli tak, zdobędzie adres Sama Gallowaya. Udałoby się to z pewnością komuś takiemu jak Meryl Streep. Nie była nią oczywiście, ale w tej sytuacji pomocny mógł okazać się fakt, że jest już trochę zakochana.

Sprawdziła godzinę, wzięła głęboki wdech i weszła do szpitala, jakby dawała nura do głębokiej wody.

Idąc w kierunku recepcji, podniosła głowę, wyprostowała się i odrzuciła do tyłu włosy. Przybrała wyniosły wyraz twarzy, z rodzaju tych, z którymi trzeba się urodzić. Chyba że jest się świetną aktorką...

— Chciałabym zobaczyć się z Samem Gallowayem — powiedziała grzecznie, ale odrobinę wyniośle.

— Przykro mi, proszę pani, ale doktor Galloway skończył dyżur trzy godziny temu.

— A to szkoda — odparła Juliette urażonym tonem. — Byliśmy umówieni.

Wyjęła komórkę i udała, że wybiera numer.

— Jego komórka jest wyłączona — poinformowała recepcjonistkę.

Następnie zaczęła grzebać w torebce, wyciągnęła z niej plik papierów (przeważnie programy spektakli), którymi machała energicznie, żeby nie można było ich rozpoznać.

— Te umowy nigdy nie zostaną podpisane na czas! — stwierdziła rozpaczliwym głosem, świadczącym o tym, iż jest spanikowana.

— Czy to nie może poczekać?

— Skądże! To bardzo pilne. Muszę je oddać jutro z samego rana.

— Są aż tak ważne?

— Gdyby tylko pani wiedziała...

Recepcjonistka zmarszczyła brwi na znak troski i Juliette zrozumiała, że prawie wygrała. Zbliżyła się więc jeszcze bardziej i powiedziała poufnym tonem:

_ Pozwoli pani, że się przedstawię: Juliette Beaumont, adwokat...

Sam Galloway rozpałił w kominku. W Nowym Jorku często padał śnieg, ale dzisiejsza zamieć spotęgowała jeszcze uczucie chłodu. Gdy mieszkanie się ogrzewało, doktor zdjął płaszcz, marynarkę i zmierzwił sobie włosy.

Salon był najprzyjemniejszym pomieszczeniem w domu, po części dzięki małej półokrągłej werandce wychodzącej na ulicę. Eklektyczne umeblowanie nadawało mu przytulny wygląd. Stary adapter stał w pobliżu pianina z lat trzydziestych, pochodzącego z jakiegoś kościoła, a naprzeciwko obita skórą kanapa. Było jednak coś, co mogło zdziwić przypadkowego gościa: wiszące na ścianach puste ramki. Sam powijmował z nich obrazy i swoje zdjęcia z Federicą. Zostawił tylko zdobione ramy, które wyglądały zjawiskowo i tajemniczo. Przejrzał rząd starych winylowych płyt kupionych okazji na Grey Market: Bill Evans, Duke Ellington, Oscar Peterson... Rozbrzmiewający nadal w jego głowie głos Juliette podsunął mu coś wyjątkowo łagodnego: *You Are So Beautiful To Me* w wykonaniu Joego Cockera. Położył płytę na adapterze i opadł ciężko na kanapę. Zamknął oczy ze świadomością, że potworne zmęczenie nie pozwoli mu zasnąć. Zresztą ostatnio tak rzadko udawało mu się pospać, że nawet nie zadawał sobie trudu, by

kłaść się do łóżka. Kładł się na parę godzin na kanapie — lub na szpitalnym łóżku podczas dyżurów — i leżał tak, trwając w półświadomości aż do pierwszych oznak świtu, po czym rozpoczynał nowy dzień, nigdy nie będąc naprawdę wypoczętym.

Dźwiękom muzyki towarzyszyły obrazy z minionego wieczoru. Zmęczenie nie pozwalało mu jednak na refleksję. Czy powinien pogratulować sobie rozsądku, czy przeklinać siebie za to, że wszystko zepsuł? Zadając sobie to pytanie, pomyślał o ojcu Hathawayu, nietypowym księdzu, dobrym znajomym z czasów dzieciństwa, który uchronił paru chłopaków z Bed-Stuy — w tym jego — przed wkroczeniem na drogę przestępstwa. Pozbawiony złudzeń co do ludzkiej natury, mawiał często: „Człowiek nie może oprzeć się pokusie, dlatego powinien jej unikać”.

Nagle głos Joego Cockera zachrypiał, jakby coś wstrząsnęło domem. Sam otworzył oczy: pokój tonął w ciemnościach.

Już miał wstać i pójść sprawdzić korki, kiedy pomyślał, że być może to jakaś większa awaria. Rozsunął firanki i wyrzął przez okno. Tonący w ciemnościach Manhattan oświetlony był jedynie światłami samochodów i białą fosforyzującego w ciemnościach śniegu.

Zapalił kilka świec i dorzucił polano do kominka. Potem postanowił zgarnąć śnieg z dachu werandki, który uginał się już pod grubą, zmrożoną, białą powłoką.

Nagle sufit przecięła świetlista wstęga. Sam wychylił się przez okno. Śnieg błyszczał jeszcze bardziej. Taksówka podwiozła kogoś od strony Washington Mews.

Jakąś kobietę.

Nieco zdezorientowana, szła uliczką, zostawiając w śniegu ślady, zasypywane prawie natychmiast świeżymi płatkami.

Juliette drżała z zimna i emocji. Jej serce biło jak oszalałe. Zagubiona w ciemnościach, z trudem odczytywała numery domów. Prowadziła ją tylko intuicja.

Kilka metrów przed nią otworzyły się cicho ciężkie ciemnoniebieskie drzwi. Sam wyszedł jej na spotkanie.

W jego spojrzeniu zobaczyła ten sam intensywny płomień, jaki widziała niedawno. Jego oczy, jedno niebieskie, drugie zielone, nakrapiane złotem, błyszczały w ciemnościach szmaragdowym światłem. Odrobinę oszołomiona czekaniem na nieznane, Juliette poddała się urokowi chwili. Dobrze wiedziała, że w związku dwojga ludzi pierwsze sekundy są najczęściej najpiękniejsze i niezapomniane: magiczne chwile poprzedzające pierwszy pocałunek.

*

Najpierw usta, które się szukają. Potem dwa oddechy mieszające się ze sobą w mroźnym powietrzu. Bo jest to pieszczotliwy pocałunek, w którym każde odnajduje to, co najbardziej intymne w drugim. Bez wahania ciało Juliette przywiera do ciała Sama.

Natychmiast czuje do niego coś gwałtownego i destrukcyjnego. Pociąg naładowany jednocześnie fascynacją i obawą. Pieczenie w środku, cudowny ból...

Sam wciągają do domu i zamyka drzwi, nie przestając całować.

Zdejmuje z niej płaszcz, który spada na podłogę. Ona rozpina mu koszulę i rzuca ją za siebie. Jej ręce lekko drżą.

On zdejmuje z niej zakiet. W pośpiechu obrywa jeden z guzików. Mniejsza o kostium Colleen.

Ona zauważa poniżej jego ramienia bliznę w kształcie gwiazdki.

Kiedy ona odrzuca do tyłu głowę, on całuje ją w szyję.

Ona gryzie jego wargi, by zaraz potem całować je łagodnie, jakby chciała zablźnić ranę.

Unosi ręce, by mógł ściągnąć z niej sweter.

On rozpina jej spódnicę, która opada wzdłuż jej nóg. Ona tuli się do niego.

Pokój nadal tonie w ciemnościach. Pod ścianą Juliette dostrzega szerokie biurko zasłane stosami książek. Sam zrzuca je jednym ruchem.

Ona siada na zrobionym w ten sposób miejscu. On zdejmuje z jej stóp mokasyny, potem ściąga rajstopy.

Przesuwa powoli palcem po jej wargach, ona tymczasem rozpina mu spodnie.

Jej policzki płoną, jakby w ciele płynęła nowa krew. Pochyla się i smakuje aksamit jego skóry.

Pachnie cynamonem.

Nie spuszczając oczu z jego twarzy, bierze go za ręce i kieruje ku swoim piersiom. Najpierw jego ręce, potem język wędrują po jej ciele, schodząc coraz niżej i niżej. Wdycha zapach jej skóry, zapach lawendy. Ona nie spuszcza wzroku z jego oczu. On otaczają ramionami. Ona oplata go w pasie nogami. On znowu przyciąga jej twarz do swojej i całuje. Ona stwierdza, że jest nadzwyczajnie czuły, trochę jakby się bał zrobić jej krzywdę swoimi pieściami.

Jeśli o niego chodzi, jeszcze nigdy tak nie było. Przez cały czas trwania ich uścisku jego doznania są jakby podwojone. Słyszy swoje serce i głośny oddech. Czuje się zagubiony i bezradny, jakby inny mężczyzna przejął kontrolę nad jego ciałem. Ale jednocześnie jest sobą, jakim nie był nigdy dotąd. A potem nie ma już nic. Ani jego, ani jej, ani przedtem, ani potem, znika północ i południe. Jest tylko dwoje rozbitków na nieznanym lądzie. Pożar serc dwóch samotnych istot wczepionych w siebie. Na innej planecie, pod innym niebem, w małym, pokrytym śniegiem domku na Manhattanie.

*

Rozciągnięty w poprzek łóżka, Sam położył głowę na brzuchu Juliette. Młoda kobieta przeczesuje ręką włosy swojego kochanka. Czuje się cudownie. Jej ciało wydaje się jakieś nowe, jakby odrodzone.

Nieco zmieszani, z trudem podejmują rozmowę. Nie zdradzając w dalszym ciągu, kim jest, Juliette opowiedziała mu, w jaki sposób „trafiła na jego ślad”. Był szczęśliwy, że przyszła. A kiedy nie wiedzieli, co jeszcze powiedzieć, pocałunki zastąpiły słowa i było to najlepsze wyjście.

Trochę później Juliette z ciekawością obejrzała półki biblioteczeki. Zauważyła puste ramki, ale zgodnie z obietnicą nie zadała żadnego pytania na temat żony.

O drugiej nad ranem stwierdzili, że są głodni. Ponieważ w lodówce nie było niczego, kpiąc sobie z zimna, Juliette narzuciła płaszcz i pobiegła do małego sklepiku znajdującego się tuż za placem Waszyngtona. Po kilku minu

tach wróciła z całym asortymentem bajgli, kremowym serkiem, puszką soku grejpfrutowego i paczką ciagutek.

Zawinęła się w kołdrę i schroniła w ramionach Sama. Jak dwoje dzieci zabawiali się opiekaniem ciagutek nadzianych na długie metalowe szpadki. Potem ona otworzyła puszkę z sokiem owocowym, upiła łyk i pochylając się nad Samem, napoila go prosto ze swoich ust.

Wreszcie zasnęli przytuleni, słuchając wycia wiatru. Docierał do nich daleki, ale dość wyraźny odgłos klaksonów i syren powodujący, że mieli wrażenie, jakby mieszkali w oblężonym mieście.

*

O czwartej rano Sam nagle się obudził.

Włączyło się światło i stojący w kuchni telewizor wysyłał teraz obrazy i stłumione dźwięki.

Wstał, żeby go wyłączyć. Odruchowo przeskoczył parę kanałów, co podziałało jak zastrzyk przywracający do rzeczywistości: na zewnątrz toczyło się prawdziwe życie, a codzienne wiadomości nie omieszkały dostarczyć porcji niepokoju, ofiar i ludzkiego szaleństwa.

Gdzieś na Bliskim Wschodzie wybuch autobusu spowodował śmierć około dwudziestu osób.

Gigantyczny pożar w jednym z więzień w Ameryce Południowej. Bilans: sto trzydzieści zwęglonych ciał, ponieważ administracja „zapomniała” odryglować drzwi cel. W tym czasie w Japonii sławny kreator mody zaprezentował nową kolekcję ubrań dla psów, między innymi koronną kreację — ubranko dla pudła, z futra i brylantów, za czterdzieści pięć tysięcy dolarów. Na kanale naukowym pokazywano topniejące lodowce, podczas gdy znamienici

profesorowie prowadzili niekończące się dyskusje na temat przyczyn efektu cieplarnianego. Ogromny blok lodu wielkości miasta New Jersey oderwał się właśnie od Antarktydy i dryfował samotnie po morzu łez.

Przerażony takim rozregulowaniem planety, Sam postał jeszcze chwilę przed telewizorem, jak zahipnotyzowany patrząc na ogrom niedoli tego świata.

Na szczęście ponowna przerwa w dostawie prądu uwolniła go od tej męki, pozwoliła wrócić do pokoju i położyć się obok śpiącego w jego łóżku anioła.

8

W powietrzu same promienie, tyle w nich fruwa aniołów.

Agrippa d'Aubigne

Muślinowe firanki przepuszczają dużo światła i nie sprzyjają długiemu wylegiwaniu się w łóżku.

Już od paru minut Juliette czuje na twarzy promień słońca, który próbuje perfidnie wśliznąć się pod jej powieki jak rybak otwierający nożem skorupę ostrygi. Jako tako udaje jej się odpierać ataki tego wroga aż do chwili, gdy dzięki „magii fal radiowych” do jej uszu wdziera się wrzask Dana Arthura, okropnego prezentera Radia Manhattan 101.4:

Witajcie na falach Radia Manhattan sto jeden i cztery.

Jest dziewiąta, już dziewiąta! Czy o tej porze leżą jeszcze w łózkach jakieś leniuchy? Trudno mi w to wierzyć! Zwłaszcza że nad miastem zaświeciło słońce. W programie na dziś: sanki w Central Parku, narty biegowe i bitwa na śnieżki...

Dobra wiadomość: lotniska są otwarte i podczas weekendu wszystkie samoloty kursują zgodnie z rozkładem. Uważajcie jednak na ślizgawicę i śnieg zale-

gający na dachach. Jak donoszą władze, dwie osoby odgarniające śnieg sprzed swoich domów zmarły na zawał serca. Zatem ostrożność nadal zalecana...

Tymczasem zostańcie na falach Radia Manhattan sto jeden i cztery, radia tych, którzy wstają wcze...

Tyrada Dana Arthura została przerwana w locie. Uderzenie dłoni Sama było tak dobrze wymierzone, że ucięło paplaninę prezentera, nie niszcząc jednocześnie radio-budzika.

Juliette jednym susem wyskoczyła z łóżka. Mimo że spała jak niemowlę, rano obudził ją niepokój.

Wczorajszego wieczoru pod wpływem nagłego pożądanego wszystko potoczyło się tak szybko, że to dziś była pewna, że wygląda okropnie. Na myśl o rozmazanym makijażu pognęła do łazienki, żeby odświeżyć się trochę i „zrobić” sobie nową twarz.

Jak powinna postąpić po takiej nocy jak ta? Zebrać części garderoby, powiedzieć „cześć”, „dzięki”, i wrócić do domu?

Ale w tej samej chwili Sam przyciąga ją do siebie i gorącym pocałunkiem daje odpowiedź na jej pytania.

*

Najpierw prowadzi go do małej kawiarenki ukrywającej się za drzwiami bez żadnego szyldu.

Właścicielką tego tajemnego przybytku jest pewna Francuzka pochodząca z małego miasteczka w Alpach Nadmorskich. Od obrusów w kratkę po ustawione na półkach stare puszki Chicorée Leroux i Banania wszystko przypomina atmosferę małomiasteczkowej francuskiej kafejki.

Słomkowa farba na ścianach, stare plakaty reklamowe i podłoga

z płytek w kolorze gliny bardziej przypominają domową kuchnię niż tradycyjną kawiarnię. Adres znany jest tylko nielicznym wtajemniczonym, którzy strzegą sekretu w obawie przed najazdem turystów.

Na tym maleńkim kawałeczku Francji w samym sercu Ameryki Juliette pozwala Samowi odkryć smak prawdziwej kawy ze śmietanką i tartinek z konfiturami, podczas gdy w kącie sali stary magnetofon rozbrzmiewa piosenkami z lat sześćdziesiątych. W pewnej chwili słyhać śliczny głos Françoise Hardy i jeden z jej wielkich przebojów. Juliette zaczyna nucić refren. Sam zaintrygowany pyta, o czym mówią słowa, a ona tłumaczy:

...przypominasz tych wszystkich, którzy mają jakieś zmartwienie, ale zmartwienia innych nie obchodzą mnie wcale, bo oczy innych nie są tak niebieskie jak twoje...

Potem spacerują po małych, krętych i spokojnych uliczkach Greenwich Village. Niebo błyszczący jak wypolerowany metal, a całe miasto pokryte jest skorupą szronu, kruchą i lśniącą. Na placu Waszyngtona mieszają się z tłumem studentów NYU, największego uniwersytetu w mieście, zajmującego kilka kwartałów ulic.

Na razie wszystko jest w porządku.

Idą przytuleni jak para nastolatków, trzymają się za ręce i całują na każdym rogu.

Jest jedenasta. Z powodu śniegu w automatycznych dystrybutorach zalegają wczorajsze gazety, co Juliette widzi po raz pierwszy w Nowym Jorku, mieście, gdzie życie nigdy nie zamiera.

Tym razem też nie zamarło na długo.

Południe. Wstępują do Balducci's, znanego w Village włoskiego sklepu spożywczego. Półki i wystawa uginają się od sezonowych warzyw, owoców morza i gotowych dań.

Wewnątrz unosi się smakowity zapach kawy i ciast. Jak zwykle pełno tu ludzi, ale podobno również na tym polega urok tego miejsca.

Juliette bierze sprawy w swoje ręce, biega między regałami, wybierając produkty niezbędne do urządzenia zaimprovizowanego pikniku: sezamowy chleb, pastrami, *cheesecake*, *pancakes* i syrop klonowy z Vermontu...

Następnie zjadają to wszystko w Central Parku, siedząc na ławce naprzeciwko całkiem zamarzniętego jeziora dla kaczek.

Na deser Juliette zwilżyła śliną rózek papierowej chusteczki i starła nim kropelkę syropu spływającą po wargach Sama.

Panuje suchy i czysty chłód. Powietrze jest piekące jak ogień, a niebo bezchmurne. Sam znika na parę minut. Juliette przeskakuje dla rozgrzewki z jednej nogi na drugą i zaciera ręce.

— To dla ochrony przed hipotermią! — mówi Sam, podając jej kubek gorącej kawy kupionej u ulicznego sprzedawcy. Oboje obejmują rękami parujące kubki. Ich twarze się stykają. Juliette spuszcza oczy i uśmiecha się. Jeszcze nigdy żaden mężczyzna nie patrzył na nią w taki sposób. Smaruje teraz jego spierzchnięte wargi pomadką ochronną i całuje go, potem znowu smaruje i znowu całuje, całuje, całuje...

Kiedy przechodzą przez most Gapstow, jakaś staruszka ubrana po indiańsku prosi ich o dolara. Sam bez wahania

daje jej piątkę, a kobieta proponuje im, żeby wypowiedzieli jakieś życzenie, zanim dojdą do końca mostu. Super!

Jest popołudnie. On filmuje ją małą cyfrową kamerą, której używa zazwyczaj do rejestrowania niektórych operacji. Filmuje na całej trasie: na Madison, na Piątej, na Lexington... A ona tańczy przed jego aparatem, biega, śmieje się i śpiewa, jakby znowu miała piętnaście lat. W jej oczach błyszczą tysiące iskierek, a z ust nie znika rozbawiony uśmiech. Pod spojrzeniem Sama czuje się piękna i nowa, inna, a jednak ta sama. Przez chwilę zapomina o wszystkich problemach i obawach. Ze zdziwieniem stwierdza, jak bardzo szacunek do siebie jest kruchy i zależny od spojrzenia ukochanej osoby. Jak kilka magicznych chwil może ubarwić całe lata poniżenia i byle jakiej egzystencji.

Sama fascynuje jej energia i wesołość Juliette. Ona potrafi cieszyć się życiem. Szkoda, że on tego nie umie. Całe jego dotychczasowe życie przestrzegało go przed chwilami szczęścia, jakby były wbrew naturze. Od kiedy pamięta, zawsze był przygotowany na spotkanie z najgorszym i teraz trudno mu jest złożyć broń. Szczęście nie zostało zapisane w jego kalendarzu. Nie spodziewał się go. W każdym razie nie w tej formie.

A szczęście jest tak ulotne...

Słońce zachodzi nad rzeką Hudson i zabarwia niebo na pomarańczowo i różowo.

Wieczorem w łazience Sama leżą oboje w wannie. Ze stojącej obok szafki z wazonem w kolorze kobaltowym Juliette zdejmuje flakonik z pachnącą oliwką i zamienia

wodę w zmysłową fontannę. W parę sekund powietrze wypełnia się odurzającą lawendową parą. On mówi jej, że jest jego wiosną, jego Gwiazdką. Ona wygłasza płomienne wyznania, recytuje urywki wierszy, a wszystko po francusku, żeby niczego nie rozumiał, żeby się nie wstydziła, żeby on nie śmiał się z jej naiwności.

Ona na moment zasypia, a może tylko udaje? W tym czasie on stara się wyczytać coś z jej oddechu. Wyobraża sobie, że jest przestraszona, nierzeczywista, kochająca i szczodra...

Jej przebiega przez myśl obraz siostry, żandarma z Limoges, renault megane. Jednak to wszystko wydaje się teraz bez znaczenia, dalekie i przeciętne. Ma to gdzieś, bo jest z nim.

Żadne nie wierzy w przeznaczenie. Wierzą tylko w przypadek, który tym razem wiedział, co robi. Wielką przyjemność sprawia im myśl, że mało brakowało, a przeszliby obok siebie i nigdy więcej się nie spotkali. Sto razy przypominają sobie scenę spotkania. Sam wyjaśnia jej, że zazwyczaj nigdy nie wraca do domu przez Times Square. Juliette opowiada mu, że wcale nie miała zamiaru wychodzić tego wieczoru, że zdecydowała się w ostatniej chwili.

W tym samym momencie oboje pomyśleli, że życie jest jednak fajnie urządzone, i dziękowali losowi za ten przypadek. Bo trzeźwo rzecz biorąc, od czego może zależeć bieg wypadków, jeśli nie od przypadku? W wirze codzienności jest jak ziarenko piasku, które może zadecydować o całej egzystencji. Mały gwóźdź leżący na jezdni. Twój ojciec najeżdża na niego w drodze na dwo-

rzec. Zmiana koła powoduje, że spóźnia się na pociąg. Łapie następny, siada w przedziale. „Kontrola biletów, szanowni państwo”. O cholera! Zapomniał skasować bilet. Na szczęście konduktor ma dobry dzień. Proponuje nawet przejść do pierwszej klasy, gdzie są jeszcze wolne miejsca. I tam właśnie twój ojciec spotyka twoją matkę. Wymieniają uśmiechy, rozmawiają o wszystkim i o niczym. A dziewięć miesięcy później ty zjawiasz się na świecie. Począwszy od tej chwili, wszystko, co zdarzy się w twoim życiu na tej ziemi, nigdy by się nie zdarzyło, gdyby nie ten mały zardzewiały gwóźdź nie znalazł się tamtego ranka na drodze. Przez przypadek. Oto od czego zależy nasza późniejsza wspaniała egzystencja: od jakiegoś gwoździa, od źle dokręconej nakrętki, od spieszącego się zegarka, od spóźnionego pociągu...

Nic więc dziwnego, że ani Sam, ani Juliette nie wierzą w przeznaczenie. A jednak parę godzin później jedno z nich będzie — w dramatycznych okolicznościach — zmuszone do zmiany tego poglądu. Zatem może nic nie jest całkowicie przypadkowe? Być może są rzeczy, które muszą się wydarzyć?

Zupełnie jakby były zapisane w jakiejś księdze losu. Trochę jak strzała wypuszczona z łuku dawno temu, która wie, gdzie i kiedy uderzyć...

Na razie jednak wszystko jest w porządku. Dwudziesta druga trzydzieści. Jedzą kolację w restauracji urządzonej na barce zakotwiczonej przy nabrzeżu rzeki Hudson. Rozciąga się stąd wspaniały widok na Most Brooklyński.

W sali poczuli przeciąg.

Ona mówi, uśmiechając się:

— Szkoda, że zdjęłam płaszcz, ale przecież z tobą to nie problem.

Po raz drugi od wczorajszego spotkania on zarzuca jej na ramiona swoją marynarkę.

W nocy z soboty na niedzielę nie śpią. Mają sobie tyle do powiedzenia, tyle miłości do dania. Za każdym razem, kiedy się kochają, jest to ta sama lewitacja, wewnętrzne tornado, niekończąca się projekcja.

W miłosnym zderzeniu obdarowują siebie nawzajem, a każde z nich daje dokładnie to, czego pragnie to drugie. Ona czuje w nim siłę i pewność, jakich jej zawsze brakowało. On znajduje w niej swobodę i słodycz, których będzie mu zawsze brakować.

Na jej czole lśnią kropelki potu. Podobnie jak wczoraj wychodzi z domu i biegnie do małych delikatesów za placem Waszyngtona. Chłód i noc opustoszyły dzielnicę. Przecinając plac, z przyjemnością myśli przez moment, że to miasto należy do niej.

Tym razem przynosi ze sklepu kolorowe świece i długą wąską butelkę *ice wine* — „lodowego” wina z Ontario. Wyjmuje ją z papierowej torby i podchodzi do Sama z wyrachowaną miną.

— Nie wiem jak ty, ale ja myślę, że nie zaszkodzi nam jeszcze jeden upadek...

On nalewa słomkowożółty płyn do dużego kieliszka, w którym oboje maczają kolejno usta. Nigdy nie pił czegoś

takiego. Ona wyjaśnia mu, że to szczególne wino produkuje się w temperaturze minus dziesięciu stopni ze zmrożonych winogron tłoczonych specjalnie w takim stanie po to, żeby kryształki lodu zostały w prasie.

Nektar jest łagodny i słodki, pachnący brzoskwinia i morelą, które nadają ich pocałunkom smak miodu.

Piją następny kieliszek, potem jeszcze jeden. Po chwili ich ciała splatają się i noc staje się zawrotem głowy.

Czas mija tak szybko, jest już niedziela. Promienie słońca zalewają salon. Juliette włożyła niebieską koszulę Sama i jego kalesonki. Siedząc ze skrzyżowanymi nogami na kanapie, przegląda weekendowy numer „New York Timesa” liczący ponad trzysta stron. Sam przygotował czarną kawę i teraz gra na pianinie. Fałszuje, bo nie przestaje przyglądać się siedzącej na kanapie kobiecie, zupełnie jakby oglądał dzieło sztuki.

Pod koniec przedpołudnia idą na spacer w stronę Sutton Place, w pobliżu promenady wzdłuż East River. Jak na plakacie z filmu Woody'ego Allena siadają na ławce, mając za tło wznoszący się za nimi most Queensboro przerzucony na Roosevelt Island. Otoczeni wiatrem i odgłosem fal, jedno szuka schronienia w bliskości drugiego. Juliette przymyka oczy, jakby chciała jeszcze bardziej poddać się urokowi tej chwili.

Unoszona falą ogarniającej ją melancholii, zdaje sobie sprawę, że właśnie pakuje bagaż wspomnień, który zabierze ze sobą i zachowa na długo.

Wie, że nigdy nie zapomni ani jego twarzy, ani kształtu jego rąk, ani smaku jego skóry, ani siły jego spojrzenia.

Wie również, że te chwile szczęścia nie należą całkowicie do niej, bo nie jest przecież „Juliette Beaumont, adwokatką”.

Ale mniejsza o to, gromadzi teraz obrazy tych skradzionych chwil i będzie je sobie wyświetlała w samotne wieczory jak stary film, który nigdy się nie znudzi.

Wspomnienia paru chwil szczęścia wystarczają czasami, by rozczarowania i świństwa, których nie szcędzi nam życie, stały się łatwiejsze do zniesienia.

Świat jednak rozdziela zakochanych...**Jacques Prévert***Niedziela, godzina 16.00*

Dlaczego zgodziłam się, żeby przyjechał? — zastanawiała się Juliette, jadąc taksówką na lotnisko. Pod koniec przedpołudnia rozstała się z Samem, bo musiała spakować walizki i przebrać się przed podróżą.

Sam zaproponował, że przyjedzie na lotnisko JFK, i umówili się przy stanowisku odpraw. Powinna była twardo odmówić, ponieważ nie czuła się na tyle silna, by przeżyć rozdierającą scenę pożegnania. Zgodziła się jednak, bo była zakochana.

Oślepiające słońce rozpryskiwało się o szyby taksówki, kiedy podjechała pod halę odlotów.

Kierowca pomógł jej wytaszczyć z bagażnika dwie ciężkie walizy. Spojrzała w górę na tablicę z napisem ODLOTY dominującą w tej części lotniska. Bóg jeden wie, dlaczego przypomniała sobie nagle słowa tego dziwnego faceta spotkanego przedwczoraj w barze: „Nic nie jest bez zna-

czenia, ale nie zawsze ocenia się właściwie skutki swoich czynów. Powinna być pani tego świadoma przed odjazdem". Szczególnie dziwnie zabrzmiały ostatnie słowa: „Przed odjazdem”.

Postawiła walizki na wózku i przeszła przez automatyczne drzwi. W skrytości ducha miała nadzieję, że Sam nie przyjedzie.

Tymczasem Sam zaparkował samochód na podziemnym parkingu i skierował się na kładkę prowadzącą do hali odlotów.

Dobrze wiedział, że nie powinien był przyjeżdżać. Dla większej pewności uruchomił w głowie płytę pod tytułem „Rozsądek”.

Niewątpliwie przeżyli dwa dni wiosny, stracili przy tym poczucie czasu i czuli się tak, jakby byli sami na świecie. Miał jednak świadomość, że wszystko to było niebezpieczną iluzją. Ta rodząca się miłość potrzebowała więcej czasu, by stanąć na solidnym fundamencie.

Prawdę mówiąc, czuł się zdezorientowany, tak bardzo to, co się zdarzyło i czego się nie spodziewał, przeszło jego oczekiwania. Z jednej strony nadal żył niedawnymi doznaniem, z drugiej jednak nie mógł sobie darować kłamstwa na temat Federiki. Gdyby teraz powiedział Juliette prawdę, co by sobie o nim pomyślała? Z pewnością uznałaby go za faceta niezrównoważonego psychicznie i chyba byłaby bliska prawdy.

Przeszedł przez hol i zatrzymał się przed ekranem monitora z rozkładem lotów. Jeden rzut oka wystarczył, by znaleźć strefę *check in*, gdzie natychmiast się udał.

W tej części lotniska panowało wielkie ożywienie. Szukał wzrokiem Juliette i wkrótce ją zobaczył. Stała w kolejce do rejestracji bagażu. Przez moment patrzył na nią, sam nie będąc przez nią widziany. Kostium BCBG zmieniła na ubranie mniej zobowiązujące. Miała na sobie wytarte džinsy ściągnięte paskiem z klamrą, trochę zbyt pstrokatym, zamszową kurtkę i długi kolorowy szalik. Na ramieniu miała beżową konduktorę, a na nogach con-versy z firmową blaszką.

W niczym nie przypominała teraz adwokatki, raczej studentkę z lat siedemdziesiątych. Uznał, że wygląda młodziej, bardziej zwyczajnie i jeszcze ładniej.

— Cześć — powiedział, nie zważając na surowe spojrzenie jakiegoś ojca rodziny obarczonego licznym potomstwem.

— Cześć — odpowiedziała, przybierając nienaturalnie obojętny wyraz twarzy.

Objął ją ramieniem i czekał. Tak już dalecy, a zarazem nadal sobie bliscy, byli tak bardzo zmieszani i niezręczni, że nie mieli odwagi ani spojrzeć na siebie, ani rozmawiać. Kilka godzin rozłąki wystarczyło, by ich bliskość zamieniła się w skrępowanie.

Kiedy przyszła kolej Juliette, Sam pomógł jej postawić walizki na taśmie, a potem zaproponował, żeby napili się kawy. Poszła za nim jak automat, jakby już była po drugiej stronie Atlantyku, daleko, we Francji.

Przez okna długiej kafeterii widać było płytę lotniska i pasy startowe. Juliette wybrała miejsce przy jednym ze stolików stojących pod samą szybą, podczas gdy Sam zajął się zamówieniem. Dla siebie wziął caffè latte, a dla niej caramel macchiato.

Postawił tacę na stole, po czym usiadł naprzeciwko

niej. Myślami była gdzie indziej i unikała jego wzroku. Popatrzył na nią uważnie. Na zamszowej kurtce zauważył znaczek głoszący: *I survived NY*, i jeszcze jeden, który zalecał: *No war — make love instead*.

Zebrał w sobie całą odwagę i przerwał ciszę, starając się mówić spokojnym głosem:

— Myślę, że padliśmy sobie w ramiona trochę bez zastanowienia...

Udała, że nie słyszy, i upiła łyk kawy, nie odrywając wzroku od samolotu, który wylądował w oddali na jednym z pasów.

— Wszystko stało się tak szybko... Prawdę mówiąc, wcale się nie znamy. Należymy do dwóch różnych światów, pochodzimy z dwóch różnych krajów...

— W porządku, wiadomość przyjęta — przerwała mu. Na jej twarz opadł kosmyk włosów. Chciał odgarnąć

go za ucho, ale ona odepchnęła jego rękę. Chcąc być miłym, ponowił próbę i powiedział:

— Ale gdybyś kiedyś była przejazdem w Nowym Jorku...

— Jasne, jeśli będę przejazdem w Nowym Jorku, jeśli nie będzie tu twojej żony i jeśli będziesz miał ochotę się zabawić, miło będzie znowu się spotkać.

— Nie to chciałem powiedzieć.

— Daj lepiej spokój — odparła, gestem ręki wysyłając go do diabła.

Nalegał:

— Myślałem, że reguły gry były jasne...

— Pieprzę twoje reguły! — krzyknęła po francusku i wstała tak gwałtownie, że zrzuciła kubek z kawą, który rozbił się na podłodze. Dopiero teraz Sam zrozumiał, jak bardzo ją zranił.

Wśród pomruków dezaprobaty Juliette przeszła przez salę, starając się zachować pozory godności. Z rozmów przy sąsiednich stolikach parokrotnie dobiegły słowa: *French girl*, zapewne komentowano, że tylko Francuzka może zachowywać się w taki sposób. Z biletem w rękę pobiegła w kierunku sali odpraw, starając się ze wszystkich sił powstrzymać płacz. W głębi duszy wiedziała, że Sam ma trochę racji. Oczywiście, że dwa dni szalonej namiętności to za mało, by stworzyć coś trwałego. Oczywiście, że magia uczucia od pierwszego wejrzenia nie może przesądzać o dopasowaniu się dwóch istot na dłużej. Poza tym Sam był przecież żonaty, mieszkał tysiąc kilometrów od Paryża, a zwłaszcza — co dla niej było najważniejsze — ona sama ukryła przed nim swój prawdziwy status społeczny. Zgnębiona tymi myślami i przytłoczona bólem, biegła ze spuszczoną głową. Nagle zdała sobie sprawę, że okulary włożyła do walizki, przez co nie może teraz odczytać napisów na planszach informacyjnych. Na pierwszym piętrze poszła w złym kierunku, zawróciła więc i znowu przez pomyłkę pojechała ruchomymi schodami w przeciwną stronę. Po drodze wpadła na kilku pasażerów, co naraziło ją na przykre uwagi policjanta. Już teraz wiedziała, że jest to najgorszy dzień w jej życiu. Nie wiedziała jednak, co jeszcze miało ją spotkać. Szanowni państwo, za chwilę do wyjścia nr osiemnaście zaprosimy pasażerów lotu siedemset czternaście do Paryża na lotnisko Roissy. Prosimy o przygotowa-

nie kart pokładowych i paszportów. W pierwszej kolejności prosimy pasażerów zajmujących miejsca środkowe...

*

Jak nieobecna, spokojnie poddała się rutynowej kontroli, zdjęła buty, odpięła pasek, pokazała machinalnie bilet oraz żądane dokumenty, po czym weszła na pokład samolotu.

Był prawie pełny i już było w nim bardzo gorąco i duszno. Dotarła do swojego fotela. Zazwyczaj wolała miejsce przy oknie, ale tym razem przydzielono jej siedzenie środkowe, pomiędzy marudzącym dzieciakiem i sporej tuszy mężczyzną. Ściśnięta między sąsiadami odetchnęła głęboko, żeby uspokoić choć trochę mocne bicie serca.

W tym samym momencie zapragnęła tylko jednego: wysiąść z samolotu i czym prędzej odnaleźć Sama. Wiedziała jednak, że to nierozsądne. Był to tylko chwilowy kryzys emocjonalny, związany z prawdziwym przejściem w dorosłość.

Dwadzieścia osiem lat to najwyższy czas, mała, pomyślała, wciskając się głębiej w fotel.

Musi być silna. Przecież wyrosła już z wieku, w którym działa się pod wpływem impulsu. Zresztą, czyż nie postanowiła się ustatkować? Podejmować same dobre decyzje, jak siostra...

Tak, trzeba zapomnieć o dumie, wrócić do Francji i zacząć wreszcie żyć rozsądnie.

Przestanie uważać się za sprytniejszą od innych. Odtąd będzie postępowała jak wszyscy: żyła z umiarem, wy-

strzegą się gorących uczuć, liczyła kalorie, piła kawę bezkofeinową, jadła produkty bio i ćwiczyła codziennie przez pół godziny.

Przestań zachowywać się jak nastolatka, powtarzała sobie. Nie narzucaj się komuś, kto cię nie chce.

Ten facet cię nie kocha. Nie zrobił nic, żeby cię zatrzymać.

Oczywiście, że przez dwa dni doskonale się rozumieli, ale to było złudzenie: mit miłości od pierwszego wejrzenia tak cudownie przedstawiany w literaturze i filmie.

Wyczerpana, powstrzymała ziewanie i otarła łzy zmęczenia płynące po twarzy. Niewiele spała poprzedniej nocy, a wczorajszej nie spała w ogóle. Wszystko ją bolało. Po raz pierwszy w życiu postanowiła, że najlepiej zrobi, jeśli będzie się trzymała z dala od miłości.

Podczas gdy ostatni pasażerowie zajmowali miejsca, Juliette zapięła pasy i zamknęła oczy.

Za nieco więcej niż sześć godzin będzie w Paryżu.

Tak przynajmniej sądziła.

Czując niemalże ulgę z powodu takiego zakończenia, Sam opuścił budynek lotniska, w chwili gdy słońce chyliło się ku zachodowi. O tej porze roku noc zapadała bardzo wcześnie. Musiał trochę poczekać, żeby przejść przez trzy pasy ruchu i dojść do parkingu, na którym zostawił samochód.

Tego wieczoru ludzie wracali z weekendu i taksówki nie nadały z zabieraniem pasażerów.

Zapalił papierosa starą, mocno zużytą metalową zapalniczką. Zaciągnął się głęboko i dmuchnął dymem w mroźne wieczorne powietrze. Dlaczego jest taki przygnębiony? Z góry było wiadomo, że ta historia prowadzi donikąd. W jego życiu nie ma miejsca dla Juliette. Poza tym było

jeszcze to kłamstwo i bagaż przeszłości, którego dotąd się nie pozbył i o którym Juliette nie miała pojęcia.

Pomimo to musiał przyznać, że od dwóch dni coś w nim topniało. Poczł się wreszcie uwolniony od głuchego strachu, który nie opuszczał go od dzieciństwa.

Kiedy zamierzał przejść przez jezdnię, jakaś dziwna siła zatrzymała go w miejscu.

Nie, nie może zmarnować takiej szansy. Jeśli Juliette odjedzie, będzie tego żałował przez resztę życia. Nagle nabrał przekonania, że wcale nie wsiadła do samolotu i że czeka na niego gdzieś w budynku lotniska.

Zawrócił więc biegiem. Przez długi czas sądził, że jest uodporniony na płomienie namiętności i ból rozstania. Nic z tych rzeczy. Bał się miłości tak samo mocno, jak jej pragnął. Teraz bardziej niż dotychczas odczuwał głód życia i chciał zapomnieć o strachach z przeszłości. Po raz pierwszy pomyślał, że to możliwe dzięki tej kobiecie, której nie znał jeszcze czterdzieści osiem godzin temu, ostatniej nadziei mężczyzny żyjącego bez nadziei.

Wpadł do holu dworca lotniczego, ale Juliette tam nie było. Szukał, na próżno.

Podszedł do okna i zobaczył samolot z numerem lotu 714 toczący się na końcu pasa startowego. No tak, za późno. Miał swoją szansę i pozwolił jej uciec. A wystarczyłoby jedno słowo: Zostań! Jednak go nie wypowiedział.

Samolot zatrzymał się na chwilę, nabrał prędkości i wzbił się w powietrze.

Sam długo stał i patrzył.

Wkrótce stracił go z oczu.

*

Wrócił na Manhattan w zacisznej kapsule swojego samochodu z napędem na cztery koła. Noc zapadła nad miastem, zanim zdążył to zauważyć. Jeszcze nigdy tak się nie czuł: jak narkoman na głodzie. Zatrzymał się na jednej z ulic prostopadłych do Sheridan Square i przeszedł kilka kroków w mroźnym powietrzu, nie mając zamiaru wracać do domu. Bał się znaleźć w pustym mieszkaniu, gdzie byli tacy szczęśliwi jak na wyspie szczęścia położonej w samym środku chaosu.

Idąc, przywołał z pamięci jej twarz, zapach, ten jej sposób uśmiechania się i nadal płonąca w niej iskrę życia. Żeby odegnać wspomnienia, wszedł do pierwszego napotkanego baru.

Silk Bar nie jest jednym z tych spokojnych miejsc, gdzie można pograć w backgammona lub w szachy, ale raczej nowoczesnym pubem, na topie, z miłą atmosferą i dobrą muzyką.

Sam z trudem utorował sobie drogę do długiego kontuaru, za którym wysokie i śliczne barmanki zręcznie żonglowały butelkami w stylu Coyote Girls.

W głębi sali liczni klienci zgromadzili się przed wielkim ekranem telewizora transmitującym mecz piłki nożnej. Sezon właśnie się rozpoczął i rozgrywki zapowiadały się pasjonująco. Dla nich był to niedzielny wieczór taki sam jak inne.

Sam patrzył na ludzi, nie widząc ich. Pograżony w żalu, zamówił coś mocnego, żałując, że nie może przy tym zapalić papierosa.

Nagle przerwano transmisję meczu i zastąpiono ją innym programem, przyjętym najpierw w milczeniu, a potem okrzykami: *God! God! Damned!*, które przerodziły się w głuchy pomruk.

Stojący przy barze Sam nie widział ekranu, przy którym tłoczył się teraz gęsty tłum. Zawahał się, czy podejść i zobaczyć, jaka to straszliwa wiadomość tak wszystkich zbulwersowała. Prawdę mówiąc, mało go to obchodziło. Nawet wiadomość o inwazji rozszalałych obcych na Ziemię nie była w stanie go poruszyć.

Wziął jednak szklanekę wódki i ruszył w kierunku ekranu.

To, co na nim zobaczył, od razu wzbudziło w nim niepokój. By podejść bliżej, odepchnął kilka osób. Musiał koniecznie się upewnić!

Oby tylko nie była to...

Ale niestety, właśnie była...

Stał jak skamieniały. Najpierw serce zamarło mu z przerażenia, potem poczuł, jak uginają się pod nim nogi, a przez całe ciało przebiegają dreszcze.

Wiatr wieje tam, gdzie chce...

Pismo Święte

Aulnay-sous-Bois,

dzielnica domków jednorodzinnych

Marie Beaumont nastawiła budzik na piątą rano. Samolot jej córki miał wylądować na Roissy o szóstej trzydzieści pięć i nie chciała się spóźnić.

— Chcesz, żebym z tobą pojechał? — wymamrotał jej mąż po drugiej stronie łóżka, naciągając na siebie prawie całą kołdrę.

— Nie, pośpij sobie jeszcze — szepnęła Marie i pogłaskała go po ramieniu.

Włożyła szlafrok i zeszła na dół do kuchni. Pies przywitał ją szczekaniem.

— Cicho bądź, Jasper — ofuknęła go. — Jest jeszcze bardzo wcześnie.

Na dworze nadal panowała noc, zimna i nieprzyjazna. Żeby rozbudzić się na dobre, Marie zrobiła sobie filiżankę kawy rozpuszczalnej, potem wypila drugą. Gryząc kawałek chrupkiego chlebka, zastanawiała się, czy posłuchać

w radiu porannych wiadomości, ale zrezygnowała, żeby nie robić hałasu. Stłumiła ziewanie. Bardzo źle spała tej nocy. Koło północy obudziła się nagle zlana potem, jakby przyśnił się jej jakiś koszmarny sen. Najdziwniejsze było to, że nie mogła przypomnieć sobie, co jej się śniło. Cokolwiek to było, przstraszyło ją tak bardzo, że nie mogło być mowy o ponownym zaśnięciu, w dołku wciąż czuła kulę strachu.

Wzięła szybki prysznic, ubrała się ciepło i po raz kolejny przeczytała informacje przekazane jej przez Juliette:

Lot 714

Odlot: JFK — godz. 17.00 — terminal 3 Przylot: Roissy — godz. 6.35 — terminal 2F

Włożyła kluczyk do zamka i otworzyła drzwiczki samochodu. Lotnisko było niedaleko i o tej porze ruch nie był jeszcze duży. Za dwadzieścia minut będzie na Roissy. Jasper biegł przez pewien czas za samochodem, ale Marie oparła się pokusie, żeby go ze sobą zabrać.

W czasie jazdy myślała ze wzruszeniem o Juliette. Miała dwie córki i kochała je tak samo mocno. Każdej z nich gotowa była dać więcej niż własne życie. Musiała jednak przyznać, że więcej czułości okazywała Juliette. Jej druga córka, Aurelia, z uporem wybrała drogę konformizmu zabarwionego „pouczaniem”, co w Marie budziło zgrozę równą przyjemności, jaką czerpał z tego jej mąż.

Juliette nie miała dobrego kontaktu z ojcem, który nigdy nie pogodził się z tym, że córka wybrała studiowanie filologii klasycznej, niedające żadnych perspektyw. Tak samo zdecydowanie przeciwstawiał się jej marzeniom

o teatrze, a jeszcze bardziej oponował na wieść o wyjeździe do Stanów Zjednoczonych. Pragnął, żeby zdobyła jakiś „prawdziwy zawód”: na przykład inżyniera lub księgowej, jak córka sąsiadów, która ukończyła z wyróżnieniem wydział administracji i właśnie dostała dyplom.

Marie zawsze broniła córki, bo dobrze wiedziała, że jej aspiracje nie polegają na tym, by czym prędzej „się wydać”. Jedno było pewne: Juliette miała charakter i odwagę. Dokonując wyborów, zawsze odrzucała przeciętność, i Marie podziwiała ją za to, choć wiedziała, że pod maską pewności siebie córka jest bardzo wrażliwa. Nieraz zdarzyło się słyszeć nutkę rozczarowania w jej głosie, kiedy rozmawiała z nią przez telefon. Chociaż Juliette nigdy się nie skarżyła, Marie czuła, że lata spędzone w Ameryce nie zawsze były dla niej różowe, i często w tajemnicy przed mężem posyłała jej trochę pieniędzy. Jednak najbardziej smucił ją fakt, że córka nie znalazła dotąd swojej drugiej połowy, jak niegdyś mawiano. Wbrew temu, co piszą w prasie na temat „nowych singli” lub „rozkwitu w pojedynkę”, przecież zawsze pragnie się kogoś kochać. Nawet jeśli Juliette czasem temu zaprzeczała, ona wiedziała, że córka nie jest wyjątkiem od reguły. Marie wyjechała na drogę prowadzącą do terminalu 2F. Zastanawiała się, dlaczego w dalszym ciągu czuje w dołku rosnącą kulę strachu. Podkręciła trochę ogrzewanie i sprawdziła godzinę na zegarze umieszczonym na tablicy rozdzielczej. Świetnie, będzie na czas. Oby tylko samolot się nie spóźnił! Dojeżdżała teraz do parkingu lotniska. Pomimo wczesnej pory panowało tu dziwne ożywienie. Przejechała obok

samochodu telewizyjnej jedyńki, potem minęła drugi, należący do France Télévisions. Nieco dalej zobaczyła reportera filmującego budynku terminalu, podczas gdy jakiś sprawozdawca radiowy przeprowadzał wywiad z załogą samolotu. Ogarnęło ją złe przeczucie i postanowiła zrobić to, przed czym podświadomie wzbraniała się przed wyjściem z domu: włączyć radio.

Tu Europe Jeden, jest szósta trzydzieści, tragiczna nowina w porannych wiadomościach: straszliwa katastrofa samolotowa nad Atlantykiem...

*

Samolot, numer lotu 714, wystartował z lotniska Ken-nedy'ego o siedemnastej sześć czasu lokalnego ze stu pięćdziesięcioma dwoma pasażerami i dwunastoma członkami załogi na pokładzie w rejs do Paryża. Za sterami siedział Michel Blanchard, kapitan z osiemnastoletnim doświadczeniem. Znał dobrze swój fach. Nie był jednym z tych młodziaków, którzy potrzebują wielu miesięcy ćwiczeń, zanim dobrze obiorą kierunek i wejdą na właściwy pułap. Linie Nowy Jork—Paryż obsługiwał wielokrotnie i zawsze bez problemów. Lubił przekazywać pasażerom informacje na temat warunków lotu i sygnalizować im ciekawe miejsca, nad którymi przelatywali.

Lista pasażerów stanowiła swoisty przekrój społeczeństwa: byli na niej ludzie interesu, rodziny, małżeństwa młode i starsze stażem, które zafundowały sobie miłosną randkę w Paryżu, zorganizowane grupy emerytów... Na pokładzie słychać było francuski i angielski.

Tego dnia jednym z pasażerów była także Carly Fiorino, trzydziestoosmioletnia agentka prasowa sławnej grupy rockowej, która nazajutrz miała rozpocząć europejskie tournée. Carly miała opadające na ramiona piękne proste włosy, elegancki wygląd i markowe przeciwsłoneczne okulary, które rzadko zdejmowała. Panicznie bała się latać i próbowała wszystkiego, co mogłoby jej pomóc pokonać strach. Tabletki uspokajające, specjalne ćwiczenia oddechowe — wszystko na nic. Dzisiaj miała wypróbować najnowszą metodę: przed wyjściem z hotelu opróżniła połowę minibarku, żeby porządnie się upić. Alkohol miał jej pomóc w przezwyciężeniu strachu.

Samolot dojechał do końca pasa startowego, zatrzymał się, potem przyspieszył.

Maude Goddard, lat sześćdziesiąt siedem, emerytka, ścisnęła mocno rękę swojego męża. Byli w Nowym Jorku po raz pierwszy. Odwiedzili wnuka, który ożenił się z Amerykanką i w dolinie rzeki Hudson założył hodowlę kaczek i jagniąt. Teraz w żołądku Maude narastał paniczny strach. Mąż popatrzył na nią i spróbował się do niej uśmiechnąć, żeby nie powiększać jej niepokoju. Kiedy pocałował ją w czoło, Maude pomyślała, że nawet gdyby miała dzisiaj umrzeć, to umrze w jego ramionach, i ta szalona myśl ją uspokoiła.

Start odbył się prawidłowo. W chwili gdy samolot oderwał się od ziemi, Antoine Rambert poczuł ze zdziwieniem lekkie łaskotanie w podbrzuszu. Ten sławny reporter objechał cały świat i był wszędzie tam, gdzie ostatnio rozgrywały się wielkie konflikty: w Kosowie, Sarajewie, Czeczenii, Afganistanie, Iraku... Wielokrotnie znajdował się w ogniu walk i w wielkim niebezpieczeńst-

wie, a mimo to nie bał się śmierci. Dlaczego zatem miałby teraz obawiać się zwykłej podróży rejsowym samolotem? A jednak od czasu, gdy kilka miesięcy temu urodził mu się syn, odkrył w sobie pewną podatność na obawy i musiał przyznać, że stał się mniej odporny na strach.

To dziwne, pomyślał, jak bardzo fakt posiadania dziecka czyni człowieka jednocześnie silniejszym i słabszym. Nigdy by nie przypuszczał.

Zaraz po opuszczeniu strefy powietrznej Nowego Jorku kontrolę nad samolotem przejęło centrum w Bostonie. Za radą kapitana każdy mógł podziwiać tysiące barw nieba płonącego jak ogień w kominku.

Przygotowując się do serwowania posiłku, Marine, jedna ze stewardes, myślała o narzeczonym, który miał po nią przyjechać na Roissy o szóstej rano. Jean Christophe odbierał często wolne dni w poniedziałki i na ogół przygotowywał superśniadanko z sokiem pomarańczowym, ananasem i kiwi. A potem będą się kochać i spać do południa. Tak bardzo chciała być już na miejscu, że zaczęła nucić piosenkę Claude'a François *Poniedziałek w słońcu*.

O siedemnastej trzydzieści cztery, niecałe pół godziny od startu, kiedy samolot leciał na wysokości około dziesięciu tysięcy metrów, drugi pilot poczuł dziwny zapach, cierpki i gorzki, wypełniający cały kokpit...

Dwie minuty później w kabinie pilotów pokazał się na krótko niewielki dym.

— Jest jakiś problem z klimatyzacją — stwierdził kapitan.

Blanchard spokojnym głosem nadał sygnał „pan pan” oznaczający w żargonie lotniczym sytuację poważną, ale nie rozpaczliwą.

Carly sięgnęła do torebki i wyjęła z niej dwie tabletki. Po wypitym alkoholu dopadł ją okropny ból głowy, a najmniejszy hałas w samolocie wydawał jej się podejrzany. Na domiar złego dostała silnych skurczów żołądka, a siedzący obok i śmiejący się bez przerwy dzieciak działał jej na nerwy. Czternastoletni Mike wstał z miejsca, nie wyjmując słuchawek z uszu, żeby przepuścić sąsiadkę, starą, co najmniej trzydziestopięcioletnią babę, i natychmiast zajął jej fotel przy oknie. Uwielbiał latać samolotem i za każdym razem czuł, że panuje nad światem. Co to za szczęście! Miał nawet nadzieję, że podczas tej podróży zdarzą się jakieś turbulencje. Podkrecił głos w walkmanie, nie mogąc się doczekać zapadania się w powietrzne dziury w rytm rapu grupy Snoop Doggy Dog. Szanowni państwo, tu kapitan samolotu Michel Blanchard. Z powodu małego problemu natury technicznej jesteśmy zmuszeni lądować w Bostonie w celu usunięcia usterki. Dla państwa wygody i bezpieczeństwa prosimy o złożenie stolików, zapięcie pasów i pozostanie na miejscach aż do zgaszenia sygnalizacji świetlnej.

Samolot zaczął tracić wysokość, by przygotować się do schodzenia. Po porozumieniu się z kontrolerami ruchu powietrznego kapitan otrzymał pozwolenie na skierowanie

samolotu na lotnisko Boston Logan. W tym samym czasie w kabinie pilotów ponownie pokazał się dym.

Członkowie załogi zrozumieli, że powyżej sufitu rozprzestrzenia się pełzający pożar. Zgodnie z obowiązującymi przepisami samolot był sprawdzony przed startem przez wykwalifikowany personel. Maszyna miała niecałe osiem lat. Przeszła wszystkie najsurowsze kontrole i wszystkie obowiązkowe oględziny, które wyznaczają życie samolotu: *check A* — dokonywany średnio po trzystu godzinach lotów, *check C* — po czterech tysiącach, i wreszcie oględziny po dwudziestu czterech tysiącach godzin, czyli po około sześciu latach. Z tej okazji samolot był unieruchomiony przez sześć tygodni. Mechanicy i inżynierowie rozebrali go na części i dokładnie sprawdzili.

Maszyna była własnością wielkiego zachodniego towarzystwa lotniczego — jednego z najpewniejszych na świecie — nie jakiś tam czarter wynajęty przez firmę krzak. Każdy skrupulatnie wykonał swoją pracę z całą odpowiedzialnością. Nie mogło być mowy o jakimkolwiek zaniedbaniu czy szukaniu oszczędności.

A jednak, Bóg jeden wie czemu, ogień pojawił się nad sufitem w tylnej części kabiny pilotów. Z nieznanych powodów system wykrywania pożaru nie zadziałał, co oznaczało, że kiedy załoga uświadomiła sobie, co się dzieje, ogień zdążył się już rozprzestrzenić i nie można go było opanować. Carly zamknęła za sobą drzwi toalety i dokładnie obejrzała wnętrze tego pomieszczenia. Podobno niektórym udało się uprawiać seks w tym

miejscu, pomyślała rozmarzona. Chciałabym, żeby ktoś mi pokazał, jak to się robi...

Obmyła twarz zimną wodą. Podjęła mocne postanowienie: nigdy więcej nie wsiądzie do samolotu. To okropne, nie mieć żadnego wpływu na swój los. W razie potrzeby gotowa była nawet zmienić zawód. No tak, to samo mówi za każdym razem.

Na ścianie kabiny zauważyła słowa wypisane drobnym maczkiem. Tak ją to zaintrygowało, że przybliżyła się, chcąc rozszyfrować napis, i przeczytała: *Men plan, God laughs**. Zastanawiała się właśnie nad znaczeniem tych słów, kiedy nagle zapalił się sygnał: „Proszę zająć swoje miejsca”, i migał tuż nad jej głową.

W tym samym momencie na przedmieściach Queens matka Billy'ego postawiła kubek z bulionem na półce pełnej CD, która służyła za nocną szafkę.

— Odpocznij sobie, kochanie.

Mówiąc to, pocałowała go w czoło.

Billy, zakopany w łóżku, z kompresem na czole, pokręcił głową.

Kiedy matka wyszła z pokoju, chłopak wyskoczył z łóżka i wylał bulion przez okno. Nie cierpiał bulionu. Dziś rano był u niego lekarz i Billy nabrał go, symulując ciężką

grypę-

Zrobił to z konieczności. Poprzedniej nocy znowu przyśnił mu się koszmarny sen, bardzo wyrazisty i gwałtowny, w którym widział pożar ogarniający samolot i krzyczących ludzi.

*** Człowiek planuje, Bóg decyduje.**

Chciał wszystkich uprzedzić, ale po chwili zrezygnował z rozmowy na temat swoich wizji. Zresztą nikt mu nigdy nie wierzył.

Okrył się szczelnie kołdrą i po kryjomu zapalił ekran konsoli gier, która służyła mu za telewizor.

Na razie powszechną uwagę przyciągał mecz, ale Billy wiedział, że długo to nie potrwa.

Mimo to modlił się żarliwie, by to się nie stało.

O siedemnastej trzydzieści dwie kapitan Blanchard wysłał w eter rozpaczliwy sygnał *Maydayl Maydayl Maydayl*, zawiadamiając w ten sposób, że samolot znalazł się w bezpośrednim niebezpieczeństwie. Zawiadomił też o zamiarze awaryjnego lądowania w Bostonie.

W tym samym czasie w jednym z pokoi hotelu Waldorf Astoria, Bruce Booker, lat dwadzieścia pięć, otworzył oczy, stłumił ziewnięcie i stwierdził, że spóźnił się na samolot. Za dużo alkoholu, kokaina, nie mówiąc o dwóch *call-girls*, które dopiero nad ranem wyszły z jego pokoju. Wiele miesięcy temu zrobił rezerwację na lot 714. Miał spędzić kilka dni w Paryżu, potem dołączyć do przyjaciół w jednym z ośrodków sportów zimowych w Szwajcarii.

Cóż, trudno! Nic z tego!

Spojrzał na swoje odbicie w lustrze i stwierdził, że wygląda żałośnie. Najwyższy czas wydorosnąć, zmienić towarzystwo, system wartości, wszystko. Nie wiedział jednak, jak się do tego zabrać.

Czasami zdarzało mu się

myśleć, że pewnego dnia jakieś wydarzenie doda mu sił niezbędnych do wejścia na inną drogę. Że coś zachęci go do stania się kimś lepszym. Nie wiedział jednak, co by to mogło być.

Zdjął piżamę i złorzeczając, wszedł pod prysznic.

Za parę minut włączy telewizor i jego życie się odmieni.

Sytuacja w kokpicie pogarszała się. Z powodu dymu i gorąca piloci nie mogli kontrolować ekranów prowadzących lot i prawdę mówiąc, nawet nie widzieli, co dzieje się na zewnątrz.

O siedemnastej trzydzieści siedem maszyna była jeszcze widoczna na ekranach radarów.

Potem nastąpiły te straszne sekundy, kiedy wśród wrzasków pasażerów samolot zaczął kołysać się na wszystkie strony. Z sufitu wypadły maski tlenowe, a stewardesy wyjaśniały naprędce, jak nadmuchać kamizelki ratunkowe, choć dobrze wiedziały, że na nic się nie zdadzą.

Skłamałby ten, kto mówiłby, że wszystko trwało bardzo krótko i że nikt nie zdążył zdać sobie sprawy z tego, co się dzieje. Było całkiem inaczej. Wszyscy zobaczyli płomienie ogarniające kabinę, i panika, jaka wybuchła w samolocie, trwała wystarczająco długo, żeby każdy zrozumiał, co go czeka.

Od paru minut Mike był zmieniony na twarzy.

— Takie coś zdarza się tylko innym — powiedział do siebie śmiertelnie przerażony.

Carly pomyślała, że zmarnowała życie, i pożałowała,

że nie odwiedzała częściej ojca. Od roku ciągle odkładała odwiedziny pod byle pretekstem. Odwróciła się w stronę swojego sąsiada i stwierdziła, że umrze obok czternastoletniego dzieciaka, którego znała zaledwie od pół godziny. Podała mu jednak rękę, a Mike przywarł do niej z płaczem. W objęciach swojego męża Maude myślała, że dobrze przeżyli życie, ale że woleliby żyć nadal. Tak szybko przyzwyczajamy się do szczęścia.

Z siatki na oparciu siedzenia przed sobą wyjęła broszurę informującą o minimalizowaniu niebezpieczeństwa podróży samolotami. Wśród wielu danych statystycznych można było przeczytać, że na świecie lata codziennie sześć tysięcy maszyn i że tylko jedna na milion może ulec poważnemu wypadkowi, co oznacza, że samolot pozostaje najpewniejszym środkiem transportu. I to była prawda.

O siedemnastej trzydzieści osiem jakieś amatorskie radio przechwyciło przypadkiem ostatnie słowa kapitana Blancharda: „Spadamy! Spadamy!”.

Kilka sekund później samolot zniknął z ekranów kontrolnych i w tym samym momencie mieszkańcy Charley Cross, miejsciny w Nowej Anglii, usłyszeli niesamowicie głośny huk eksplozji.

W ostatnich sekundach życia sprawozdawca wojenny Antoine Rambert pomyślał o swoim małym synku. Potem on, który myślał, że nie jest sentymentalny, przypomniał sobie swój pierwszy prawdziwy pocałunek na dziedzińcu liceum francuskiego w Mediolanie dwadzieścia lat temu. Ona nazywała się Clémence Laberge, miała szesnaście

lat i delikatne usta. W sekundzie poprzedzającej rozbić się samolotu o taflę oceanu Antoine powiedział do siebie, że Brassens nie mylił się, śpiewając: *Nigdy w życiu nie zapomni się pierwszej dziewczyny, którą wzięło się w ramiona...*

*

Rozgorączkowana i drżąca Marie Beaumont weszła do budynku lotniska, jakby szła na rzeź. Dlaczego nie chciała, żeby towarzyszył jej mąż? Czowała, że sama nie będzie w stanie przejść przez to wszystko. Przez moment poczuła szaloną nadzieję. Może Juliette poleciała następnym samolotem... Może istniała jedna szansa na dziesięć tysięcy? Na sto tysięcy? Na milion? Nie, Marie wiedziała, że to nie jest możliwe: córka zadzwoniła do niej kilka godzin przed odlotem, żeby potwierdzić dane dotyczące lotu.

Skierowała się do strefy, w której wysiadaliby pasażerowie przylatujący z Nowego Jorku. Zobaczyła dużo kamer i policjantów. Minister transportu już był na miejscu i informował dziennikarzy, że na razie nie można wykluczyć żadnej przyczyny wypadku.

Marie wzywała w myślach Boga, przeznaczenie, przypadek. Uratujcie ją! Uratujcie ją, a zrobię wszystko, co zechcecie. Wszystko! Oddajcie mi moją córkę! Moją córeczkę! Przecież nie można umrzeć w wieku dwudziestu ośmiu lat! Nie dzisiaj! Nie w taki sposób!

Pełna poczucia winy, już żałowała, że pozwoliła jej wyjechać samej do tego kraju szaleńców.

Dlaczego nie zatrzymała jej dłużej przy sobie? W domu.

Podeszło do niej dwóch pracowników Paryskich Portów Lotniczych, którzy dostrzegli jej rozpacz.

Łagodnie skie-

rowali ją do pomieszczenia kryzysowego i punktu pomocy psychologicznej dla rodzin ofiar wypadku.

Doktor Nathalie Delerm, naczelną lekarz Paryskich Portów Lotniczych, od paru godzin przeżywała jeden z najtrudniejszych dni w swojej karierze. Przyjęła już około dziesięciu rodzin, a to był dopiero początek. Zespół medyczny, którym kierowała, składał się z dwóch psychologów, trzech psychiatrów i pięciu pielęgniarek. Zajęli jeden z salonów terminalu, z dala od zgiełku, i mieli za zadanie przekazywać informacje rodzinom ofiar i zapewnić im opiekę. Nathalie ścisnęła w ręce listę pasażerów. Procedura miała następujący przebieg: najpierw słychać było bliski załamania głos i pytanie: „Czy mój brat/moja siostra/moi rodzice/moje dzieci/moja narzeczona/mój przyjaciel/mój mąż/moja żona/moja rodzina/moi przyjaciele... są na liście pasażerów lotu siedemset czternaście?”. Wówczas Nathalie pytała o nazwisko i sprawdzała na liście.

Trwało to parę sekund, które zdawały się trwać całą wieczność i przyprawiały o straszliwe cierpienie. Kiedy Nathalie odpowiadała „nie”, była to wielka ulga, łaska niebios, najpiękniejszy dzień w życiu... Ale kiedy odpowiedź brzmiała „tak”, następowało załamanie.

Bardzo trudno było przewidzieć reakcje. Niektóre osoby, zdruzgotane nieszczęściem, nie mogły wydobyć z siebie słowa. Inne, wprost przeciwnie, reagowały potwornym krzykiem cierpienia, wzmocnionym głuchym echem niosącym się po lotnisku.

Nathalie zdawała sobie sprawę, że ten dzień odcisnie na niej na zawsze swoje piętno. W niedawnej przeszłości już zdarzyło jej się pracować w zespole medycznym

powołanym w związku z katastrofą w Sharm el-Sheikh i jeszcze niezupełnie doszła po tym do siebie. Jednak za nic w świecie nie chciałaby być teraz gdzie indziej. Pomoże ludziom wyrazić ich ból, udzieli im pierwszego wsparcia, pomoże lepiej znieść tragedię.

Kiedy Marie dotarła do tej strefy, Nathalie przedstawiła się:

— Nazywam się Delerm, jestem lekarzem.

— Chciałabym się czegoś dowiedzieć o mojej córce Juliette Beaumont, która miała przylecieć tym samolotem — powiedziała Marie ledwie dosłyszalnym szeptem.

Zdołała zachować spokój, choć szalejący w jej wnętrzu huragan emocji mógł w każdej chwili go zniszczyć.

Nathalie spojrzała na listę i znieruchomiała.

Juliette Beaumont? W sprawie tej pasażerki otrzymała specjalne instrukcje. Gdy tylko rozpoczęła dyżur, zjawili się u niej dwaj ochroniarze, którzy poprosili o natychmiastowy kontakt w razie pojawienia się kogoś, kto będzie pytał o tę osobę.

— Hm... proszę chwilkę poczekać, proszę pani — powiedziała niezbyt zręcznie i natychmiast tego pożałowała.

Było jednak za późno. Pod wpływem emocji i przeczucia tego, co najgorsze, Marie płakała teraz cichutko.

Nathalie podeszła do dwóch stojących na straży umundurowanych policjantów i poinformowała ich o sytuacji.

Nagle Marie ujrzała, jak ruszają na nią dwie potężne ciemnoniebieskie sylwetki i otaczają ciasno niby murem.

— Pani Beaumont?

Ze łzami w oczach, nie rozumiejąc, o co chodzi, skinęła głową.

— Prosimy z nami.

Dla tych, którzy żyją, jest nadzieja; nawet żywy pies jest więcej wart od martwego lwa.

Eklezjastes

Poniedziałek rano, komisariat 21. okręgu

— Może pan ją przesłuchać, panie inspektorze, jest w sali.

— Już idę — odpowiedział inspektor Franek di Novi, wstając.

Przed wyjściem z gabinetu zatrzymał się na chwilę przed telewizorem. Kanał informacyjny pokazywał ostatnie zdjęcia z miejsca katastrofy.

Strefa bezpieczeństwa została wytyczona natychmiast po wypadku — wyjaśniał komentator. —

Poszukiwania będą trwały nadal, jednak siła uderzenia była tak wielka, że wyklucza się odnalezienie żywych osób. Dotychczas wyłowiono jedynie około trzydziestu ciał.

Okręty wojenne otoczyły strefę, nad którą nieprzerwanie krążyły helikoptery. Zbliżywszy się do ekranu, Di Novi dostrzegł kawałki fotela pilota, wybebeszone bagaże i kamizelki ratunkowe pływające na powierzchni oceanu.

Oficjalnie w dalszym ciągu nie ustalono, czy chodzi o wypadek, czy o zamach terrorystyczny. W anonimowym telefonie do telewizji Al-Dżazira jakiś mężczyzna twierdził, że umieścił bombę na pokładzie samolotu siedemset czternaście. Jednak należy traktować tę informację z największą rezerwą. Władze uznały, że wiadomość nie wydaje się wiarygodna.

Poza tym policja nowojorska przesłuchuje podobno osobę podejrzaną o nieujawnionej tożsamości. Według niektórych źródeł chodzi o młodą kobietę, która na kilka minut przed startem opuściła nagle samolot...

Franek Di Novi z wściekłością nacisnął wyłącznik na pilocie. Był pewny, że jego koledzy z lotniska musieli powiedzieć coś dziennikarzom. Nie minie godzina i wszyscy dowiedzą się, że przyskrzyniliśmy tę Francuzkę.

Zły jak wszyscy diabli, wszedł do małego pomieszczenia przylegającego do sali przesłuchań i przekreślił przycisk, żeby uruchomić weneckie lustro. Po drugiej stronie ukazał się widok młodej kobiety siedzącej na taborecie. W kajdankach na rękach, blada, wystraszona, patrzyła w pustkę, nie rozumiejąc, o co chodzi. Di Novi przyglądał jej się przez chwilę, potem zajrzał do swoich notatek. Aha, nazywa się Juliette Beaumont. Gliniarze z JFK zatrzymali ją zeszłej nocy niedługo po wypadku. Z ich raportu wynikało, że poprosiła o wypuszczenie jej z samolotu na parę minut przed startem. Celnicy i służby

imigracyjne, zaintrygowani jej dziwnym zachowaniem, poddali ją rutynowej kontroli. Zwyczajna kontrola — wymagana przepisami bezpieczeństwa zastrzonymi od czasu zamachów — w końcu przerodziła się w prawdziwe przesłuchanie. Najpierw dlatego, że Francuzka nie chciała współpracować: oświadczyła, że spieszy się na spotkanie z przyjacielem, stawiała opór podczas przesłuchania i obrzuciła inwektywami funkcjonariuszy sił porządkowych. Takie zachowanie, już poważne, gdy chodzi o obywatela amerykańskiego, okazało się niedopuszczalne w przypadku cudzoziemki.

Ale to jeszcze nie wszystko. Dokładniejsze oględziny jej paszportu wykazały sfałszowaną datę ważności wizy, którą panienska wydrapała, po czym wpisała nową. To wystarczyło, by zaprowadzić ją do komisariatu, gdzie została zatrzymana.

— Czy mam jej zdjąć kajdanki, inspektorze? — spytał umundurowany agent.

— Nie widzę potrzeby — odparł di No vi.

— Jest pan pewny?

— Tak!

Bezpośrednio po katastrofie dopuszczano możliwość zamknięcia metra, mostów i tuneli, z obawy przed nowym zamachem terrorystycznym. W końcu władze nie uległy panice i dziś rano chyba nikt już nie wierzył w ten ślad.

Wprawdzie di Novi również w to nie wierzył, ale nie cierpiał tych zdrajców Francuzów i wobec tego nie zamierzał odmawiać sobie przyjemności udzielenia młodej kobiecie małej lekcji. Z doświadczenia wiedział, że w czasie zatrzymania ludzie skłonni są przyznać się do wszystkiego, jeśli się do nich umiejętnie podejrze. A Franek to potrafił. Zwłaszcza teraz, kiedy miał wolną rękę, bo

porucznik Rodrigez, kierujący 21. okręgiem, wziął właśnie kilka dni wolnego w związku ze śmiercią żony zmarłej po długiej chorobie.

Połknął dwie tabletki betablokera, żeby przed wejściem do pokoju przesłuchań opanować zdenerwowanie.

— Dzień dobry, panno Beaumont. Mam nadzieję, że prędko dojdziemy do porozumienia...

Twarz oficera policji wykrzywił grymas, co wyglądało jak wymuszony uśmiech.

Areszt tymczasowy mógł trwać siedemdziesiąt dwie godziny. Miał więc wystarczająco dużo czasu na zabawę. Będzie zdana na jego łaskę przez dobre kilka godzin.

— Zaczniemy wszystko od początku — zaproponował, kładąc ręce płasko na stole. — Dlaczego opuściła pani samolot na kilka minut przed startem?

Juliette otworzyła usta, ale nie wydostał się z nich żaden dźwięk. Ledwo widziała siedzącego przed sobą policjanta, który zadał to pytanie. Była zszokowana i zahipnotyzowana słowami rozbrzmiewającymi w niej w rytm bicia serca.

Ja żyję,

ja żyję,

ja żyję...

Jednocześnie słyszała inny głos, który krzyczał, że nie powinna była przeżyć.

Między nami i (...) niebem istnieje tylko życie, które (...) jest czymś najbardziej kruchym na świecie.

Pascal

W poniedziałek po południu w północnej części Central Parku

Sam Galloway przemierzał szybkim truchtem żwirową aleję przecinającą park.

Dziś rano po raz pierwszy od śmierci żony zadzwonił do szpitala i powiedział, że nie przyjdzie do pracy. Został w domu i jak przed rokiem przytłaczały go żal i poczucie winy. Obie kobiety, które kochał, nie żyły, i to on był za to odpowiedzialny. Jego mózg wrzał jak wulkaniczna lawa. Fala wspomnień i sprzecznych myśli przewalała się bezładnie w jego głowie. Mimo że z racji zawodu codziennie stykał się ze śmiercią, tym razem był zupełnie wytracony z równowagi.

Naciągnął kaptur, żeby nie kąsał go lodowaty wiatr. Przed godziną postanowił wyjść na powietrze, żeby nie oszaleć od ustawicznego myślenia o tym samym. Sądził, że dobrze mu zrobi, jak trochę pobiega.

Jednak wcale nie było mu lepiej.

Dla wyrównania oddechu zatrzymał się przy boiskach do koszykówki, pustych i pokrytych szronem. Chłód najwidoczniej nie był zachętą dla naśladowców Jordana.

Sam pchnął furtkę prowadzącą na plac zabaw i ciężko opadł na ławkę. Łydkę rozdzierał mu silny skurcz mięśni. Ledwo usiadł, schował twarz w dłoniach. Całe jego ciało przeszywały ból i zmęczenie. Właściwie nie spał od trzech dni i pewnie od tego kręciło mu się w głowie. Kiedy jednak poczuł w klatce piersiowej ostry ból, zdał sobie sprawę, że przez ostatnią dobę nic nie jadł.

Spróbował odetchnąć, ale nie mógł.

Ja się duszę!

Przez moment nic nie widział, słyszał tylko skrzypienie furtki. Mroźne powietrze paliło mu płuca.

Pochylił się do przodu, jakby zamierzał wymiotować własne serce.

Musi się czegoś napić, natychmiast!

— Może trochę kawy?

Podniósł głowę: stała przed nim ciemnowłosa, dobrze zbudowana kobieta w dzinsach i skórzanej kurtce. Szczery i zdecydowany wyraz jej oczu rozświetlał podłużną twarz w nieokreślonym wieku, o wielkich wykrojonych w kształcie migdałów oczach, podobnych do oczu modelek z płócien Modiglianiego.

Jak się tutaj znalazła, skoro jej nie widział? I dlaczego podaje mu teraz jeden z dwóch kubeczków Starbucksa, które trzyma w rękach?

— Będzie dobrze, dziękuję — powiedział, zanosząc się kaszlem.

— Niech pan bierze, przecież kupiłam dwie. Prawie mimowolnie Sam wziął kubek z kawą podawany

przez tę miłosierną i tajemniczą kobietę. Napój dobrze mu zrobił, uspokoił kaszel i trochę rozgrzał. Kiedy kobieta pochylała się nad nim, przez rozchylone poły kurtki Sam zobaczył kaburę pistoletu umocowaną pod pachą.

Glina!

O tak, rozpoznawał ich instynktownie. To była jego druga natura. Przecież na ulicy nie można bezkarnie spędzić dzieciństwa. Prawdę mówiąc, w jego dawnej dzielnicy ludzie nie mieli serca do gliniarzy. Ich interwencje, częstokroć niepotrzebne, kończyły się zazwyczaj donosami, które wносиły więcej zamieszania niż spokoju. Pomimo zmiany środowiska Sam zachował nieufność i przysiągł sobie, że jeśli pewnego dnia będzie miał jakiś poważny problem, policjanci będą ostatnimi ludźmi, do których zwróci się o poradę.

— Czy mogę usiąść? — spytała kobieta.

— Proszę bardzo — mruknął nieufnie. Dostrzegła jego wahanie i zrozumiała, że zauważył pistolet. To sprawiło, że postanowiła przedstawić się wcześniej, niż zamierzała.

— Nazywam się Grace Costello. Jestem detektywem w trzydziestym szóstym okręgu — powiedziała i pokazała swoją odznakę.

Kilka promieni słonecznych padło na metalową blaszkę, ukazując wyraźnie litery NYPD*.

— Patroluje pani ten sektor? — spytał z pozorną obojętnością Sam.

— Prawdę mówiąc, czekam na kogoś. Grace zamilkła na moment, po czym dodała:

*** New York Police Department.**

— Na pewnego mężczyznę.

— Przykro mi zatem, że wypilem jego kawę. — Potrząsnął pustym kubkiem.

— Myślę, że nie miałby na nią ochoty.

W oczach Grace Costello zabłyśło dziwne światło. Sam wyczytał w nich coś niepokojącego, jakieś wielkie niebezpieczeństwo, co spowodowało, że gwałtownie wstał.

— W takim razie do widzenia. Mam nadzieję, że pani przyjaciel wkrótce przyjdzie...

— Właściwie już tu jest i wcale nie chodzi o przyjaciela.

Dużo później Sam z upodobaniem myślał, że wszystko potoczyłoby się inaczej, gdyby tamtego popołudnia nie usiadł na tej ławce. Jednak w głębi duszy wiedział, że Grace Costello znalazłaby go gdzie indziej i że to, co wydarzyło się potem, i tak by się wydarzyło.

— Co pani przez to rozumie?

— To, że przyszłam tu spotkać się z panem, doktorze. Sam zmarszczył brwi. Skąd wiedziała, że...

Zgadując pytanie, Grace wskazała na kieszeń dresu

Sama, na której wyhaftowana była odznaka drużyny baseballowej szpitala Świętego Mateusza.

— Nazywam się Sam Galloway — oznajmił, zły, że został zmuszony do wyjawienia swojej tożsamości. — Jestem pediatrą.

Zamiast odpowiedzieć coś w rodzaju „bardzo mi miło pana poznać”, Grace Costello powiedziała dobitnie:

— Wygląda pan na zmartwionego, doktorze Galloway...

— Jestem zmęczony, to wszystko. Przepraszam, ale muszę już iść.

Oddalił się kilka kroków i był już prawie przy furtce, kiedy dosięgła go nowa strzała wypuszczona przez Grace.

— Bardzo ciężko jest kogoś stracić, nieprawdaż?

— Nie rozumiem — odparł, odwracając się. Patrzył teraz na nią z rosnącym niepokojem. Z kolei Grace podniosła się i stanęła przed nim z pewnością i determinacją, które w niczym nie ujmowały jej kobiecości. Niebo poróżowiło, a słońce rozpoczęło marsz w dół nad rzeką Hudson.

— Proszę posłuchać, doktorze. Wiem, że przeżywa pan ciężkie chwile, aleja nie mam czasu owijać w bawełnę tego, co chcę panu powiedzieć. Otóż mam dla pana dwie wiadomości, jedną dobrą, drugą złą...

— Nie mam nastroju do zabawy w zagadki — uciął. Jednak Grace nie ustępowała.

— Dobra wiadomość to ta, że pana przyjaciółka żyje... Sam przetarł oczy ze zdumienia.

— Jaka przyjaciółka?

— Juliette nie poleciała tym samolotem — wyjaśniła Grace. — Ona żyje.

— Opowiada pani bzdury!

Na te słowa Grace wyciągnęła z kieszeni artykuł wycięty z gazety, który Sam wyrwał jej z ręki. Na pierwszej stronie widział dziwny tytuł:

Młoda Francuzka zatrzymana w związku z katastrofą samolotu 714

Co dziwniejsze, gazeta nosiła datę następnego dnia.

— Skąd pani to wytrzasnęła? — spytał Sam z niedowierzaniem.

Grace nie odpowiedziała, a Sam w napięciu szybko przebiegł oczami tekst.

— Jeśli to jakiś żart... — powiedział z groźbą w głosie.

— To nie jest żart. Juliette naprawdę żyje!

— W takim razie dlaczego na gazecie jest jutrzejsza data?

Grace westchnęła. Ten typ zdecydowanie nie miał zamiaru ułatwić jej zadania.

— Niech się pan uspokoi, Galloway.

Gotując się z wściekłości, Sam gwałtownie odskoczył. Ta kobieta jest szalona. Bredzi. Jednak chciał się upewnić. Kontynuując bieg, nie mógł opanować rodzącej się nadziei.

A jeśli gazeta mówi prawdę? Jeśli Juliette żyje?

Kiedy wybiegł za ogrodzenie, spojrzał ostatni raz w kierunku Grace. Jej dziwne spojrzenie zabarwione było współczuciem i wyzwaniem. Mimowolnie zapytał:

— A jak brzmi zła wiadomość?

Przeznaczenie prowadzi tego, który się z nim zgadza, i zwodzi tego, który mu nie ufa.

Seneka

Poniedziałkowy wieczór w komisariacie 21. okręgu

— Jest pan pewny, że ona tu jest?

— Już to panu powiedziałem, panie Galloway: Juliette Beaumont została zatrzymana i ta informacja powinna panu na razie wystarczyć.

Sam nie mógł w to uwierzyć: Juliette żyje! Jest co prawda w rękach policji, ale żyje.

Z podniecenia nie mógł usiedzieć na miejscu. Ponownie zagadnął więc umundurowaną policjantkę, młodą Afroamerykankę o zielonych oczach i niezwykle starannie splecionych włosach.

— To musi być jakieś nieporozumienie, dobrze znam mademoiselle Beaumont. Spędziliśmy razem weekend i zapewniam panią, że ona nie może mieć nic wspólnego z katastrofą samolotu!

— Zanim ktoś przyjmie pana zeznanie, bardzo proszę

usiąść i zachować spokój — odpowiedziała zniecierpliwiona policjantka.

Sam wyszedł na korytarz, mamrocząc coś pod nosem. Był w dresie, bo tak się spieszył, żeby tu przyjść, że nie zdążył wstąpić do domu i się przebrać. Nie miał przy sobie ani telefonu, ani centa w kieszeni. Musi jednak natychmiast skontaktować się z adwokatem, jeśli ma wyciągnąć Juliette z tej pułapki.

Wrócił zatem i ponownie zagadnął policjantkę, która — zgodnie z tym, co widniało na odznace przypiętej do munduru — nosiła wdzięczne imię Calista.

— Może to panią ubawi, ale zapomniałem portfela.

— Rzeczywiście to bardzo zabawne.

— Czy w związku z tym może mi pani pożyczyć dolara?

— I co jeszcze?

— Muszę zadzwonić. Westchnęła zrezygnowana.

— Gdybym miała dawać po dolarze wszystkim facetom, którzy się tu pętają...

— Oddam pani.

— Niech się pan nie wysila.

Z niezbyt zadowoloną miną odliczyła cztery ćwierć-dolarówki i podała mu je. Sam podziękował i wyszedł na korytarz, żeby zadzwonić z automatu.

W przeciwieństwie do większości współobywateli nie miał swojego adwokata. Postanowił więc zadzwonić do jednej z radczyń prawnych szpitala, którą lubił. Po wysłuchaniu tego, co miał jej do powiedzenia, poleciła mu kolegę, do którego natychmiast zadzwonił. Adwokat, zachęcony możliwością medialnego rozgłosu, zgodził się przyjechać natychmiast.

Sam z ulgą odwiesił słuchawkę.

W porządku. Wszystko się dobrze ułoży. Może policjanci w tym mieście nie należą do najinteligentniejszych, ale z pewnością dojdą w końcu do wniosku, że Juliette nie ma nic wspólnego z katastrofą, nawet jeśli paranoja po jedenastym wrześniu jeszcze nie minęła.

Spróbował usiąść na chwilę, ale nie mógł się uspokoić. Najbardziej niepokoiła go Grace Costello, jej dziwne teksty i zabawa w dobrą i złą wiadomość. Dobra wiadomość, jak mu wyjaśniła, mówiła, że Juliette żyje. Ale kiedy spytał ją o wiadomość złą, odpowiedziała zagadkowo: „Zła wiadomość oznacza, że pozostało jej tylko kilka dni życia”. Przekonany, że kobieta bredzi, Sam oddalił się, nie próbując dowiedzieć się czegoś więcej, a teraz gorzko tego żałował.

To jakiś absurd. Zamiast się tym przejmować, trzeba się cieszyć, że odnalazł Juliette. A więc wcale nie poleciała tym samolotem. Tak jak przeczuwał, wróciła, żeby znowu go spotkać. Przez chwilę oceniał w myślach ten gest i wróciło mu zaufanie do życia. Postanowił powiedzieć Juliette prawdę, kiedy tylko będzie po temu okazja. Przyzna się, że nie jest żonaty, i może ona nie weźmie mu za złe tego głupiego kłamstwa.

— Witam, panie Galloway, inspektor di Novi.

Wyrwany z zamyślenia Sam podniósł głowę i spojrzał na policjanta, który zapraszał go do swojego gabinetu. Di Novi bardziej przypominał popularnego gwiazdora niż zwykłego policjanta. Miał na sobie doskonale skrojony garnitur i czarny golf — z pewnością dzieło któregoś z wielkich kreatorów mody. Do kompletu należało dodać wysportowaną sylwetkę, olśniewające zęby bez śladu kamienia i opalenizną świadczącą albo o niedaw-

*

nych wakacjach w słońcu, albo o częstych seansach w solarium.

Sam nie ufał mu od pierwszego spojrzenia. Bez żadnej konkretnej przyczyny. Wbrew powszechnemu mniemaniu mężczyźni nie są zbyt skomplikowani, a ich pierwsze wrażenie na czyjś temat jest często właściwe.

— Słucham pana, panie Galloway.

Sam opisał mu w paru słowach okoliczności, w jakich poznał Juliette. Przysiągł uroczyście, że przez ostatnie czterdzieści osiem godzin nie rozstał się z nią ani na chwilę. Kiedy di Novi napomknął o sfalszowanej wizie, Sam odpowiedział, że nie jest to wystarczający powód, żeby podejrzewać Juliette o terroryzm.

— Jeśli dobrze pana zrozumiałem, mademoiselle Beaumont opuściła pośpiesznie samolot, żeby spotkać się ponownie z panem...

— Tak.

— Dlatego że postanowiła zostać z panem w Nowym Jorku?

— Tak przypuszczam. Policjant westchnął.

— Panie Galloway, przyznaję, że nie bardzo chwytam logikę pana gry z panną Beaumont: kocham cię, opuszczam cię, kocham cię, opuszczam cię...

Sam się wkurzył.

— Tak się często w życiu zdarza. Relacje między kobietami i mężczyznami nie są takie proste.

Najwidoczniej nie bardzo się pan na tym zna.

Di Novi zignorował tę uwagę i kontynuował przesłuchanie:

— Czy pomagał pan pannie Beaumont w pakowaniu bagaży?

- Nie.
- Czy według pana przewoziła dla kogoś jakieś rzeczy lub paczki?
- Nie.
- A może na lotnisku postawiła gdzieś swoje walizki i nie zwracała na nie uwagi?
- Nie sędzę.
- Czy brała narkotyki?
- Skądże znowu!
- No tak, nic panu na ten temat nie wiadomo.
- Jestem lekarzem i potrafię rozpoznać narkomana. Di Novi zrobił taką minę, jakby w to wątpił.

Sam

przystąpił zatem do ataku:

- Żyjemy w Ameryce, gdzie nie wsadza się ludzi do więzienia za to, że się kochają!
- Jeśli pan pozwoli... sędzę, że sytuacja jest bardziej skomplikowana.
- Proszę przynajmniej pozwolić mi z nią porozmawiać...
- Nie ma mowy. Zostanie pan poinformowany o takiej możliwości przed upływem czasu zatrzymania. Ale jeśli chce pan znać moje zdanie, nie nastąpi to prędko — dodał mściwie. Policjant zajrzał do notesu, po czym ostentacyjnie zatkał pióro marki Mont Blanc.

— Ostatnie pytanie, panie Galloway: W jaki sposób dowiedział się pan, że panna Beaumont nie zginęła w tej katastrofie?

Sam zawahał się przez moment, ale ponieważ intuicja podpowiedziała mu, żeby nie wspominać o Grace Costello, ostrzegł policjanta:

— Popemnia pan wielką pomyłkę...

— Wykonuję swój zawód.

— Odradzam panu poślizg, inspektorze. Juliette jest prawniczką i potrafi się bronić, jeśli...

Di Novi zmarszczył brwi.

— Kto jest prawniczką?

— Juliette Beaumont.

— Tak panu powiedziała?

— Tak — potwierdził Sam, nie rozumiejąc, że źle zrobił.

W oczach di Noviego coś błysnęło. Wyprostował się. Ta Francuzka jest jednak podejrzana: fałszerstwo paszportu, opór, przywłaszczenie osobowości...

— Do jasnej cholery! Niech pan coś powie! — wrzasnął Sam.

— Juliette Beaumont nie jest adwokatką — odparł di Novi triumfująco. — Pracowała jako kelnerka w kawiarni...

*

Chodząc tam i z powrotem po korytarzu komisariatu, Sam czuł złość. Odbył właśnie rozmowę z adwokatem, który miał zająć się sprawą Juliette. Prawnik poradził mu, żeby poszedł do domu. Areszt tymczasowy mógł przeciągnąć się do dwóch dni, wobec czego dalsze przebywanie w tym miejscu nie miało najmniejszego sensu. Przed udaniem się do siebie Sam postanowił jednak sprawdzić jeszcze jedną rzecz.

W tym celu zatrzymał się przed drzwiami biura Calisty.

— Może jeden dobry uczynek przed końcem dnia? Czarnoskóra policjantka pokręciła głową.

— Przykro mi, ale właśnie skończyłam służbę — odpowiedziała i zaczęła zbierać swoje rzeczy.

— Proszę posłuchać! Pilnie potrzebuję informacji na temat policjanta z innego okręgu. Chodzi o kobietę: Grace Costello, detektywa z trzydziestego szóstego okręgu.

— Nie mogę panu pomóc.

— To dla mnie bardzo ważne.

— Może dla pana, dla mnie nie — odrzekła, wzruszając ramionami.

— Bardzo proszę! Niech pani wyświadczy mi jeszcze tę jedną przysługę! — prosił Sam, starając się być przekonywający.

— Zatem jedno pytanie: dlaczego ze wszystkim zwraca się pan do mnie, podczas gdy przy samym wejściu do tego pieprzonego komisariatu są jeszcze dwa inne biura?

— Być może dlatego — odparł lekarz, wskazując na zdjęcie przyklejone na ścianie za plecami młodej kobiety.

Fotografia przedstawiała dwie dziewczynki grające w klasy na chodniku Bedford Avenue. Calista zareagowała ściągnięciem brwi.

— Ja też wychowałem się w tej dzielnicy — wyjaśnił Sam.

— Pieprzy pan!

— Mówię prawdę.

— Trudno mi w to uwierzyć.

— Dlaczego?

— Może dlatego — odparła, dotykając palcem najpierw swojej twarzy, potem twarzy Sama, uświadamiając mu w ten sposób, że jest biały, podczas gdy w Bedford wszyscy byli czarni.

— Szkoła Podstawowa imienia Martina Luthera Kinga i gimnazjum Charlesa Drew — rzucił na potwierdzenie swoich słów.

— Znajomość nazw szkół jeszcze nie świadczy, że się do nich uczęszczało — zauważyła nieufnie. Sam westchnął ciężko.

— Chce pani innego dowodu? Bardzo dobrze. Najpierw rozsunął zamek błyskawiczny swojego dresu, potem zdjął sweter i T-shirt.

— Doktorze Galloway, przypominam panu, że znajduje się pan w komisariacie! — krzyknęła Calista, przerażona tym nieoczekiwanym striptizem. — Nie chcę tu żadnych kłopotów. Z obnażonym torsem Sam zbliżył się do niej na tyle, żeby mogła zobaczyć niewielki niebieskawy tatuaż: słowa *Do or die* wypisane poniżej ramienia. „Rób coś albo zdychaj” — dewiza Bedford, jego dawnej dzielnicy.

Calista patrzyła na niego nieporuszona, następnie chwyciła za telefon, ale w tym czasie wszedł oficer, który miał ją zmienić.

— Niech mi pan przypomni nazwisko tej pańskiej gliniary.

— Grace Costello.

— Proszę tu poczekać — powiedziała rozkazującym tonem.

Sam patrzył, jak się oddala i przechodzi przez wielką salę, w której krzątał się personel administracyjny. Calista znalazła wolne biurko na antresoli nad salą. Przez oszklone drzwi mógł obserwować jej ruchy. Widział, że parę razy gdzieś dzwoniła, a potem odebrała faks. Po ukradkowych spojrzaniach, jakie rzuciła wokół siebie, domyślił się, że to, co teraz robi, nie wchodzi w zakres jej obowiązków i że podjęła to ryzyko dla niego. Parę razy zmarszczyła brwi, jakby czegoś nie rozumiała.

Wreszcie zeszła do niego z kartką w rękę.

- Kpi pan sobie ze mnie czy co? — spytała niezado wolona.
- Oczywiście, że nie. Dlaczego tak pani myśli? Podała mu faks, jaki przed chwilą otrzymała.
- Dlatego że Grace Costello jest martwa od dzie sięciu lat.

14

Kiedy uderzają, uderzają w tych, których kochasz...

Fragment dialogu z filmu

***Ojciec chrzestny* Francisa Forda Coppoli**

Sam wyszedł z komisariatu wstrząśnięty i zdumiony.

Mroźne powietrze dobrze mu zrobiło. Ruszył szybkim krokiem w górę ulicy, żeby się rozgrzać, ale jednocześnie chciał złapać taksówkę. Zapadła już noc i zmrożony śnieg skrzypiał mu pod stopami.

Przechodząc pod latarnią, nie mógł się oprzeć, by nie rzucić okiem na faks, który dała mu Calista.

Był to artykuł z „New York Post” sprzed dziesięciu lat. Raz jeszcze przeczytał:

Policjantka zastrzelona w Brooklynie

Grace Costello, detektyw z 36 . okręgu, została zeszłej nocy znaleziona martwa za kierownicą swojego samochodu, zabita strzałem z pistoletu w głowę. Okoliczności jej śmierci w dalszym ciągu są nie-

znane, tym bardziej że nie pełniła tej nocy służby.

Trzydziestoosmioletnia Grace Costello od jedenastu lat pracowała w NYPD. Zaczęła pracę jako oficer patrolowy, po czym awansowała. Mianowana na stanowisko detektywa w wieku dwudziestu sześciu lat, przyczyniła się wydatnie do rozwiązania wielu poważnych afer kryminalnych.

Legitymowała się dyplomem NYU i ukończyła FBI National Academy w Quantico. Była matką pięcioletniej dziewczynki i miała przed sobą wspaniałą karierę w policji, ponieważ za miesiąc miała otrzymać kolejny awans do stopnia porucznika .

Pod artykułem znajdowały się dwie fotografie Grace: jedno zwykłe zdjęcie w mundurze, zrobione podczas uroczystości mianowania w NYPD, a drugie prywatne, do którego pozowała na tle oceanu w towarzystwie swojej malutkiej jeszcze wówczas córeczki.

Fotografie były wyraźne, dzięki czemu Sam mógł stwierdzić, że to ta sama kobieta, którą spotkał przed paroma godzinami w Central Parku. Kobieta nieżyjąca od dziesięciu lat...

Wreszcie zobaczył taksówkę wyjeżdżającą zza rogu. Zapalone światelko wskazywało, że nie jest zajęta. Sam zrobił krok do przodu i zamachał ręką. Gdy taksówka podjeżdżała, z prawej strony nadjechał wóz policyjny, który zatrzymał się tuż obok niego. Siedzący wewnątrz

oficer opuścił szybę. Miał około pięćdziesiątki i ponury wyraz twarzy.

— Pan Galloway?

— Tak. Słucham?

— Jeśli nie ma pan nic przeciwko temu, zapraszam pana na małą przejażdżkę.

— No cóż, w tej chwili raczej nie mam na to ochoty. Bardziej potrzebuję taksówki niż oficjalnej eskorty.

— Jestem zmuszony nalegać.

— A ja jestem zmuszony odmówić. Mam dość na dziś widoku mundurów, poza tym nie podobają mi się pańskie maniery.

— Proszę mnie nie zmuszać do zastosowania innych środków.

— To znaczy jakich?

— Zawsze mogę wysiąść z samochodu i dać panu w mordę — zagroził gliniarz.

— Naprawdę? Chciałbym to zobaczyć.

— W takim razie pokażę panu.

Samochód ruszył i stanął na chodniku, zagradzając Samowi drogę. Oficer wyskoczył jak błyskawica i podbiegł do niego. Był to krępy mężczyzna średniego wzrostu, nieco otyły, ale dość zwinny.

— Oficer Mark Rutelli — oznajmił, kładąc dłoń na służbowym pistolecie schowanym w kaburze przypiętej do paska.

Spojrzał lekarzowi prosto w oczy i ten odczytał w nich niezłomną determinację. Ten człowiek wydawał się gotów zrobić wszystko, żeby Sam wsiadł do samochodu.

— Sądzę, że powinien pan przeczytać napis na swoim samochodzie — powiedział Sam, wskazując trzy litery:

UPS — Uprzejmość, Profesjonalizm, Szacunek — mające rzekomo stanowić dewizę miejskiej policji.

— No to ostatni raz poproszę pana grzecznie — odparł Rutelli. — Naprawdę chciałbym, żebyśmy odbyli krótką rozmowę.

Widząc, że nie ma innego wyjścia i że w żaden sposób nie da się uniknąć rozmowy z tym wariatem, Sam spytał zrezygnowanym tonem:

— O czym chce pan ze mną rozmawiać?

— O mojej dawnej koleżance Grace Costello.

Sam wsiadł do samochodu i Rutelli ruszył na południe.

— Jest pan lekarzem, prawda?

— Owszem. Jestem pediatrą, ale nie wiem, co to ma do rzeczy...

Rutelli przerwał mu ruchem ręki.

_ Kiedy pół godziny temu zszedłem ze służby

i wróciłem do bazy po swoje rzeczy, facet z centralki telefonicznej powiedział mi, że pewien oficer z dwudziestego pierwszego okręgu pytał go o Grace Costello...

— To ja go o to prosiłem — oznajmił Sam.

— ...i że myśli, że ona żyje.

— Bo żyje.

— A skąd to przekonanie?

— Rozmawiałem z nią dziś po południu.

Rutelli westchnął ciężko. Sam zauważył, że zaczęły mu drżeć ręce i że zaciska palce na kierownicy, żeby nie wybuchnąć. Opuścił szybę, wciągnął haust powietrza, przez parę sekund nic nie mówił i jechał, nie zwracając uwagi na czerwone światło.

Kiedy samochód skierował się na most Brooklyński, Sam spytał:

— Dokąd jedziemy?

— Tam, gdzie zrozumie pan, że duchów nie ma.

Dojechali do Bensonhurst, ostatniej prawdziwej włoskiej dzielnicy w Nowym Jorku, od kiedy Mała Italia zamieniła się w atrakcję turystyczną.

Policjant objechał parę razy kwadrat ulic w poszukiwaniu miejsca do zaparkowania. Na pięciu albo sześciu metrach wzdłuż jednego z chodników ktoś postawił tablicę z groźnym napisem:

YOU TAKE MY SPACE I BREAK YOUR FACE¹

Rutelli nie należał jednak do facetów, których można przestraszyć. Wsiadł z wozu, kopnął z pogardą tablicę i zaparkował na jej miejscu.

Następnie wciągnął Sama do małej kawiarni-restauracji, którą chyba dobrze znał. Stary neonowy szyld informował, że lokal istnieje od blisko czterdziestu lat, co było dość wyjątkowe w takim mieście jak Nowy Jork, gdzie wszystko nieustannie się zmienia.

— Proszę za mną — rozkazał.

Sam wszedł za nim do małej salki, w której pachniało apetycznie chlebem, oliwą z oliwek i śródziemnomorską *fougasse*. Na ścianie pełno było zdjęć znanych osobistości włosko-amerykańskich: Sinatry, Pavarottiego, De Niro, Travolty, Madonny, Stallone'a...

Dwaj mężczyźni usiedli na kanapce obitej moleskinem.

¹ Dosłownie: Zajmiesz moje miejsce, to obiję ci mordę.

- Ciao, Marko — powiedział właściciel, stawiając przed Rutellim napoczętą butelkę wódki.

— Ciao, Carmine.

Rutelli nalał sobie kieliszek i wypił jego zawartość jednym haustem, dzięki czemu natychmiast przestały drżeć mu ręce.

Uspokojony, poprosił Sama, żeby powiedział mu dokładnie, co wie o Grace.

Sam przedstawił mu całą swoją historię, od poznania Juliette do spotkania Grace w Central Parku, nie pomijając katastrofy samolotu. Kiedy skończył, Rutelli znowu nalał sobie wódki, potem przetarł oczy, z których i tak nie zniknął wyraz smutku.

— Niech pan posłucha, Galloway. Ja i Grace pracowaliśmy w jednej ekipie przez ponad dziesięć lat. Wstąpiliśmy do kryminalnej mniej więcej w tym samym czasie i zajmowaliśmy się tymi samymi sprawami. Nie tylko tworzyliśmy dobry zespół, byliśmy także przyjaciółmi, bardzo dobrymi przyjaciółmi...

Mówiąc to, wyjął z portfela zdjęcie i podał je Samowi. Lekarz popatrzył na nie uważnie: Rutelli stał w towarzystwie Grace w jakimś miejscu, gdzie było jezioro i łańcuch górski w tle. Byli młodzi i piękni. Grace promieniała, a Rutelli, szczupły i uśmiechnięty, z ufnością patrzył w przyszłość. Różnił się diametralnie od tego pełnego złości mężczyzny siedzącego teraz przed Samem.

— Czy mogę panu zadać jedno pytanie? Rutelli skinął zachęcająco głową.

— Skoro pracował pan z Grace, z pewnością pan również był detektywem.

— Oczywiście, i tak jak ona miałem być awansowany do stopnia porucznika.

— Więc co takiego się stało, że teraz jest pan tylko zwykłym oficerem patrolowym?

Rutelli sięgnął do kieszeni, wyjął z paczki papierosa i zapalił. Nie wyglądał na takiego, któremu można przypomnieć o zakazie palenia w miejscu publicznym.

— Od śmierci Grace nic już nie jest dla mnie ważne.

— Ma pan problem z alkoholem?

— Problem z alkoholem?

— Jest pan alkoholikiem, Rutelli?

— A co to pana obchodzi?

— Nie osądzam pana, ale jestem lekarzem i może mógłbym pomóc.

W odpowiedzi na tę propozycję, Rutelli machnął tylko ręką.

— Wiem, Anonimowi Alkoholicy i całe te mecyje! Dziękuję, ale to nie dla mnie.

Chciał dodać coś jeszcze, ale słowa uwięzły mu w gardle. Przełknął więc ślinę i po chwili mówił dalej:

— Grace знаła mnie dobrze, wszystkie moje wady i zalety. Potrafiła wydobyć ze mnie to, co najlepsze.

Zaciągnął się głęboko, po czym kontynuował:

— Dla niej wszystko było zawsze pozytywne, bo wierzyła w te wszystkie rzeczy... — powiedział, robiąc nieokreślony gest.

— Jakie rzeczy?

Jego wzrok powędrował gdzieś daleko, za okno. Zaraz potem Rutelli sprecyzował swoją myśl:

— Ona wierzyła w szczęście, w przyszłość, w dobrą stronę rzeczy i w ludzi... Wierzyła w ludzkość.

Zamilkł na parę chwil, a potem wyznał:

— Ja taki nie jestem.

Ja też nie, przyznał Sam w głębi duszy.

— Bez niej ta robota szybko stała się dla mnie nie do zniesienia. Nie było jej przy mnie, by mnie podtrzymać na duchu, pomóc się opanować...

— I został pan zdegradowany? Rutelli przytaknął.

— To prawda, że ostatnio często przekraczałem żółtą linię.

— A co pan sądzi o moim dzisiejszym spotkaniu z Grace?

Ręce policjanta znów zaczęły drżeć.

— To nie była ona, Galloway—powiedział, nalewając wódkę do kieliszka.

— W takim razie był to ktoś, kto wyglądał dokładnie jak ona, jakby czas stanął w miejscu i nadal miała tyle lat co na tej fotografii.

— Ona dostała kulkę w głowę, Galloway. Kurewską kulkę, która rozsadziła jej czaszkę! Jest pan w stanie to pojąć? — krzyknął policjant.

— A może ona nie umarła? — zaryzykował Sam. Rutelli wybuchnął.

— Przecież kiedy rozwalili Grace, to ja poszedłem zidentyfikować ciało w zakładzie medycyny sądowej! Widziałem jej twarz i płakałem, trzymając ją w ramionach! Niech mi pan wierzy, to była ona!

Sam spojrzał mu w oczy i wiedział, że Rutelli nie kłamie.

Kilka minut później policjant odwiózł go do domu. Kiedy zatrzymali się przed domem w Greenwich Village, zdawało się, że Rutelli odzyskał spokój.

— Raczej szykowna ta pana dzielnica, doktorze.

— To długa historia — westchnął Sam.

Z powodu zimna nadal siedzieli w samochodzie, paląc w ciszy wieczoru ostatniego papierosa. Lodowaty wiatr kołysał gałęziami tulipanowców i glicynii. Przez długą chwilę żaden z nich się nie odzywał. Sam myślał o Juliette zamkniętej w celi. Rutelli o Grace, jedynej kobiecie, jaką kiedykolwiek kochał, i jeszcze raz pożałował, że nie zdążył wyznać jej swoich uczuć. Wreszcie ciszę przerwał Sam:

— Kto zabił Grace? Czy pan to wie? Policjant pokręcił głową.

— Przez ponad rok prowadziłem śledztwo na własną rękę, bez przerwy. Nie żał mi było weekendów i urlopu. Jednak nie natrafiłem na żaden istotny ślad.

Mówiąc to, zgasił papierosa i uruchomił silnik.

— No to cześć, Galloway.

— Cześć, Rutelli — odpowiedział Sam, otwierając drzwiczki. — I niech pan wpadnie do mnie, kiedy przyjdzie panu ochota przestać pić. Jedna z moich znajomych mawia, że „nie ma problemów, są tylko rozwiązania”.

— Grace też mi to powtarzała.

Spontanicznie wyciągnął do niego rękę, zaskoczony dziwną komitywą, jaka zdawała się łączyć go z tym młodym lekarzem.

— Musi być z pana zabawny lekarz, no nie?

— Czasami tak o mnie mówią — przyznał Sam, ściskając wyciągniętą dłoń.

O dziwo, Rutelli jakby odzyskał werwę. Jego oczy błyszczały jak diamenty.

— Co zamierza pan teraz zrobić? — zaniepokoił się Sam.

— Ktoś w tym mieście chce uchodzić za Grace Costello — stwierdził Rutelli. — Muszę dojść kto i po co.

— Niech pan na siebie uważa.

— Pan także, doktorze, bo nigdy nic nie wiadomo. Sam wysiadł z samochodu i oddalił się. Ledwo trzymał

się na nogach. Kręciło mu się w głowie i bolał go brzuch. Pchnął drzwi domu z niezłomnym zamiarem rzucenia się na łóżko.

Zaabsorbowani rozmową dwaj mężczyźni nie zauważyli, że temu, co mówili, przysłuchiwał się jakiś cień zaczajony po drugiej stronie ulicy.

Kiedy znalazł się po drugiej stronie mostu, duchy wyszły mu na spotkanie.
podtytuł filmu *Nosferatu*

Sam przejrzał wiadomości nagrane na komórce i na biperze. Większość z nich pochodziła ze szpitala. Najwidoczniej usiłowano się z nim połączyć przez całe popołudnie.

Co tam się stało?

Miał właśnie oddzwonić, kiedy usłyszał jakiś hałas.

Zaintrygowany wbiegł po schodach na piętro i otworzył drzwi do pokoju. Lodowaty podmuch wdarł się do pomieszczenia, jakby wywołany przeciągiem. Okno było otwarte. Na parapecie siedziała smukła kobieta — Grace Costello.

— Jak się pani tu dostała?

— To nie było takie trudne — odpowiedziała, zeskakując na podłogę z kocią zwinnością.

— Jest pani w prywatnym mieszkaniu! Czy ma pani oficjalne zezwolenie?

Grace wzruszyła ramionami.

— Co pan sobie wyobraża? Że gra w jakimś filmie?

— Wezwę policję — zagroził, rzucając się w stronę telefonu.

Silnym chwytem za rękę powstrzymała jego zamiar.

— Ja jestem policją.

Niezrażony Sam złapał ją za kołnierz skórzanej kurtki.

— Nie boję się pani, chociaż jest pani uzbrojona. Podniosła głowę. Zauważył, że jest bardzo piękna: ma

delikatne rysy twarzy, a głęboko osadzone oczy błyszczą w półmroku. Była tak blisko, że czuł jej oddech na twarzy.

— Nie mam najmniejszego zamiaru pana straszyć, doktorze — powiedziała łagodniejszym tonem.

— Chcę tylko z panem porozmawiać.

— A o czym to? — spytał, puszczając ją.

— O Juliette.

— Skąd pani wiedziała, że nie poleciała tym samolotem?

Odsunęła się i nie odpowiadając na jego pytanie, zaczęła wolno chodzić po pokoju, przyglądając się półkom wypełnionym książkami.

— Czy wierzy pan w życie pozagrobowe, doktorze Galloway?

— Nie — odparł bez wahania.

— To może wierzy pan chociaż w niematerialną stronę rzeczy?

— Przykro mi, że muszę panią rozczarować, ale w tej dziedzinie moje kompetencje nie przekraczają wiedzy krewetki.

— A jednak, kiedy traci pan w szpitalu jakiegoś pacjenta, czy nie zastanawia się pan, co się z nim dzieje potem?

— Zdarzało się — przyznał Sam.

Przez ułamek sekundy przed jego oczami pojawiła się twarz Federiki.

Gdzie ona jest teraz? Czy istnieje gdzieś gdzie indziej? Miejsce, do którego wszyscy trafiamy?

Próbował odegnąć od siebie te myśli.

— Kto, pana zdaniem — kontynuowała Grace — decyduje o chwili śmierci?

Lekarz zmarszczył brwi.

— Nie licząc zabójstw i samobójstw, umieramy wtedy, kiedy nasz organizm wyczerpie wszystkie swoje siły.

— Trele-morele...

— Kiedy to prawda. Ludzie mają tyle lat, ile ich arterie. Ich zdrowie zależy od ich natury, sposobu odżywiania się i higieny życia.

— A co z wypadkami? Wzruszył ramionami.

— Są tym, co nazywamy ryzykiem, czyż nie tak? Następstwem nieszczęśliwych przypadków, które sprawiają, że znajdujemy się w jakimś miejscu o niewłaściwej porze.

— Czy nie wydaje się to panu zbyt banalne?

— Nie, nie wydaje mi się to zbyt banalne i nie wiem, do czego pani zmierza...

— Proszę sobie wyobrazić, że godzina i okoliczności naszej śmierci są z góry zaplanowane — zaryzykowała Grace.

— Oglądałem *Matńksa* w telewizji, ale niewiele z tego zrozumiałem.

— Ja mówię poważnie. Niech pan wyobrazi sobie, że zaprogramowano śmierć pewnej młodej kobiety w katastrofie lotniczej...

— Nie wierzę w takie kretyńskie żarty ze strony losu.

- Niech pan sobie wyobrazi, że z jakichś sentymentalnych pobudek ta kobieta opuszcza samolot w ostatniej chwili, krzyżując w ten sposób plany Śmierci.
 - Powiedziałbym, że ta kobieta miała wielkie szczęście i że tym lepiej dla niej.
 - Nie robi się czegoś takiego Śmierci.
 - Jak widać, to możliwe. Grace spojrzała w oczy Sama.
 - Właśnie próbuję panu uświadomić, że wszystko ma jakiś sens, Galloway. Nie zdarza się nic, co nie powinno się zdarzyć, nawet jeśli namiętności ludzkie rozregulowują czasami niebiańskie mechanizmy...
 - A jaki to ma związek z Juliette?
 - Juliette miała zginąć w tej katastrofie, bo taka jest kolej rzeczy. Zostałam tu przysłana, żeby ten błąd naprawić.
 - Naprawić błąd?
 - Tak, Galloway, jestem emisariuszką...
 - A jaką powierzono pani misję?
 - Wydawało mi się, że pan zrozumiał, doktorze: powierzono mi misję zabrania Juliette.
 - Dokąd?
 - Tam, na górę — odpowiedziała, wskazując palcem w powietrze.
- Sam milczał przez dobrą minutę jak terapeuta, który skupia się przed wypisaniem recepty.
- Jeśli dobrze rozumiem, jest pani kimś w rodzaju urzędnika z zaświatów, mającego w swojej gestii zgony?
 - Można tak to ująć.
 - To, co przeraża mnie najbardziej... — zaczął Sam.
 - Tak?

- Najbardziej przeraża mnie to, że pani wierzy w to, co mówi. Czyżbym się mylił?
 - Przyznaję, że trudno to zrozumieć — odparła Grace.
 - Z nieznanych mi powodów ma pani jakieś poważne zaburzenia, ale jako lekarz mógłbym może pani pomóc w...
 - Niech pan przestanie ofiarowywać co chwila swoje usługi!
 - Powiedziałem to dla pani dobra.
 - Mam gdzieś pana współczucie. Umarłam dziesięć lat temu i zostałam pochowana.
 - W takim razie dość już tego! — przerwał jej Sam. — Proszę stąd wyjść!
 - Współpraca z panem nie będzie należała do przyjemności — westchnęła Grace. Skierowała się w stronę okna, przez które weszła.
 - Jeszcze jedno, doktorze: niech pan przestanie wypytywać ludzi, zostawi w spokoju Marka Rutellego i nikomu o mnie nie opowiada.
 - No cóż, widać to pani ma wyłączność na wtrącanie się w życie innych.
 - Proszę posłuchać mojej rady: kiedy zaczynamy grzebać w przeszłości, kłopoty pojawią się same.
 - Trele-morele...
 - Uprzedzałam...
- Nagle odpowiedzialny lekarz wziął górę nad rozzłoszczonym mężczyzną i Sam pożałował, że pozwala oddalić się kobiecie, której najwidoczniej potrzebny jest psychiatra.
- Jeśli ma pani problemy, proszę przyjść do mnie do szpitala na konsultację — zaproponował znowu.
 - W porządku, jeszcze się zobaczymy, Galloway, jeszcze się zobaczymy...

Grace przełożyła nogi przez parapet. Już miała zeskoczyć na drugą stronę, kiedy zatrzymała się i wystrzeliła w stronę Sama nową raketę:

— Och, byłabym zapomniała: niech się pan nie martwi, pańska żona nadal pana kocha, mimo tego, co powiedział jej pan niedawno na cmentarzu.

Jednocześnie osłupiały i wściekły, Sam nie reagował przez parę sekund, a potem rzucił się w stronę okna.

— Od kiedy mnie pani szpieguje?! — krzyknął na całą ulicę.

Ale Grace Costello już nie było.

Na wydziale medycyny uczą nas, że ostatnim obrazem, jaki ludzie zabierają ze sobą, jest twarz lekarza ratownika. Staram się nie zapominać o tym, kiedy widzę wszystkie te przerażone oczy wpatrzone we mnie.

fragment dialogu z filmu *Znamię* Toma Shadyaca

Szpital Świętego Mateusza, wtorek rano

— Spóźnił się pan, doktorze Galloway.

— W porządku, proszę pozwolić mi dojść do siebie — odpowiedział Sam, zapinając fartuch.

Janice Freeman, szefowa oddziału nagłych wypadków, właśnie segregowała zgłoszenia z tego ranka.

Ta postawna Afroamerykanka bardzo ceniła Sama, który odwzajemniał jej się tym samym.

— Czy w pobliżu pana głowy nie wybuchła przypadkiem laska dynamitu, doktorze? — spytała, czyniąc aluzję do rozczochranych włosów lekarza.

— Miałem niespokojną noc.

— Cieszę się z tego faktu razem z panem.

— To nie było to, o czym pani myśli — zaprotestował Sam.

— Och, nie musi się pan tłumaczyć.

— No dobrze, co pani dla mnie ma?

— Muszę z panem porozmawiać.

W chwili gdy Janice zamierzała coś powiedzieć, do szpitala wtargnęła jakaś kobieta z dzieckiem na rękach.

— Lekarza, szybko!

— Zajmę się nią — zdecydował Sam.

— Idę z panem — rzuciła Janice.

— Co się stało, proszę pani? — spytał Sam, układając dziecko na noszach.

— To mój syn, Miles. — Ile ma lat?

— Cztery. Osa użądliła go w szyję, kiedy odprowadzałam go do szkoły.

Osa? W środku zimy?

— Czy jest pani pewna, że to była osa?

— Nie wiem... Tak sędzę.

Jasna cholera! Czy nie ma już pół roku?

Sam rozciął sweter Milesa, żeby obejrzeć rzekome użądlenie. Rzeczywiście, szyję chłopca zniekształcała wyraźna opuchlizna.

O cholera!

— Czy to obrzęk Quinckego? — zaniepokoiła się Janice.

— Niestety.

— Trzeba szybko działać, Sam! On przestał oddychać!

— Zrobię tracheotomię.

W jednej sekundzie lekarz pochylił się nad dzieckiem, umieścił rurkę w jego tchawicy, tuż pod jabłkiem Adama, następnie podłączył tubę strzykawki, by ułatwić oddychanie.

- Wentyluję — powiedziała Janice.
- Proszę mu podać trzysta adrenaliny i czterysta solumedrolu.
- Zwracając się do matki Milesa, powiedział:
- Wszystko jest pod kontrolą, proszę pani, niebezpieczeństwo minęło.
- Stojąc obok automatu do kawy, Sam delektował się pierwszym tego ranka gorącym napojem. Jego twarz rozjaśniał uśmiech zadowolenia. Takie właśnie poranki lubił: dobra diagnoza, szybka interwencja i czyjeś życie uratowane!
- Lubi pan myśleć, że jest pan Bogiem, co? — odezwała się Janice, która dołączyła do niego.
- A panią chyba podnieca zadawanie mi takich pytań — odciął się bez namysłu.
- W każdym razie świetna robota.
- Dziękuję. Nalać pani kawy?
- No dobrze, zaszaleję: poproszę cappuccino!
- Czy to pani zostawiła mi wczoraj trzydzieści sześć wiadomości na automatycznej sekretarce?
- Chyba raczej trzydzieści sześć tysięcy.
- Co było takiego pilnego? — spytał, wrzucając kilka monet do automatu.
- Nie do mnie należy informowanie pana o tym, Sam. W naszym zawodzie zdarzają się wielkie radości i wielkie zmartwienia...
- Proszę przejść do rzeczy — poprosił nagle zaniepokojony.
- Chodzi o Angelę. Umarła, Sam. Wczoraj wieczorem.

— To... to niemożliwe! Przecież jej stan był stabilny.

— Nikt z nas nie wiedział, co się naprawdę stało. Może to była jakaś piorunująca infekcja. W każdym razie coś bardzo rzadkiego.

Przybity tą wiadomością, Sam ruszył do windy. Naciskał niecierpliwie przycisk, musi koniecznie sprawdzić wszystko osobiście.

— Doktorze Galloway, niech pan zaczeka! Ponieważ winda nie przyjeżdżała, postanowił skorzystać ze schodów ewakuacyjnych, nie reagując na wołania Janice.

Pchnął drzwi sali. Łóżko było zaścielone, a z pokoju znikły wszystkie osobiste przedmioty dziewczynki. Sam był załamany. Tak bardzo wierzył, że zdoła uratować Angelę.

Wkrótce nadeszła Janice.

— Zostawiła to dla pana — powiedziała, podając mu kartonową teczkę.

Sam otworzył ją ze wzruszeniem. W środku nie było żadnego listu. Tylko plik rysunków: pastele, gwasze, kolaże z kawałeczków tektury i piasku. Zawsze takie same zagadkowe rysunki o wypukłej fakturze, przypominające płótna jego żony. Zawsze abstrakcyjne kształty w kolorze krwi i wypalonej gliny, splątane w skomplikowanych spiralach.

Czy coś oznaczały? Często nakłaniał dzieci do rysowania, chcąc w ten sposób pomóc im wyrazić lęki i emocje. Był to dla nich środek wyrazu bardziej naturalny od słów. Czasami Sam proponował nawet swoim małym pacjentom chorym na raka lub na białaczkę, żeby rysowali sceny walki pomiędzy ich systemem odpornościowym i atakującą chorobą. Nawet jeśli nie była to metoda bardzo

naukowa, rezultaty pozwalały często dość dokładnie przewidzieć rozwój choroby.

Jak jednak miał interpretować rysunki Angeli?

Kiedy Janice namawiała go do opuszczenia pokoju, Sam przypomniał sobie nagle wczorajszą rozmowę z Grace Costello.

— Czy czasami zadaje sobie pani pytanie, Janice?

— Jakie pytanie?

— Czy nigdy się pani nie zastanawia, dokąd się udają, kiedy od nas odchodzą?

— Owszem. — Janice Freeman westchnęła głęboko. — Oni nigdzie nie idą, Sam, oni umierają.

*

Z kanapką w jednej ręce i z komórką w drugiej Sam chodził tam i z powrotem po tarasie na dachu szpitala. To tutaj lądowały helikoptery z rannymi albo organami do przeszczepów. Dostęp na dach był ściśle ograniczony, żaden lekarz nie był uprawniony do spędzania tam przerwy śniadaniowej. Sam uwielbiał to miejsce, jedyne, gdzie mógł spokojnie palić. Wolał mieć tę odrobinę wolności tutaj, niż sterczeć pod budynkiem razem z innymi niepoprawnymi palaczami, skazanymi na pełne potępienia spojrzenia przechodniów, którzy musieli uważać ich za pomioty szatana. Stany Zjednoczone to chyba jedyne miejsce na świecie, gdzie tak łatwo kupić papierosy. Problemem jest zakaz palenia.

Sam wykorzystał przerwę, by zatelefonować do adwokata, który zajął się sprawą Juliette.

Dziewczyna nadal przebywała w areszcie, a on nie spodziewał się zwolnienia jej w najbliższym czasie. Galloway powiadomił go, że

cokolwiek się stanie, zapłaci kaucję, kiedy tylko zajdzie taka konieczność. Żeby uzyskać kilka dodatkowych informacji, zadzwonił do francuskiego konsulatu, podając się za narzeczonego Juliette. Był odsyłany od jednego biura do drugiego i wreszcie po długiej chwili łaskawie połączono go z urzędnikiem, który zapewnił, że konsulat „przedsięwziął wszelkie środki niezbędne dla zapewnienia ochrony mademoiselle Beaumont”.

Kiedy Sam spytał, jakie to środki, w odpowiedzi usłyszał solidną mowę-trawę. Był oburzony sposobem, w jaki traktowano Juliette, i oświadczył, iż uważa za niedopuszczalne, żeby Francja — tak chętnie pouczająca wszystkich w sprawach dotyczących demokracji — opuściła teraz jedną ze swoich obywaterek. W oględnych słowach poradzono mu, żeby nie mącił wody. Wszyscy dobrze wiedzieli, że historia z zamachem nie ma żadnych podstaw, ale w związku z nieporozumieniem obydwu państw w kwestii Iraku Paryż starał się zbliżyć do Waszyngtonu i nie zamierzał psuć stosunków tym incydentem.

Sam nie wytrzymał.

— Jasne, i nie przeszkadza wam wcale, że z niejasnych powodów politycznych niszcycie życie własnej obywatelki!

Kiedy tak wyrzucał z siebie potok zarzutów pod adresem władz francuskich, nagle otworzyły się drzwiczki prowadzące na dach i ukazała się w nich Grace Costello.

Przez moment słuchała, po czym podeszła do Sama i wyjęła mu z ręki komórkę, kładąc tym samym kres rozmowie.

— Proszę mi to oddać!

— Niech się pan uspokoi, doktorze Galloway, pana przyjaciółka odzyska w końcu wolność.

— Tylko pani tu brakowało! Jeśli nie przestanie mnie pani śledzić, będę zmuszony...

— Przecież to pan mnie tu zaprosił!

Sam oparł się pokusie zapalenia drugiego papierosa i wziął głęboki oddech.

— No więc, Grace, czy jak tam pani na imię, co takiego ma mi pani zamiar dzisiaj oznajmić: że to pani zabiła Kennedy'ego?

— Czy myślał pan o naszej wczorajszej rozmowie?

— Jeśli chce pani wiedzieć, to mam inne zajęcia.

— Nie uwierzył pan w ani jedno słowo z mojej historii o emisariuszce, prawda?

Sam znów westchnął. Grace podeszła do krawędzi dachu i, patrząc w dół, bawiła się udawaniem strachu.

Rozciągał się stąd niesamowity widok: na wody East River oświetlone promieniami słońca, które błyszczały tysiącem światełek, na całą panoramę z drapaczami chmur z jednej strony i na zabudowania przemysłowe na zachód od Queens.

— Niezły widok, co? — powiedział, podchodząc do Grace. — Zresztą stamtąd, z nieba, przywykła chyba pani do takich widoków...

— Ha, ha, ha, bardzo śmieszne! Nigdy nie miał pan zamiaru pisać skeczy humorystycznych?

Bardzo zręcznie wspięła się na samą górę metalowych schodków prowadzących na pomost, gdzie zainstalowano coś w rodzaju anteny. Na to bardzo niebezpieczne miejsce wstęp był surowo wzbroniony, ale Sam poszedł za nią, trochę z chęci sprostania wyzwaniu, a głównie po to, by ją chronić, na wypadek gdyby przyszło jej do głowy skoczyć. Od czasu śmierci Federiki wszędzie widział samobójców.

— Wygląda na to, że jest pan w paskudnym nastroju, doktorze. Coś nie tak?

— Wszystko jest nie tak: kobieta, którą kocham, jest w więzieniu i właśnie straciłem małą pacjentkę, na której mi bardzo zależało.

Grace pokiwała głową.

— Małą Angełę?

— Skąd pani wie?

— Rozumiem pana ból. Wiem, że jest pan młodym lekarzem, kompetentnym i pełnym dobrej woli, ale w czasie studiów zapomniano powiedzieć panu jedną rzecz.

— Jaką znowu?

— Że walka z porządkiem rzeczy jest bezskuteczna — powiedziała, starannie ważąc słowa.

— Nie istnieje żaden porządek rzeczy! Nic nie jest z góry zaplanowane!

— Nie twierdzę, że trzeba być fatalistą — westchnęła — ale że są takie chwile, kiedy trzeba zrezygnować...

— Niech pani na mnie nie liczy: zrezygnować znaczy poddać się.

— Ludzie mu s z ą pewnego dnia umrzeć — przerwała mu oschle. — Tak to już jest.

— Co pani wiadomo na ten temat?

Ponownie spojrział w jej twarz, która stała się jeszcze surowsza.

— Przecież ja umarłam.

— Bredzi pani!

Natychmiast pożałował, że dał się ponieść. Tej kobiecie brakuje piątej klepki. Powinien uznać ją za pacjentkę.

— Proszę posłuchać, jest pani w szpitalu, dlaczego więc nie miałyby pani z tego skorzystać i odpocząć tu przez jakiś czas?

- Ale ja wcale nie jestem zmęczona.
- Mógłbym postarać się dla pani o miejsce na oddziale psychiatrycznym. Mamy tam doskonałych specjalistów, którzy...
- No proszę, traktuje mnie pan jak wariatkę! Ale ja nie dam się obrażać tylko dlatego, że umarłam!
- Pewnie, i za chwilę powie mi pani, że pani umysł opanowały istoty pozaziemskie.
- Proszę bardzo! Może pan sobie ze mnie drwić!
- Sama pani tego chciała!

Grace po raz któryś westchnęła ciężko.

- Dobra! Widzę, że nie dojdziemy do porozumienia — stwierdziła, wstając. — Za dużo pan mówi i za mało słucha, co do pana mówię.

Mówiąc to, wyjęła z kabury pistolet i wycelowała w lekarza.

- Trudno, sam pan tego chciał.

*

Gabinet Sama był skromnym pomieszczeniem z oknem wychodzącym na rzekę. Metalizowany laptop sąsiadował na stole z pustą ramką, czapką Yankees i piłką baseballową ozdobioną autografem. Do korkowej tablicy zawieszanej na ścianie naprzeciwko drzwi przypiętych było kilka dziecięcych rysunków.

Grace zajęła miejsce w fotelu, podczas gdy Sam, w dalszym ciągu pod lufą pistoletu, usiadł na jednym z krzeseł.

- Teraz wysłucha mnie pan uważnie i oszczędzi mi uwag i sarkazmu. Czy to jasne?
- Dobra — odrzekł Sam, nie wiedząc, czy ma uważnie słuchać, czy też się bać.

— A więc wszystko, co powiedziałam panu wczoraj, jest prawdą: dziesięć lat temu zostałam zabita i z niezrozumiałych dla mnie powodów przysłano mnie na ziemię z pewną misją.

Sam chciał coś powiedzieć, ale w porę ugryzł się w język.

— W dalszym ciągu mi pan nie wierzy?

— Dziwi to panią?

— Co pan w takim razie proponuje?

— Myślę, że nie została pani zabita. Myślę, że sfingowała pani swoją śmierć. Myślę, że policja dla bezpieczeństwa stworzyła pani nową tożsamość.

— A przed kim chciano mnie bronić, jeśli łaska?

— Sam nie wiem: przed mafią, przed grożącą pani bandą kryminalistów... Podobną historię słyszałem już kiedyś w telewizji.

Grace uniosła wzrok do nieba.

— Jeśli pan myśli, że to się dzieje w taki sposób...

Wstała z fotela i zaczęła chodzić po pokoju, zastanawiając się, jak przekonać lekarza. Nagle pokazała palcem leżący na biurku artykuł o jej śmierci.

— Według tej gazety ile miałam lat, kiedy umarłam?

— Trzydzieści osiem — odpowiedział Sam, rzuciwszy przedtem okiem na artykuł.

— A myśli pan, że to ja jestem na tym zdjęciu?

— Pani albo ktoś bardzo do pani podobny. Może siostra?

— Nie mam siostry, co łatwo można sprawdzić w mojej kartotece.

Podeszła do niego. W każdym jej ruchu było dużo wdzięku.

— Zna się pan na tym trochę?

— Na czym?

— Na kobietach.

Trzymając przez cały czas pistolet w rękę, oparła się nonszalancko o biurko i pochyliła w stronę Sama. Biła od niej gorąca zmysłowość. Sam zrozumiał, że bawi się nim, i spróbował nie dać się wytrącić z równowagi.

— Ile pana zdaniem mam lat?

— Nie mam zielonego pojęcia.

— No, dalej!

— Między trzydziestką a czterdziestką.

— Dzięki za trzydziestkę. Faktycznie wyglądam teraz tak samo jak w chwili śmierci. Trochę jakby czas stał przez dziesięć lat. Nie uważa pan, że to dziwne?

Sam nie odpowiedział, więc Grace mówiła dalej:

— A ile powinnam mieć lat?

— Prawie pięćdziesiąt.

— Czy pana zdaniem mam pięćdziesiąt lat?

— W obecnych czasach dzięki chirurgii plastycznej jest wiele pięćdziesięciolatek, które mogłyby pozować dla „Playboya”.

Zbliżyła się jeszcze bardziej i odgarnęła do tyłu włosy, żeby pokazać mu szyję.

— Czy widzi pan jakieś ślady interwencji chirurgicznej?

— Nie — przyznał Sam.

— Dziękuję za szczerość — odpowiedziała, najwidoczniej zadowolona ze zdobytego punktu.

— Mimo tego pani wczorajsza opowiadka wcale nie zyskuje przez to na wiarygodności: pomyśl, jakoby przebieg życia każdego z nas był gdzieś zapisany, w jakiejś... — Sam nakreślił w powietrzu cudzysłów — ...księdze przeznaczenia.

— Kpiny pan sobie robi, ale to coś w tym rodzaju — przyznała Grace.

— To absurdalne i żalosne. Kto dziś wierzy w przeznaczenie?

— Z całym szacunkiem, ale od prawie dwóch tysięcy lat różne religie zadają sobie to pytanie, więc nie bardzo wiem, jak pan mógłby znaleźć na nie odpowiedź w ciągu jednego popołudnia.

Usiadła w fotelu.

— Spróbujmy porozmawiać poważnie przez dwie minuty, doktorze. Doskonale rozumiem, że wygodniej jest myśleć, iż panujemy nad tym, co nam się w życiu przydarza. Zresztą w większości przypadków udaje nam się w to uwierzyć. Jednak są jeszcze inne rzeczy, na które nie możemy mieć wpływu. Jeśli chodzi o Juliette, to ona miała zginąć w tej katastrofie. Bardzo mi przykro, ale każdy musi podążać jedyną drogą, jaka została mu przeznaczona.

— Teraz słyszę jakieś buddyjskie kretyństwa!

— To nie ma nic wspólnego z buddyzmem i czy się to panu podoba, czy nie, zabiorę Juliette ze sobą.

— Jeśli wolno spytać, z jakiego środka transportu zamierza pani skorzystać, by udać się w zaświaty?

Może wsiądziecie do latającego spodka?

— Prawdę mówiąc, to żaden problem. Obie skorzystamy z tej samej drogi.

Otworzyła laptopa, połączyła się z Internetem, wystukała coś na klawiaturze, po czym odwróciła ekran w stronę Sama.

Na ekranie widniała strona internetowa dziennika „New York Post”, a u góry ekranu przesuwał się pasek z alarmującą informacją:

Straszliwy wypadek kolejki linowej !

Dziś o godzinie dwunastej trzydzieści jedna z kabin kolejki linowej na Roosevelt Island urwała się i wpadła do rzeki z co najmniej dwiema osobami znajdującymi się wewnątrz.

Sam nie mógł tego zrozumieć. Przecież nie dalej jak przed godziną oglądał w kafeterii skrót informacji i jeśli dobrze pamiętał, o niczym takim nie było mowy. Ta kobieta jest z całą pewnością szalona, dla uwiarygodnienia tego, co mówi, posunęła się nawet do sfabrykowania fałszywej pierwszej strony gazety.

— Ten wypadek zdarzy się w przyszłą sobotę — poinformowała Grace. — Juliette i ja będziemy w kabinie, która spadnie.

Zdumiony tym niezwykłym scenariuszem, Sam o mało nie odpowiedział: „Nie pozwolę pani na to”, ale opanował się i zadał kolejne pytanie:

— Właściwie po co mi pani o tym wszystkim opowiada?

Grace spojrzała na niego i w tej samej chwili Sam zrozumiał, że to, co zamierza mu teraz powiedzieć, jest prawdziwym celem jej wizyty.

— Mówię panu o tym wszystkim, ponieważ będę potrzebowała pańskiej pomocy.

*

Sam nadal wpatrywał się w ekran, kiedy Grace oświadczyła poważnym tonem:

— Wypadek zdarzy się za cztery dni, dokładnie o dwunastej trzydzieści. Juliette ma do pana zaufanie. Proszę więc postarać się przekonać ją, żeby wsiadła do kolejki, ale pan niech do niej nie wsiada.

— Jeśli się pani zdaje, że mam zamiar współpracować z panią...

— Obawiam się, że nie ma pan innego wyjścia.

— Czy pani mi grozi?

— Można tak to ująć.

Sam uderzył obiema pięściami w biurko.

— Pani jest nie tylko obłąkana, ale na dodatek niebezpieczna!

Grace pokręciła głową.

— Widzę, że nadal się nie rozumiemy. Otóż nic nie przeszkodzi mi w uśmierceniu Juliette wcześniej. Jednak dając panu czas do namysłu, kierowałam się współczuciem, bo wiem, jakie to dla pana trudne...

To mówiąc, spojrzała wymownie na swój pistolet.

— Ale jeśli mi pan nie pomoże, proszę być pewnym, że nie będę czekała do przyszłej soboty, żeby rozprawić się z pańską Dulcyneą, i nawet może pan nie zdążyć zobaczyć jej żywej.

— To się jeszcze okaże.

Wstał gwałtownie i rzucił się na Grace. Jednym susem w tył udało jej się z łatwością uniknąć ciosu. W ciągu całej swojej kariery zawodowej nieraz radziła sobie z gorszymi przypadkami, ale ogarnięta jakimś lenistwem dała się teraz złapać za rękę i pozwoliła się rozbroić.

— Można by pomyśleć, że role się odwróciły! — krzyknął radośnie Sam, wymachując pistoletem.

Trzymając ją na muszce, podniósł słuchawkę telefonu. — Halo, ochrona? Tu doktor Galloway.

Jestem w swo-

im gabinecie, proszę tu szybko przyjść! Jakaś uzbrojona kobieta dostała się do budynku i udało mi się ją obezwładnić.

Odłożył słuchawkę i oświadczył triumfalnie:

— No i co, już nie jest pani taka dzielna!

— Pan pewnie myśli, że ta broń jest nabita — westchnęła, wzruszając ramionami.

Od czasów dzieciństwa spędzonego w niebezpiecznej dzielnicy Sam znał się trochę na broni.

Pomajstrował przy pistolecie i stwierdził, że magazynek jest pusty.

Tymczasem Grace otworzyła drzwi gabinetu. Stojąc na progu, odwróciła się w stronę Sama i rzuciła mu coś w rodzaju ostrzeżenia:

— Po raz ostatni pana proszę, doktorze Galloway, niech mi pan uwierzy i niech mi pan pomoże.

Oboje mamy w tym interes.

Mówiąc te słowa, opuściła jego gabinet z szybkością błyskawicy.

Kiedy wymagała tego sytuacja, potrafił okazać słabość, i w tym właśnie tkwiła jego siła.

Kim Wozencraft

— Przykro mi, doktorze Galloway, ale uciekła — próbował tłumaczyć się Skinner odpowiadający za bezpieczeństwo. — To jest... wyprowadziła nas po prostu w pole — przyznał urażony. — Na dziesiątym piętrze wsiadła do windy, ale kiedy drzwi otworzyły się na dole, nie było w niej nikogo. Właśnie przeglądamy taśmy wideo, lecz myślę, że ona jest już daleko.

— No cóż, trudno, nie szkodzi — odpowiedział niezbyt tym zaskoczony Sam.

Jasna cholera, pomyślał, odwieszając słuchawkę, ta banda nieudaczników nie potrafi porządnie wykonywać swoich obowiązków.

Należało zdecydowanie obawiać się tej Grace Costello. Przez moment zastanawiał się, jak postąpić. Zawiadomić policję? Takie wyjście wydało mu się jednak zbyt ryzykowne. Gdyby utrzymywał, że nachodzi go duch kobiety zmarłej przed dziesięcioma laty, z całą pewnością by go wyśmiano. Przecież Costello zginęła i została pochowana,

a Rutelli osobiście rozpoznał ciało. Na domiar złego Sam nie miał żadnych świadków, bo za każdym razem Grace pojawiała się, kiedy był sam.

Zaraz, przecież mam dowód! — pomyślał nagle, przypominając sobie stronę internetową.

Natychmiast rzucił się do komputera, żeby przejrzeć otwierane ostatnio strony. Przetrzęsął cały katalog, ale nie znalazł strony z wiadomością o mającym się zdarzyć wypadku.

Oczywiście miał jeszcze pistolet wyrwany z ręki Grace, ale jaki powinien zrobić z niego użytek? Który gliniarz zgodzi się szukać na nim odcisków palców, a gdyby nawet je znaleziono, czego byłyby dowodem?

Nadal pod wpływem doznanego dopiero co szoku, Sam wziął kartkę i dokładnie opisał całe zdarzenie. Nie mógł dopuścić, by zarzucono mu niedbalstwo. Tak więc ponownie pomyślał o niewiarygodnych słowach wypowiedzianych przez Grace Costello. Oczywiście nie wierzył w nie, bo kto by uwierzył. Jednak nadal dręczyło go kilka pytań.

Otworzył notes w komputerze i zapisał najbardziej intrygujące z nich:

- Czy Grace Costello rzeczywiście umarła dziesięć lat temu? Jeżeli tak, kto się obecnie za nią podaje? Jeśli nie, to dlaczego wróciła na Manhattan?
- W jaki sposób mogła dowiedzieć się przed wszystkimi innymi, że Juliette nie zginęła w katastrofie? Skąd wiedziała o tym, co mówiłem do Federiki na cmentarzu?
- Co kryje się w jej słowach o rzekomej misji emisa-riuszki?

I jeszcze ostatnie pytanie:

- Czy ta kobieta jest niebezpieczna?

Po raz kolejny spróbował pocieszyć się, że wszystko to jest tylko splotem przypadków. Razem wzięte, wydawały się trudne do zrozumienia, ale kiedy rozpatrywał je osobno, wszystkie były wytłumaczalne.

Było jeszcze inne pytanie, które zaprzętało jego myśli: dlaczego ta kobieta budzi w nim taki niepokój i dlaczego on ma wrażenie, że ona mówi same kłamstwa? Nie zanotował jednak tego pytania. Musi się uspokoić i nie tracić zdrowego rozsądku. Trzeba rozważyć tę kwestię z medycznego punktu widzenia. Włączył mały kasetowy magnetofon z zamiarem nagrania swoich przemyśleń:

Doktor Galloway — Stan zdrowia pacjentki Grace Costello przyjętej w dniu dwudziestym czwartym stycznia na konsultację, po której uciekła ze szpitala.

U pacjentki zauważono liczne symptomy psychotyczne: obłądne myśli o charakterze mistycznym, niezdolność do oceny niektórych aspektów rzeczywistości, poważne zaburzenia myślenia.

Owładnięta obsesją, przejawia symptomy zaawansowanej paranoi, będąc jednocześnie przekonana, że jej osobowość kierowana jest przez siły nadprzyrodzone, a dokładniej przez jakąś organizację niebieską posiadającą prawie nieograniczoną władzę.

Nie stwierdzono, aby pani Costello była pod wpływem narkotyków lub alkoholu. Posiada dużą podzielność uwagi, a obsesyjne myśli najwidoczniej nie za-

kłócają toku jej rozumowania. Nie zauważono również ani objawów apatii, ani zespołu katatonii. Zaprzeczając kategorycznie chorobie, pacjentka nie jest aktualnie poddawana żadnej terapii dostosowanej do swojego schorzenia, z całą pewnością schizofrenii paranoidalnej w fazie nawrotu. Niezażywanie leków neuroleptycznych budzi obawę o możliwość podjęcia nieoczekiwanych działań, co powoduje, że pacjentka jest osobą potencjalnie niebezpieczną.

*

Grace Costello zdołała wydostać się ze szpitala przez drzwi dla personelu. Podążała teraz Piątą Aleją. Czuła się bezpieczna, anonimowa, wmieszana w tłum turystów wędrujących wśród luksusowych sklepów i oświetlonych biurowców. Oczywiście ryzyko nadal istniało: mogła przez przypadek spotkać któregoś z dawnych kolegów. Ale nawet gdyby tak się stało, pomyśleliby z pewnością, że widzą kogoś bardzo do niej podobnego.

Zdecydowanie nie było powodów do obaw. Po raz pierwszy, od kiedy wróciła, pozwoliła sobie na spokojne podziwianie widoków.

Cholernie lubiła żyć i pracować w tym mieście. Nowy Jork był najbardziej tętniącym życiem miejscem na tej planecie. Poznała wszystkie jego dzielnice i wszystkie odcienie. Tutaj wszystko odbywało się inaczej niż gdzie indziej. Atmosfera Piątej Alei nie zmieniła się wcale: ciągle taki sam tłum oczekiwał w kolejce, by zwiedzić Empire State Building; dwa marmurowe lwy nadal czujnie strzegły Biblioteki Narodowej; wystawy Tiffany'ego lśniły

tak samo jak w czasach Audrey Hepburn; na ulicach pełno było japońskich turystów, a torebki od Vuittona ciągle były tak samo drogie!

Coś jednak wydało jej się inne, chociaż nie potrafiła powiedzieć co. Manhattan był może trochę czystszy i jakby wypucowany, ale wszędzie panowała atmosfera, której przedtem nie znała. Jakby czegoś zabrakło.

Na wysokości Czterdziestej Dziewiątej Ulicy skręciła w stronę Rockefeller Center i przeszła przez ogród z sześcioma fontannami, po czym wyszła na esplanadę położoną powyżej poziomu ulicy. W kompleksie w stylu art deco znajdowało się największe na świecie skupisko drapaczy chmur. Z ogrodami, restauracjami, galerią handlową i setką wszędzie stojących dzieł sztuki Rockefeller Center stanowił sam w sobie prawdziwe miasto w środku Manhattanu.

Grace obeszła Tower Plaza i weszła do jednej z kawiarni. Usiadła przy małym stoliku w głębi długiej sali, przy oknie. Miała stąd wspaniały widok na ślizgawkę i słynnego Prometeusza z brązu, rozniecającego ogień pośród wodotrysków i różnokolorowych flag.

Kiedy przyniesiono jej kartę dań, uświadomiła sobie, że jest tak głodna, jakby nie jadła od dziesięciu lat, co było zresztą prawdą. Wolno przewracała kolejne strony menu, wpadając w zachwyty na widok wielkiego wyboru ciastek i innych wiedeńskich wypieków. Miała ochotę na wszystko: na tiramisu, babeczki, murzynki, gofry i *cin-natnon roli**...

W końcu zamówiła *caffè latte* i porcję tortu z trzema rodzajami czekolady, ale aż podskoczyła, widząc cenę.

*** Ciastka z cynamonem i cukrem.**

Siedem dolarów pięćdziesiąt centów za porcję tortu! Podczas jej nieobecności świat zdążył chyba oszaleć.

Było piękne zimowe popołudnie, chłodne, ale słoneczne. Promienie światła odbijały się w lustrze, zalewając taras i rzucając błyski na biurowce. Przez długą chwilę Grace przyglądała się dzieciom kręcącym figury na ślizgawce i poczuła ucisk w sercu. Pomyślała o córce.

W każdy pierwszy wtorek grudnia chodziły na espla-nadę podziwiać bożonarodzeniową choinkę. Z tej okazji ponad dwadzieścia tysięcy żarówek zapalało się jednocześnie, tworząc bajkową scenerię. Jodie tak uwielbiała ten moment, że Grace uznała w końcu, że to najpiękniejsza tradycja w Nowym Jorku.

Włożyła rękę do kieszeni kurtki. Trafila na ten sam portfel i taką samą jego zawartość, co dziesięć lat temu. Po raz pierwszy od powrotu odważyła się spojrzeć na fotografię córki i jej ciało przeniknęła dreszcz. Nie ma nic bardziej złudnego niż zdjęcie: zdaje nam się, że na zawsze utrwalamy jakiś szczęśliwy moment, podczas gdy stwarzamy tylko powód do tęsknoty. Naciskamy migawkę i hop, po sekundzie ta chwila znika.

Grace poczuła w kącikach oczu piekące łzy, lecz wytarła je szybko papierową serwetką.

Do cholery, to nie jest odpowiedni moment na rozklejanie się.

Nie może sobie na to pozwolić. Ktoś wysłał ją tutaj, żeby wypełniła określoną misję. Ktoś wybrał ją, bo jest silna, odpowiedzialna i zdyscyplinowana. Ktoś wybrał ją, ponieważ była gliną, a gliniarze potrafią być posłuszni.

*

W tym samym czasie, niecałe dwa kilometry dalej, Mark Rutelli patrolował Central Park. Zaparkował samochód na Dziewięćdziesiątej Siódmej Ulicy nieopodal boisk do gry w koszykówkę i kortów tenisowych. Tego ranka przepytął ponad dwieście osób, ale żadna nie naprowadziła go na ślad kobiety podającej się za Grace. Wczorajsza rozmowa z Samem Gallowayem wstrząsnęła nim tak bardzo, że w nocy budził się kilka razy, przerażony koszmarnym snem, w którym Grace żyła i wzywała go na pomoc.

Oczywiście zdawał sobie sprawę, że to wszystko nie ma sensu: Grace nie żyje i on wie o tym lepiej niż ktokolwiek inny. Wystarczyła jednak zwykła rozmowa, by ożyły na nowo silne uczucia, żal, a także zniechęcenie...

Historia jego i Grace była bardzo skomplikowana. Od dziesięciu lat powtarzał sobie często, że wszystko mogło potoczyć się zupełnie inaczej, gdyby tylko odważył się wyznać jej, co czuje. Czy ona niczego się nie domyślała?

Nie stało się tak bynajmniej dlatego, że nie umiał postępować z kobietami. W tamtych czasach miał nawet spore powodzenie. Uchodził za mężczyznę czarującego i dającego poczucie bezpieczeństwa. Kiedy bawił się w sobotnie wieczory z kolegami gliniarzami, rzadko spędzał noc samotnie. Z Grace było inaczej. Nigdy nie zdobył się na odwagę, by wyznać jej miłość. Czasami wydawało mu się, że jest w nim zakochana, ale nie wiedział, jak się upewnić. Zwłaszcza że nie dopuszczał myśli o odmowie. Za bardzo ją kochał. Poza tym nie chciał, żeby dostrzegła w nim tę rysę. Ten brak zaufania maskowany pozą twardziela. Tak więc z czasem przywykł do roli dobrego kolegi, na którego zawsze można liczyć.

Aż pewnego dnia Grace miała dosyć czekania. Przez jakiś czas spotykała się z pewnym porucznikiem z 4. okręgu. Rutelli myślał, że w ten sposób pragnie obudzić w nim zazdrość i zmusić do wyznań, ale mimo to nie zdecydował się. W końcu postanowił się usunąć, co nie wpłynęło zbyt dobrze na ich stosunki.

Wprawdzie Grace niewiele sobie robiła z porucznika, ale zaszła w ciążę. Pragnęła dziecka i wcale nie przeszkadzało jej, że miała wychowywać je samotnie. Od tej chwili Rutelli — który nie chciał być „tym drugim” — nie próbował już niczego więcej. Jednak nigdy nie zakochał się w innej kobiecie i prawdę mówiąc, niczego bardziej nie pragnął, niż być na jej miejscu w wieczór, w którym zginęła. Bo śmierć Grace go zdruzgotała. Drobną rysa w sercu zamieniła się w szczelinę tak wielką, że z mężczyzny pełnego temperamentu stał się mężczyzną przegranym.

W niektóre smętne wieczory mówił sobie, że Grace na szczęście nigdy go takim nie poznała, i to było jedyną jego pociechą.

*

Grace upiła łyk kawy i schowała zdjęcie córki do portfela, obiecując sobie więcej go nie oglądać. Przede wszystkim nie powinna szukać okazji do spotkania z Jodie. Znalazła się tu, żeby naprawić pewną pomyłkę, a nie po to, by siać zamęt.

Co więcej, dobrze wiedziała, że zachowując nadal tę samą postać cielesną, nie jest tą samą osobą co przedtem. Tymczasem od powrotu na ziemię wracały do niej stopniowo wspomnienia z dawnego życia, jakby budziła się

z głębokiego snu. Pamięć wszystko zachowała. Może oprócz paru dni poprzedzających bezpośrednio śmierć. Z zainteresowaniem przeczytała w gazecie skądś wytrzaśniętej przez Sama artykuł relacjonujący okoliczności swojej śmierci, bo sama nie pamiętała, kto ją zabił ani jak to się stało. Nie była tu jednak po to, żeby to odkryć. Miała do wypełnienia określoną misję i niczym więcej nie powinna się zajmować.

Po drugiej stronie szyby zobaczyła dziewczynkę, może piętnastoletnią, jeżdżącą na rolkach i puszczającą bańki mydlane. Kilka z nich, lekkich i przezroczystych, rozbiło się o szybę, za którą siedziała. Grace odruchowo pomachała przyjaźnie ręką. Dziewczynka posłała w odpowiedzi uśmiech uwieczony w aparacie ortodontycznym.

Bez względu na to, co Grace mówiła czy robiła, jej myśli zaprzętało jedno pytanie: gdzie jest teraz Jodie i co się z nią dzieje?

*

Rutelli wsiadł do samochodu i trzasnął drzwiczkami. Dopiero zaczął służbę, a już tak bardzo chciało mu się kielicha! Po raz drugi tego dnia pomyślał o rozmowie, jaką odbył z tym młodym lekarzem. Przestać pić? Gdyby to było takie łatwe! Już raz próbował i skończyło się na halucynacjach: widział jaszczurki, warany i iguany, które wyżerały mu wnętrzności i rozrywały wszystkie członki.

Prawdziwy koszmar!

Skierował się na południe, jadąc wzdłuż zachodniej strony Central Parku aż do Columbus Circle. Poprawiając wsteczne lustro, zobaczył odbicie swojej twarzy, niezbyt wyraziste i odrażające. Co ma zrobić ze swoim życiem?

Staczać się nadal, każdego dnia niżej, aż do samoza-tracenia? Obawiał się tego, ale nie miał pojęcia, jakim cudem mogłaby nastąpić zmiana na lepsze.

Przestać pić... Tylko dla kogo? Po co?

Wiedział jednak, że jeszcze może być silny. Płonący w nim ogień złości nie był wyłącznie destruktywny. Od złości do determinacji jest tylko jeden krok. Żeby to sobie udowodnić, postanowił, że przez kilka najbliższych godzin nie wypije alkoholu. Do tego czasu będzie musiał zadowolić się kawą.

Nie dojeżdżając do Times Square, pod wpływem nagłego impulsu skręcił w stronę Rockefeller Center. Zatrzymał samochód na skraju chodnika, kupił kubek kawy na wynos i poszedł do Tower Plaza. Nie pamiętał, kiedy był tu ostatni raz. Przez kilka kolejnych świąt Bożego Narodzenia przychodził z Grace i z jej małą podziwiać iluminację. Teraz przystanął obok ślizgawki i zafascynowany patrzył przez długą chwilę na kręcących się blisko niego szczęśliwych ludzi. Rodzice zachęcali dzieci i robili im zdjęcia. Słyszał było okrzyki radości, żarty, czuło się dobrą atmosferę. Całe to szczęście jeszcze wyraźniej uświadomiło mu jego samotność.

Gdyby odwrócił głowę w prawo, w stronę Harper Cafe, być może zobaczyłby tę, która zaprzętała wszystkie jego myśli. Bo w tym właśnie momencie Grace znajdowała się około dziesięciu metrów od miejsca, w którym stał.

On jednak nie miał o tym pojęcia.

*

Zatopiona w myślach Grace też nie zobaczyła dawnego kolegi. Skończyła jeść i wyszła z kawiarni drugim wy-

jściem. Zapięła kurtkę i ruszyła ulicą przed siebie. Robiło się naprawdę zimno. Po raz kolejny miała dziwne wrażenie, że czegoś w mieście brakuje, ale w dalszym ciągu nie wiedziała czego. Popatrzyła w skupieniu na północ i na południe. Przez jej głowę przewijały się bardzo prędko wydarzenia dwóch ostatnich dni.

Nagle zrozumiała. To niemożliwe, a jednak... Przecież nie mogły tak po prostu zniknąć!

Będzie musiała porozmawiać o tym z Gallowayem, kiedy znów go zobaczy.

*

Po skończonym dyżurze Sam wrócił do gabinetu. Było już ciemno, ale nie zapalił światła, bo chciał przez chwilę posiedzieć przy oknie i popatrzeć na Manhattan Bridge. Ciągle myślał o dziwnych rzeczach, o których opowiedziała mu Grace. Kiedy umysł ludzki traci kontakt z rzeczywistością, często zbacza na manowce.

Nagle wydało mu się, że słyszy urywany oddech. Ktoś jest w gabinecie!

Zapalił małą lampkę, która rozjaśniła pokój łagodnym przyćmionym światłem.

Nie zobaczył nikogo.

A jednak nadal czuł jakąś duchową obecność. Na brzegu biurka ciągle leżały rysunki Angeli.

Obejrzał wszystkie, nie wiedząc, czego właściwie w nich szuka.

Czy te obrazki coś w sobie kryją?

Podczas studiów silne piętno odcisnął na nim staż w więzieniu dla nieletnich. Tam rysunki więźniów przedstawiały wyłącznie zbrodnie i przemoc. Zaczął się tym interesować tak dalece, że wkrótce stał się jednym z pe-

diatrów najbardziej kompetentnych w analizowaniu i rozszyfrowywaniu dziecięcych rysunków. Napisał nawet na ten temat artykuł do magazynu medycznego i znał wszystkie prace z tego zakresu. Pełno w nich było opisów zadziwiających przypadków. Często rysunki sugerowały, że niektóre dzieci wiedzą dokładnie, kiedy umrą. Tymi rysunkami zapowiadają swoje odejście i zawierają w nich ostatnią wiadomość dla rodziny. Co dziwniejsze, te przesłania są często pogodne, jakby dzieci udające się na drugi brzeg uwolniły się od trwogi i cierpienia. Jednak najbardziej zadziwiające wydały mu się motyle wydrapane przez młodocianych więźniów na ścianach baraków w obozach koncentracyjnych.

Sam przypomniał je sobie, kiedy przeglądając plik rysunków Angeli, natrafił w każdym rogu na maleńkie znaczki: kółka, trójkąty, gwiazdki...

Podobne zauważył już wcześniej na pierwszym rysunku, jaki dostał od dziewczynki! Coraz bardziej wstrząśnięty, przeszukał kieszenie płaszcza w nadziei, że go tam znajdzie. Na odwrocie kartki zobaczył splecione ze sobą kabalistyczne znaki.

A jeśli to jakiś kod? Jeśli...

Nagle trzaśnięcie drzwi spowodowało, że podskoczył. Zdał sobie sprawę, że w pokoju panuje polarny chłód, i zauważył, że jego oddech zamienia się w obłoczki pary. Postanowił umieścić obrazki na korkowej tablicy. Kiedy przypiął dwadzieścia rysunków, skierował na nie światło lampy w taki sposób, żeby oświetlić wszystkie naraz. Ujrzał obraz fascynujący, abstrakcyjny, lecz prawie figuratywny, można było odróżnić parę ukrytych form przypominających małe zwierzątka w gąszczu tropikalnej dżungli.

Zahipnotyzowany tym widokiem Sam nie spuszczał rysunków z oczu i chodząc tam i z powrotem po pokoju, przyglądał im się z każdej strony. Tym razem był prawie całkowicie pewny, że zawarte w nich zostało jakieś ostrzeżenie, przesłanie, wiadomość...

Kiedy doszedł do okna, z ust wyrwało mu się przekleństwo.

— O, jasna cholera! Do wszystkich piekielnych diabłów!

Przetarł oczy, przesunął się, potem wrócił na poprzednie miejsce. To niemożliwe! Teraz chyba jego własny umysł płata mu figle.

Zaniepokojony wybiegł na korytarz i poszedł do łazienki, żeby przemyć twarz zimną wodą. Patrząc na swoje odbicie w lustrze stwierdził, że jest bardzo blady i że drżą mu ręce. Wrócił do pokoju podekscytowany i zdecydowany. Znów stanął przy oknie i spojrzał jeszcze raz na układankę rysunków.

Kiedy patrzyło się na nie pod pewnym kątem, dwadzieścia ułożonych w ten sposób rysunków ukazywało ukrytą wiadomość.

Kilkanaście liter składało się na proste zdanie o niepokojącej treści:

GRACE MÓWI PRAWDĘ

Kiedy się raz zacznie, nie można żyć bez narkotyków, ale takie życie to obrzydliwa egzystencja niewolnika. Mimo to jestem szczęśliwa, że do nich wracam. Szczęśliwa! Szczęśliwa! Nigdy przedtem nie było tak wspaniale jak wczoraj. Każdy następny raz jest lepszy.

Zielona trawa

anonimowy pamiętnik młodej narkomanki

Południowy Bronx, dzielnica Hyde Pierce

Piętnastoletnia Jodie Costello obudziła się w mokrej pościeli. Miała gorączkę i gęsią skórę, jej ciałem wstrząsały dreszcze. Trzęsąc się, wstała z wielkim trudem i podeszła do okna.

Co ja robię w tej pieprzonej dziurze?

Wszystkie nowojorskie przewodniki zalecały unikanie tego miejsca. Dzielnica Hyde Pierce znajdowała się zaledwie kilka kilometrów od świetności Manhattanu, co wcale nie przeszkadzało, że miała opinię miejsca, w którym

podrzyna się gardła. Było to skupisko obskurnych blokowisk bez żadnych sklepów i puste tereny zastawione szkieletami spalonych samochodów, których nikt nigdy nie uprzętał.

Jodie była na głodzie. Wszystko ją bolało, w nogach czuła palące skurcze, w stawach trzeszczało.

Wydawało się, że kości kruszą się, jakby rozpadały się na tysiące kawałeczków.

O kurwa, gdzie by tu zdobyć działkę!

Serce tłukło się niespokojnie w piersiach. Pociła się. Raz było jej gorąco, raz zimno. W brzuchu czuła straszliwe skurcze i okropny ból rozrywał nerki, jakby miednicę opasywała żelazna obręcz.

Jasna cholera!

Podciągnęła nocną koszulę i usiadła na sedesie. W odrapanym lustrze zobaczyła odbicie, na które wolałaby nie patrzeć.

Kiedy była małą dziewczynką, często mówiono, że jest ładna, że ma śliczne złote włoski i szmaragdowe oczy, ale dzisiaj nie było po tym ani śladu.

Teraz jesteś tylko szmatą przeżartą narkotykami.

Strach było patrzeć na to wychudzone ciało. Twarz okalały cienkie, za bardzo rozjaśnione włosy, przez które prześwitywało kilka długich czerwonych i niebieskich kosmyków. Pod oczami czarne cienie podobne do rozmazanego tuszu. Wyciągnęła parę włosów zaplątanych w kolczyk w nosie. W pępku miała drugi, który groził infekcją.

Nagły skurcz w żołądku spowodował, że zgięła się wpół.

Uuu!

Siły zupełnie ją opuściły. I pomyśleć, że kiedyś uprawiała sporty. Dobrze grała w koszykówkę, bo była wysoka. Jednak w środku czuła się nadal mała i krucha jak dziecko.

Wszystko przez tę otwartą ranę, jaką w sobie nosiła.

Miała zaledwie pięć lat, kiedy zmarła jej matka. Mała Jodie musiała zderzyć się ze światem trwogi i przerażenia.

Z tej próby wyszła zdruzgotana. Były sobie bardzo bliskie. Tak bliskie, jak mogą być matka i córka wychowywana bez ojca. Jednak Jodie nie szukała dla siebie usprawiedliwienia.

Najpierw umieszczono ją w rodzinie zastępczej, ale nic z tego nie wyszło. Mówiono, że jest nieznośna, co nie odbiegało od prawdy. Przede wszystkim była niespokojna, targana bezustannie poczuciem braku bezpieczeństwa, które odtąd nigdy jej nie opuszczało.

W wieku dziesięciu lat zaczęła wachać rozpuszczalnik znaleziony w łazience. Potem regularnie szperała w domowej apteczce w poszukiwaniu tranxenu. Rodzina zastępcza postanowiła się jej pozbyć, i Jodie wróciła do domu dziecka. Zaczęła kraść. Nie było to nic cennego: parę ciuchów, dwa czy trzy świecidełka. Jednak za którymś razem ją przyłapano i spędziła pół roku w zamkniętym ośrodku dla nieletnich.

W międzyczasie odkryła środki odurzające o wiele bardziej skuteczne od rozpuszczalnika. Prawdę mówiąc, próbowała wszystkiego, co jej wpadło w rękę: amfę, crack, heroinę, trawkę, prochy... Od jakiegoś czasu żyła wyłącznie po to.

Przez cały czas szukała odjazdu, żeby uciszyć strach. Pierwszy raz był tak cudowny, że chciała doznawać tego jeszcze i jeszcze. Nawet jeśli miało ją to zaprowadzić do piekła, początek był świetny, nie ma co zaprzeczać.

Krótko mówiąc, narkotyki były lekarstwem na nieznośne cierpienie. Pozwalały maskować wrażliwość i emocje. Wszyscy myśleli, że jest twarda, ale nie wiedzieli, że to

nieprawda. Bała się przez cały czas, życia, codzienności, wszystkiego.

Nieszczęście polegało na tym, że się uzależniła. Nie ma co się oszukiwać: od dawna nie panowała nad nałogiem. Teraz jedynym wyjściem było zwiększanie dawek i skracanie przerw.

Dwa miesiące spędziła na ulicy, zanim wylądowała u dziewczyny poznanej przy okazji kilku „dystrybucji” w dzielnicy. Od kiedy opuściła ośrodek dla nieletnich, jej noga nie postąpiła w szkole. Przedtem Jodie uczyła się całkiem dobrze. Wyprzedzała nawet swoich rówieśników i wielu nauczycieli było zdania, że jest inteligentna. Przede wszystkim bardzo lubiła czytać. Co z tego, kiedy książki nie broniły przed strachem. Książki nie sprawiają, że stajesz się silniejszy. A może czytała je nie tak, jak należało?

Od bardzo dawna nie ufała dorosłym. Wychowawcy i gliniarze potrafili jej przekazać tylko to, że źle skończy. Serdeczne dzięki! Sama się tego domyślała. Zdawała sobie sprawę, że ześlizguje się powoli w kierunku śmierci. Któregoś dnia połknęła nawet całą fiolkę środków nasennych, żeby wykonać wielki skok. Tabletki okazały się jednak zbyt słabe, chociaż przez cały tydzień po ich zażyciu chodziła półprzytomna. Lepiej by zrobiła, podcinając sobie żyły. Może pewnego dnia tak się stanie... Tymczasem trzeba było za wszelką cenę zdobyć narkotyki. W tym celu postanowiła odszukać Cyrusa.

Jodie wstała z sedesu i spuściła wodę. Wprawdzie skurcze w żołądku uspokoiły się trochę, ale męczyły ją mdłości i zawroty głowy. Nie pachniała pięknie, nie miała jednak siły, żeby wejść pod prysznic. Wciągnęła obrzydliwie brudne dżinsy, sweter i starą wojskową kurtkę.

Ile mam forsy?

Wróciła do pokoju. Poprzedniego dnia w pobliżu Park Slope wyrwała torebkę jakiejś Japonce. To nie była nawet prawdziwa Prada. Przeszukała portfel i znalazła w nim marnych dwadzieścia pięć dolarów.

Trochę mało, ale Cyrus coś wymyśli.

Z trudem wywlokła się z mieszkania.

Padał drobny lodowaty deszcz. Jodie osłoniła twarz ręką dla ochrony przed wiatrem miotającym rozdarte plastikowe torby i brudne papiery wysypujące się z kubłów na śmiecie.

Tylko jeden człowiek pomagał jej kiedyś i chronił: gliniarz Mark Rutelli, kolega matki. Raz próbował nawet kryć ją po kradzieży recept u lekarza. Sprawa nabrała jednak rozgłosu i Rutelli o mały włos nie wyleciał z roboty. Od tamtego czasu unikała go, nie chciała przysparzać mu kłopotów, poza tym wstydziła się. Za nic w świecie nie chciała, żeby porównywano ją z matką.

Jodie weszła na klatkę schodową budynku, w którym wszystkie skrzynki na listy były powyrywane, i utorowała sobie przejście przez środek grupy młodocianych dealerów handlujących na schodach. Wreszcie dotarła do właściwego mieszkania. Zadzwoiła parę razy, na próżno. Kiedy przyłożyła ucho do drzwi, słyszała wyraźnie odgłosy radia albo telewizji. Zaczęła więc łomotać pięściami i krzyżeć.

— Otwieraj, Cyrus!

Po chwili w progu stanął gruby chłopak, Afroameryka-nin. Nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia lat, ale prezentował się okazale.

— Cześć, Babe-o-rama.

— Wpuszczaj!

Złapał ją za rękę i wciągnął do środka.

Telewizor nastawiony był na cały regulator, więc Cyrus nie słyszał, jak dzwoniła. Mieszkanie tonęło w ciemnościach. Była to obskurna nora, w której wszędzie wały się resztki jedzenia i unosił się nieopisany smród. Cyrus zrobił krok w stronę pomieszczenia służącego za salon i zwałił się ciężko na zapadnięty fotel, jednocześnie ścisząc dźwięk najnowszego modelu telewizora plazmowego. Przydałoby się rozsunąć zasłony i otworzyć okna, żeby wpuścić światło i wywietrzyć, ale przecież Jodie nie po to tu przyszła.

— Co masz dla mnie? — spytała.

— To zależy. A ile dasz?

— Dwadzieścia pięć.

— Dwadzieścia pięć baksów! Od razu widać, że nie jesteś Billem Gatesem.

Pogrzebał w kieszeni i wyciągnął małą plastikową torebeczkę, którą pomachał przed nosem dziewczyny. Podeszła bliżej i spojrzała na towar z pogardą.

— Nie masz czegoś innego?

Twarz dealera rozjaśnił szeroki uśmiech.

— Musiałabyś coś dorzucić do tego, co masz — odpowiedział, rozpinając rozporek i poruszając oblesnie językiem.

— Możesz sobie pomarzyć.

— No dalej, mała! Chodź tu, kochaneczko.

— *Get stuffed**— rzuciła wulgarnie i cofnęła się.

Do tej pory zawsze odmawiała pieprzenia się za narkotyki. Był to jedyny próg, którego jeszcze nie przekroczyła, wiedząc doskonale, że nadejdzie kiedyś taki dzień, kiedy zapuka na głódzie do tego mieszkania bez

*** Wypchaj się! Odpieprz się!**

centa w kieszeni. Wtedy nie będzie już mogła za nic odpowiadać.

Cisnęła mu w twarz dwadzieścia pięć dolarów, a on rzucił w jej stronę woreczek, który chwyciła w locie.

— Dobrej zabawy, Babe-o-rama! — krzyknął, podkreślając dźwięk telewizora i skandując słowa rapowanej piosenki, którą najwidoczniej znał na pamięć.

Jodie trzasnęła drzwiami i zbiegła ze schodów.

Kiedy przeszła zimnym szybkim krokiem szła między blokami, dopadły ją straszne myśli. Jeszcze kilka metrów i będzie mogła wstrzyknąć sobie to gówno. Mało brakowało, a zrobiłaby to tutaj, na środku podwórka albo na parkingu, pośród dzieciaków jeżdżących na deskorolkach wśród kubłów na śmiecie. Tylko jedno miała w głowie: nawalić się, naćpać, odjechać. Żeby o niczym nie myśleć. Żeby na moment znaleźć się na takim poziomie świadomości, na którym można mieć pewność, że strach jej nie dosięgnie.

Wbiegła po schodach z szybkością błyskawicy, kopnięciem zamknęła za sobą drzwi i zaszyła się w łazience.

Drżącymi rękami rozerwała plastikowe opakowanie i wydobyła ze środka małą brązową kulkę.

Skoro nie było w niej wystarczająco koksu, żeby zażyć go, wdychając, postanowiła zrobić sobie zastrzyk. Było to oczywiście ryzykowne. Ten palant Cyrus mógł przecież mieszać narkotyk z byle czym: z talkiem, czekoladą w proszku, jakimiś prochami. A dlaczego nie z trutką na szczury?

Trudno, podejmie to ryzyko. Pozostawała nadzieja, że dzisiaj jeszcze nie umrze z przedawkowania.

Otworzyła apteczkę nad umywalką i wyciągnęła przybory. Na dnie uciętej puszki po coca-coli umieściła kulkę, dodała trochę wody i parę kropli cytryny. Podgrzała blaszkę od spodu, następnie przefiltrowała ciecz przez

kawałek waty. Na szczęście zachowała strzykawkę po ostatniej „podróży”. Na wszelki wypadek. Wbiła igłę w watę i wciągnęła cały płyn. Pomacała rękę, żeby znaleźć żyłę, wbiła igłę, zamknęła oczy, wzięła głęboki wdech i nacisnęła tłoczek strzykawki.

Po całym jej ciele rozlała się fala gorąca, uciszając palące w środku napięcie. Położyła się na podłodze z głową opartą o wannę. Poczowała, że odjeżdża, że zanurza się powolutku w jakiejś bańce, jakby odrywała się od samej siebie.

Jedyną pociechą był fakt, że matka nie zobaczy jej nigdy w takim stanie. Umierając, myślała zapewne, że córkę czeka świetlana przyszłość. Życie wypełnione miłością i szczęściem.

Przykro mi, mamusiu, ale jestem tylko wstrętną narkomanką.

Nieżyjący rodzice mają tę zaletę, że trudno ich rozczarować.

Wyjęła z portfela jedyne zdjęcie matki. Ona sama miała wtedy trzy, może cztery lata. Mama trzyma ją na rękach. Na drugim planie widać jezioro i góry. Zdjęcie zrobił zapewne Rutelli.

Gdy Jodie zapadała się w otchłanie wymoszczonego wata piekła, zanuciła kilka taktów piosenki Gershwin, którą śpiewała jej mama. Melodię Gershwin przekształconą w kołysankę: *Someone to watch over me**

Tymczasem na zewnątrz chmury się rozproszyły. Ponad blokami rozbłysło kilka promieni słonecznych. Jednak Jodie nie mogła ich widzieć.

***Jest ktoś, kto czuwa nade mną.**

Życie jest tylko tchnieniem.

Księga Hioba

Kiedy Sam wszedł do sali osiemset osiem, Leonard McQueen kończył właśnie partyjkę na elektronicznej szachownicy.

— No i co, kto wygrał? — spytał Sam, rzucając jednocześnie okiem na tabliczkę zawieszoną na łóżku staruszka.

— Dałem jej wygrać — odpowiedział McQueen.

— Dał pan wygrać maszynie?

— No, miałem dziś ochotę na ten miłosierny gest. Zdarza mi się to czasami, kiedy jestem w dobrym nastroju. Natomiast pan nie wydaje się być w najlepszej formie...

— To prawda, ale to ja jestem lekarzem...

— ...ale to ja mam raka.

Ledwo wypowiedział te słowa, zakrztusił się w nagłym ataku kaszlu.

W oczach Sama pojawił się cień niepokoju, ale McQueen uspokoił go:

— Czuję się dobrze, doktorze. Niech się pan nie przejmuj, jeszcze dzisiaj nie umrę.

- To wspaniale.
- Czy wie pan, co sprawiłoby mi przyjemność? Sam udał, że się zastanawia.
- Nie mam pojęcia... może hawańskie cygarko? A może jakaś striptizerka? Butelka wódki?
- No właśnie, miałbym ochotę się z panem napić.
- Zaraz, chwileczkę...
- Kiedy ja wcale nie żartuję, doktorze. Jedno małe piwko w męskim towarzystwie. Niedaleko jest taki jeden bar, Portobello...
- Nie ma mowy, Leonardzie.
- A kto może mi w tym przeszkodzić?
- Szpitalne przepisy.

McQueen wzruszył ramionami i znów zaatakował:

- Dalej, doktorze, ostatni kieliszeczek, tylko pan i ja, w prawdziwym barze, z muzyką i papierosowym dymem...
- Przecież ledwo trzyma się pan na nogach, Leonardzie...
- Dziś wieczorem czuję się świetnie! W szafie mam marynarkę i płaszcz. Proszę mi je podać. Sam pokręcił głową.

McQueen był przedsiębiorcą, prawdziwym. Przez czterdzieści lat tworzył i rozwijał firmy. W młodym wieku zbił majątek, potem popadł w ruinę, by ponownie wypłynąć na powierzchnię. Lubił ryzyko i przede wszystkim miał rzadko spotykany dar przekonywania, który zachował nawet teraz, kiedy umierał na raka w szpitalnym łóżku.

- No to jak będzie? Tylko godzinę. Proszę podać mi choćby jeden prawdziwy powód odmowy.
- Mógłbym z łatwością znaleźć i sto powodów — odparł Sam, nie zamierzając się poddać. — Pierwszy z nich jest taki, że ryzykuję utratę stanowiska...

— Bagatela... Obiecuję nie umrzeć na pańskich rękach.

— Nie, to zbyt niebezpieczne...

— ...mimo to przecież się pan zgodzi, nieprawdaż? Bo równy z pana gość.

Sam nie mógł powstrzymać uśmiechu i McQueen zrozumiał, że wygrał.

*

Komunikat prasowy — ambasada Francji

Nasza młoda współobywatelka Juliette Beaumont stanie w ciągu najbliższych godzin przed Trzecim Trybunałem w Queens, który powinien podjąć decyzję w sprawie wypuszczenia jej na wolność.

Policja Nowego Jorku właśnie wykluczyła możliwość jej przyczynienia się do katastrofy lotniczej, która kilka dni temu pogrążyła w żałobie Stany Zjednoczone.

Wyrażamy radość z takiego obrotu sprawy, w którą nasz konsul generalny w Nowym Jorku i nasza ambasada w Waszyngtonie zaangażowały się bez reszty.

*

Sam i Leonard zajęli miejsca w spokojnym kącie w głębi sali Portobello Café. Lampka stojąca pośrodku stolika świeciła przyćmionym światłem. Leonard był zachwycony i rozkoszował się, popijając piwo małymi łyżkami, podczas gdy Sam dopijał entą w dniu dzisiejszym kawę.

— No i co, doktorze? Mój mały paluszek mówi mi, że w pana życiu pojawiła się kobieta...
— A co na to wskazuje?
— Takie rzeczy się wyczuwa.
— Może zmienimy temat? — zaproponował lekarz.
— W porządku — zgodził się McQueen. — W dalszym ciągu nie zdecydował się pan odwiedzić mojego domu w Connecticut?
— Wstąpię tam któregoś dnia — obiecał Sam.
— Powinien pan pojechać ze swoją przyjaciółką. Spodoba jej się...
— Leonardzie!
— No dobrze, dobrze, nic nie powiedziałem. W każdym razie, kiedy tam będziecie, nie zapomnijcie zajrzeć do piwniczki.
— Żeby spróbować pańskich sławnych win?
— Tak. Jest tam zwłaszcza jedna butelka bordeaux cheval blanc, rocznik tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty drugi, którą pieczołowicie przechowywałem. Cudowne wino, eksplozja aromatów...
— Cheval blanc — powtórzył Sam z fatalnym francuskim akcentem.
— *White horse* — przetłumaczył Leonard, pociągając łyk piwa.
— *White horse*? A ja myślałem, że to marka whisky. McQueen wzniosł oczy do nieba.
- Proszę dać spokój, zupełnie się pan na tym nie zna! To prawda — przyznał Sam. W każdym razie proszę ją wypić razem z nią. Ona jest Francuzką — wyznał Sam. W takim razie potrafi to docenić. Przez parę minut milczeli. Sam przez cały czas trzymał

rękę w kieszeni marynarki, żeby czuć paczkę papierosów, choć doskonale wiedział, że nie będzie mógł zapalić. Wreszcie McQueen zapytał:

— Dlaczego nie jest pan z nią dzisiejszego wieczoru?

— Bo nie mogę, Leonardzie.

— Sądzi pan, że ma pan jeszcze czas, co? Zawsze się tak mówi, ale...

— Ona jest w więzieniu.

Zaskoczony McQueen przerwał swoją tyradę.

— Żartuje pan, doktorze! Sam pokręcił głową.

— Zaraz to panu wyjaśnię.

W oszczędnych słowach opowiedział starszemu o swojej miłości do Juliette od pierwszego wejrzenia

i o dniu z zawieją śnieżną. Mówił o ich pełnym magii weekendzie i o rozterkach na lotnisku. Potem wspominał o tym, czego nie rozumiał.

— Naprawdę nie wiem, dlaczego Juliette podała się za adwokatkę.

— Doprawdy, doktorze, niech pan nie będzie naiwny! Nie powiedziała panu, że jest kelnerką, żeby nie wziął jej pan za gapowatą dzierlatkę, która traci zmysły na widok bogatego i znanego lekarza.

— Kiedy ja wcale nie jestem bogaty — zaprotestował Sam — ani znany zresztą. Zaledwie kompetentny, jeśli wierzyć temu, co mówią inni.

— Mhm... w każdym razie z całą pewnością nie w dziedzinie psychologii kobiet!

Sam udał oburzenie, po czym dodał:

— Nie tylko Juliette skłamała. Ja powiedziałem jej, że jestem żonaty.

McQueen westchnął.

— Ciagle ta Federica!

Sam powstrzymał go gestem dłoni.

— Jest coś, o czym muszę panu powiedzieć.

I Sam, który dotąd nikomu się nie zwierzał, odsłonił przed staruszką parę bolesnych obrazów swojego pożycia z Federicą. McQueen słuchał uważnie, a jego początkowa ciekawość szybko ustąpiła miejsca współczuciu. Mimo że Sam był z natury mało wylewny, opowiadał bez żadnego skrepowania. Wprawdzie znał Leonarda od niedawna, ale było w nim coś, co wzbudzało zaufanie. McQueen miał w sobie mądrość ludzi, którzy pogodzili się z własną śmiercią, i to właśnie robiło na Samie wrażenie i jednocześnie wzruszało.

Było już późno, kiedy skończył swoją opowieść. Ruch uliczny osłabł. Zamykano także kawiarnię, z której wychodzili ostatni klienci. Dwaj mężczyźni wrócili spokojnie do szpitala. Leonard był wyraźnie zmęczony. Sam odprowadził go do łóżka. W chwili pożegnania McQueen wskazał mały magnetofon, który Sam zawsze nosił w kieszeni marynarki i na którym nagrywał uwagi na temat przebiegu choroby swoich pacjentów.

— Myślę, że powinien pan opowiedzieć Juliette to wszystko, co dzisiaj od pana usłyszałem.

*

Juliette siedziała na łóżku w celi plecami oparta o ścianę, z twarzą ukrytą w dłoniach. Nie odczuwała już ani zmęczenia, ani strachu. W jej głowie kłębiło się mnóstwo pytań.

Na czym polega życie? Od czego zależy szczęście? Jak wielki mamy wpływ na to, co nas w życiu spotyka? Kto

w tej grze naprawdę decyduje, przypadek czy przeznaczenie?

Aby wymusić zeznania, inspektor di Novi groził jej uwięzieniem w La Barge, statku więzieniu zacumowanym naprzeciwko Bronksu. Ale nie dała się zastraszyć. W sąsiednich celach inne więźniarki, w przeważającej większości czarne lub hiszpańskojęzyczne, nazywały ją *French girl* i nie rozumiały, co taka jak ona tu robi.

Sfałszowanie daty na wizie nie świadczyło przecież o tym, że jest terrorystką. Postąpiła tak z powodu pewnego mężczyzny. Mężczyzny, który spojrzał na nią inaczej. Mężczyzny, który sprawił, że poczuła się inna, wspaniała, wyjątkowa.

Gdyby miała zrobić to powtórnie... nie zawahałaby się.

Potem pomyślała o rodzicach i o siostrze. Nawet jeśli zostanie zwolniona i odesłana do Francji, czeka ją tam przeprawa z rodziną. Cokolwiek robiła, nigdy nie udawało jej się sprostać oczekiwaniom rodziny. Pragnęła zostać gwiazdą filmową, a została kelnerką; tak bardzo chciała podobać się pewnemu mężczyźnie, a została wsadzona do więzienia. Zdecydowanie była tylko nieudacznicą...

Drzwi celi otworzyły się i strażnik wsunął przez nie tacę z posiłkiem. Podczołgała się do otwartych drzwi jak ptak ze złamanym skrzydłem. Czowała suchość w gardle. Otworzyła butelkę wody mineralnej i wypła duszkiem połowę jej zawartości.

W metalowej tacy zobaczyła odbicie swojej twarzy: dostrzegła bladość i zaostrome rysy oraz źrenice rozszerzone brakiem snu. Z ironią pomyślała o wszystkich godzinach, jakie spędziła, usiłując stać się piękniejszą. Godzinach straconych na dostosowanie się do obecnych kanonów urody.

Dlaczego sądzi się powszechnie, że za piękną twarzą kryje się piękna osobowość? Dlaczego żyjemy w czasach, w których wszyscy chcą być młodzi i szczupli, podczas gdy w pewnym wieku taka walka jest z góry przegrana?

Skoro teraz jest moment na dobre postanowienia, przyrzekła sobie, że odtąd zacznie przedkładać naturalność nad wymogi obowiązujących trendów. A jeśli już ma się do kogoś upodobnić, to do siebie samej.

Dobiegł ją odgłos syreny strażackiej. Wróciła na łóżko w chwili, gdy coraz słabiej świecąca żarówka wreszcie zgasła na dobre.

Pograżona w ciemnościach, doznała nagle wrażenia, że w jej brzuchu roją się oślizłe larwy. Jej serce zamarło i niebawem poczuła ciepłe łzy płynące po twarzy. Wiedziała, że przeszłyta zimnem i zdjęta strachem nie ma co marzyć o zaśnięciu. Kiedy znalazła się w ciemnościach, pomyślała o ludziach, którzy zginęli w katastrofie. Pamiętała dokładnie niektóre twarze, mimo że przed opuszczeniem samolotu widziała je zaledwie przelotnie. Za każdym razem, kiedy próbowała zasnąć, budziły ją ich głosy wzywające pomocy.

Głosy zza grobu, pełne bólu i przerażenia.

Głosy, które miały jej za złe, że żyje.

Głosy, które mówiły jej, że ona też powinna była zginąć.

*

Sam zamierzał właśnie wyjść ze szpitala, kiedy zawołała go dyżurna pielęgniarzka.

— Doktorze Galioway, jakaś kobieta na pana czeka — powiedziała, wskazując sylwetkę w drugim końcu holu.

— Pacjentka?

— Nie sędzę.

Sam przeszedł przez długi korytarz, obawiając się ponownych odwiedzin Grace Costello.

Kobieta stała pod oknem, patrząc w ciemność nocy. Miała na sobie szal burberry i prosty płaszcz, na którego kołnierzu opadały rozwiane włosy.

To ubranie i te włosy...

— Juliette! — krzyknął, podbiegając do niej. Młoda kobieta drgnęła i odwróciła się: miała na sobie ten sam kostium i taki sam płaszcz, ale nie była to Juliette.

— Doktor Galloway? Nazywam się Colleen Parker i jestem współlokatorką Juliette.

Zmieszany pomyłką Sam pozdrowił Colleen, która obrzuciła go badawczym spojrzeniem. On też przyjrzał jej się dokładnie, zauważając delikatne rysy twarzy i oczy o zielonkawej barwie. Colleen była ładna i wiedziała o tym.

— Przeczytałam o wszystkim w porannej gazecie — wyjaśniła — i nie mogę dojść do siebie.

Juliette podejrzana o wysadzenie samolotu w powietrze! Ona, która nie potrafi nawet włączyć kuchenki mikrofalowej!

Sam uśmiechnął się uprzejmie; młoda kobieta mówiła dalej:

— Jej adwokat poinformował mnie o przedsięwziętych przez pana krokach. To on dał mi namiary na pana.

— Sędzę, że są spore szanse na jej uwolnienie w dniu jutrzejszym.

Colleen pokręciła głową. Sam odgadywał pytanie cisnące się na jej usta i wkrótce je usłyszał:

— Od dawna zna pan Juliette?

— Nie od tak dawna — przyznał.

— Od paru miesięcy?

— Od kilku dni.

Colleen ponownie uważnie na niego spojrzała. Im dłużej go słuchała, tym lepiej rozumiała, co mogło się w nim spodobać Juliette: niesamowita mieszanka determinacji i łagodności, błysk w oczach o nieodpartym uroku...

— Muszę panu zadać jedno pytanie — powiedziała po krótkiej chwili wahania.

Ruchem ręki Sam zachęcił ją, by kontynuowała.

— Co spowodowało, że postanowił pan pomóc kobiecie, o której istnieniu jeszcze tydzień temu nie miał pan pojęcia?

— Ta historia jest zarazem bardzo prosta i bardzo skomplikowana — odparł Sam.

Colleen zareagowała po kilku sekundach.

— Znam tylko jedną rzecz, która może być jednocześnie bardzo prosta i bardzo skomplikowana.

— A co to takiego?

— Miłość.

*

Kilka godzin później w Harlemie, w samym środku nowojorskiej nocy, jakaś wysoka sylwetka przemknęła w pobliżu zabudowań z cegły. To w tym dużym magazynie — nieopodal miejsca, w którym Clinton urządził swoje biuro po opuszczeniu Białego Domu — przechowywane były dokumenty z autopsji po zakończeniu lub umorzeniu śledztw.

Grace Costello weszła do holu budynku administracji. Wszędzie panował spokój. Spojrzała na zegarek: było parę minut po trzeciej. Tak jak na to liczyła, nocny dyżur pełniło tylko kilka osób.

— Dobry wieczór — powiedziała, zbliżywszy się do strażnika, który siedział za kontuarem recepcji i ziewał.

— Cześć, zimno dziś jak cholera, co?

— Jeszcze jak — odparła, pokazując mu legitymację i odznakę, jak wymagały tego przepisy.

Wiedziała, że w tym momencie kamera filmuje wszystkie jej ruchy, ale podjęła ryzyko. Nikt — jak sądziła — nie przegląda nigdy taśm, a w każdym razie nikt, kto mógłby ją rozpoznać.

— Nie odmówię, jeśli zaoferuje mi pan kawę — powiedziała, rozcierając zziębnięte dłonie.

— Tam jest maszyna... — odparł strażnik, wskazując automat stojący w głębi korytarza.

Grace posłała mu w odpowiedzi jeden ze swoich zniewalających uśmiechów. Uśmiech, który mógł rozbroić nawet najbardziej pewnego siebie mężczyznę. Znała moc tej swojej broni i wiedziała, że w pewnym sensie robi z niej niezbyt uczciwy użytek. Czasami jednak było to konieczne, jak właśnie w tym przypadku.

— Proszę poczekać — podjął strażnik — postawię pani jedną.

— To bardzo miłe z pana strony.

— Mam na imię Robby.

— Bardzo mi przyjemnie.

Wyszedł z za kontuaru, a Grace skorzystała z okazji, by podejść do jego komputera. Wystukała swoje nazwisko i na ekranie ukazała się żądana informacja.

Grace Lauren Costello Akta nr 1060-674

Zapisała cyfry na karteczce i zaczęła na powrót Robby'ego, żeby spytać go o akta o tym numerze, nie podając nazwiska ofiary.

— Nigdy tu pani nie widziałem — zauważył.

— W ostatnich latach miałam trochę problemów ze zdrowiem — wyjaśniła.

— Ale wygląda pani, jakby była w świetnej formie. Wrócił po paru minutach i podał jej grubą kartonową

teczkę. Dzięki Bogu nie zauważył zbieżności nazwisk.

Grace podziękowała mu i usiadła w niewielkim oddalonym od recepcji boksie, żeby przejrzeć akta z pełną świadomością, że tego, co zaraz poczuje, nie poczuł przed nią żaden inny umarły: uczucia wynikającego z możliwości zapoznania się z raportem z własnej sekcji zwłok...

Mimo że usiłowała zachować spokój, nie mogła opanować drżenia rąk, kiedy odwróciła pierwszą stronę raportu.

INFORMACJE OGÓLNE

Grace Lauren Costello

Płeć: kobieta; **Rasa:** biała; **Wiek:** 38

lat;

Wzrost: 179 cm; **Waga:** 66 kg

Sześćdziesiąt sześć kilogramów! Gdybym wiedziała, co mnie czeka, nigdy bym nie zaczęła tej diety, pomyślała, żeby zmniejszyć nieco tragizm sytuacji.

Czytała dalej, starając się odnaleźć jakiś element, dzięki któremu mogłaby przypomnieć sobie okoliczności swojej śmierci. Z raportu wynikało, że ciało zostało znalezione

o piątej rano w jej samochodzie niedaleko Manhattan Bridge.

Ale to wszystko wcale nie wyjaśnia, co ja tam robiłam.

Koperta zawierała serię zdjęć zrobionych polaroidem, na które trudno jej było patrzeć. Mimo że nie należała do osób nadwrażliwych, surrealistyczne wrażenie, jakiego doznawała, oglądając swoje zwłoki, było nie do zniesienia. Została zabita strzałem w głowę. Kula wystrzelona z tyłu rozerwała lewą część czaszki, po czym utkwiała w prawej półkuli mózgowej. Na zdjęciach tył czaszki był jedną krwawą masą.

Reszta ciała nosiła jeden tylko ślad — wielki siniak na kości policzkowej — ale żadnego śladu tortur, gwałtu lub zranień spowodowanych walką. Najwidoczniej nie miała czasu walczyć ani się bronić, bo ktoś, do kogo była odwrócona tyłem, strzelił, rozwalając jej czaszkę.

Z początku nie miała zamiaru zapoznać się z dwiema pozostałymi stronami zawierającymi raport toksykologa. Była przekonana, że nie znajdzie na nich niczego interesującego. Jednak kiedy po chwili zastanowienia przeczytała je, zmusiła się do trzykrotnego odczytania zapisanych informacji, tak bardzo zbulwersowało ją to, co w nich odkryła: w pobranych próbkach krwi stwierdzono ślady heroiny.

Grace mocno przytrzymała się krzesła. Cios był zbyt silny. Coś tu nie grało. Przecież nigdy w życiu nie zażyła żadnego narkotyku! Oszołomiona wstała i zwróciła akta Robby'emu.

Kiedy znalazła się na ulicy, szczypiący i ostry chłód zmroził jej twarz, ale nie zwróciła na to uwagi. Trzy pytania kłębiły się w jej głowie jak jadowite węże. Kto ją

zabił? Dlaczego we krwi znaleziono narkotyki? Czy to wszystko miało jakiś związek z dziwną misją, którą polecono jej teraz wypełnić?

*

Wtorek rano

O godzinie dziewiętej trzydzieści Juliette Beaumont została doprowadzona przed Trzeci Trybunał w Queens. Wchodząc do sali, omiotła ją wzrokiem w poszukiwaniu choćby jednej znajomej twarzy, ale rozprawa nie była publiczna, wobec czego nie zobaczyła ani Colleen, ani Sama.

Za radą swojego adwokata przyznała się do popełnienia wykroczeń polegających na niesubordynacji wobec sił porządkowych i złamaniu przepisów prawa imigracyjnego.

Skoro policja nowojorska nie była w stanie dowieść jakiegokolwiek jej udziału w katastrofie, trybunał odrzucił wszystkie zarzuty sformułowane przeciwko niej w aktach sprawy i po krótkich pertraktacjach z prokuratorem wymierzył karę grzywny w kwocie tysiąca pięciuset dolarów.

Po wstąpieniu do komisariatu i zabraniu rzeczy osobistych zawieziono ją do siedziby służb imigracyjnych, które miały zająć się procedurą wydalenia jej ze Stanów. Kiedy Juliette była już pewna, że zostanie natychmiast odesłana do Francji, jakaś tajemnicza Komisja Śledcza do spraw Bezpieczeństwa Wewnętrznego — powołana po zamachu z jedenastego września—poinformowała nieoczekiwanie o zamiarze przesłuchania jej w najbliższych dniach. W południe wstrzymano więc procedurę wydalenia, w związku

z czym — jak na ironię — Juliette wyszła z budynku, ściskając w kieszeni specjalną prolongatę wizy do następnego dnia po przesłuchaniu.

Colleen przyjechała po nią i przyjaciółki padły sobie w objęcia. Uściskały się z płaczem i przez długą chwilę były sobie bliższe niż kiedykolwiek przedtem. Do domu pojechały taksówką. Była piękna, sucha pogoda, a światło dnia jeszcze nigdy nie wydało się Juliette tak uzdrawiające.

Zaraz po wejściu do mieszkania przygotowała sobie kąpiel tak gorącą, że łazienka zamieniła się w saunę. Rozebrała się i weszła do pachnącej wody, czekając, aż wanna napełni się po same brzegi. Zanurzyła głowę i trwała tak ponad minutę na wstrzymanym oddechu, próbując wyrzucić z siebie wszystkie myśli i odzyskać siły.

Areszt, a potem uwięzienie, były dla niej doświadczeniem, na które nie była przygotowana i którego nigdy nie zapomni. Pozostawała tylko nadzieja, że ten epizod nie pozostawi zbyt głębokich śladów w jej psychice. Tymczasem pragnęła czym prędzej wyrzucić go ze swoich myśli i była wdzięczna Colleen, że ta nie zasypuje jej pytaniami.

Wynurzyła głowę, by zaczerpnąć powietrza. Czuła się jak nowo narodzona, jednocześnie wyczerpana i tryskająca energią. Czuła, że równie dobrze mogłaby spać bez przerwy przez trzy dni, jak przebiec dziesięć kilometrów po Central Parku.

Zawinęła się w płaszcz kąpielowy i usiadła w salonie obok Colleen.

— Dziękuję, że po mnie przyjechałaś.

Colleen wskazała wzrokiem torbę podróżną stojącą na kanapie.

— Znalazłam ci ubrania na zmianę. Zostawiłaś je w głębi szafy.

Juliette zaczęła grzebać w torbie jak w kufrze pełnym skarbów. Większość ciuchów pochodziła z okresu, kiedy była studentką, a kilka z nich pamiętało jeszcze jej okres dorostania.

— On bardzo się o ciebie martwił, wiesz... — dodała Colleen niby niechcący.

— Kto taki?

— A jak myślisz?

— Czyja wiem?... Może pan Andrew, nasz dziewięćdziesięcioletni sąsiad?

— Rozumiem, że nie mogłaś mu się oprzeć — ciągnęła Colleen z szelmowskim uśmiechem — on jest naprawdę... jak by to powiedzieć? „Piękny” nie jest właściwym słowem... „uroczy” też nie.

Krótko mówiąc, to jest prawdziwy facet.

— Nie mam pojęcia, o kim mówisz.

— Bardzo dobrze, jak chcesz, zostawmy ten temat. Juliette kontynuowała przegląd garderoby z czasów

swojej młodości w poszukiwaniu czegoś nadającego się do włożenia. Znalazła gruby sweter ozdobiony perełkami i dżetami, bluzkę haftowaną w kwiatki, która jeszcze mogła zrobić wrażenie, i sprane spodnie z mnóstwem kieszeni i rzepów, które — jak pamiętała — nabyła w Halach, kiedy zdawała maturę.

Udając zachwyty właśnie odkrytymi skarbami, bez przerwy myślała o tym, co przed chwilą powiedziała Colleen. Już żałowała, że ucięła tę rozmowę, i korciło ją, żeby spytać przyjaciółkę, skąd zna Sama Gallowaya.

— Powiedz mi...

— Co takiego?

— Co dokładnie miałaś na myśli, mówiąc: „On bardzo się o ciebie martwił?”.

Colleen udała, że nie rozumie.

— Nic takiego, kochana. To zupełnie naturalne, że nie chcesz mówić o swoim tajemniczym ogrodzie.

— Przestań mnie wreszcie torturować! Colleen podniosła wzrok znad ekranu komputera.

— No więc odbyłam krótką rozmowę z Samem Gallowayem i myślę, że temu facetowi naprawdę na tobie zależy.

— Wiesz, to bardzo skomplikowana sprawa: on jest lekarzem, do tego żonatym... poza tym nie sądzę, żeby mógł pokochać mnie taką, jaką jestem w rzeczywistości.

— A ja myślę zupełnie na odwrót — odparła Colleen, podając jej mały magnetofon.

Juliette zrobiła pytającą minę, ale jej współlokatorka trzymała ją przez chwilę w niepewności.

— Dobra, zostawiam cię samą. Teraz, kiedy nie muszę się już niepokoić o twój los, będę mogła polatać po sklepach. Widziałam u Saksy taką małą kieckę i chyba się skuszę...

Kiedy Colleen wymknęła się cichutko, Juliette nacisnęła klawisz „play” i w pokoju rozległ się głos Sama, tak daleki i zarazem tak bliski.

Droga Juliette..

To, czego się nauczyłem, można zawrzeć w trzech, czterech słowach: W dniu, w którym ktoś cię pokochał, jest pięknie, nie potrafię powiedzieć tego lepiej. Po prostu jest pięknie!

Jean Gąbin

Droga Juliette...

Proszę cię, zechciej mnie wysłuchać, nawet jeśli jesteś na mnie zła...

Wiem, że ostatnie dni były dla ciebie bardzo trudne, i wierz mi, że ani na chwilę nie przestałem o tobie myśleć.

Wiem również, że wszystko potoczyłoby się inaczej, gdybym na lotnisku zdobył się na odwagę i poprosił cię, żebyś została ze mną, zamiast pozwolić ci wsiąść do tego cholernego samolotu. To nie dlatego, że nie miałem ochoty tego powiedzieć, ale myślę, że może zaważyła utrata zaufania do życia i strach, że nasza historia zaczęła się od kłamstwa.

Juliette usiadła na kanapie z nogami pod brodą, nie mając pojęcia, co Sam zamierza jej wyjawić.

Bo okłamałem cię: nie jestem już żonaty. Owszem, byłem, ale moja żona umarła rok temu. Miała na imię Federica. Znałem ją od dziecka. Wychowaliśmy się w tej samej dzielnicy — w Brooklynie. Dzielnicy podłej, jakich wiele w dużych aglomeracjach. Nie znałem swoich rodziców, to babcia zajmowała się mną, jak potrafiła. Jeśli chodzi o moją żonę, to jedyną jej rodziną była matka zaćpana od rana do wieczora. Oto jakie było nasze dzieciństwo. Aby dać ci pełniejszy obraz całości, wiedz, że kiedy w ostatnich latach oglądaliśmy stare klasowe zdjęcia, stwierdziliśmy, że większość naszych dawnych kolegów albo nie żyje, albo siedzi w więzieniu. My jednak żyliśmy. Ja zostałem lekarzem, a ona malarką; wynajmowaliśmy ładne mieszkanie; po prostu wydostaliśmy się z tego bagna. Przynajmniej tak nam się wydawało aż do pewnego straszego wieczoru...

Pamiętam, że była połowa grudnia, a ja uległem przedświątecznej euforii. Po południu świętowaliśmy w szpitalu w bardzo ciepłej atmosferze. Dzieci ubrały dużą choinkę własnoręcznie wykonanymi origami. Od ponad dwóch tygodni żaden z moich pacjentów nie umarł. Federica spodziewała się dziecka, a ja byłem w siódmym niebie.

Tego wieczoru po wyjściu ze szpitala wałęsałem się przez dobrą chwilę, gapiąc się na ogromne wystawy sklepowe w poszukiwaniu prezentów: album o Rafaelu dla Federiki, malowana drewniana kukielka i pluszowy słonik do dzieciennego pokoju...

Po raz pierwszy przyszłość jawiła mi się spokojna i wolna od zmartwień, toteż wracałem do domu z lek-

kim sercem. Zostałem otwarte drzwi. Na schodach zawołałem Federicę, ale nie odpowiedziała. Z obawą w sercu popchnąłem drzwi łazienki i zobaczyłem coś, o czym trudno mi mówić. Ściana i kafelki były zbryzgane krwią. W wannie, w zabarwionej na czerwono wodzie, leżała bez życia Federica z głęboko naciętymi nadgarstkami i kostkami nóg. Moja żona popełniła samobójstwo, będąc w ciąży!

Do głębi poruszona Juliette otarła łzy. Z magnetofonem przy uchu wyszła na taras, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza. Sam mówił dalej:

Cokolwiek jeszcze miałoby mnie spotkać w życiu, nic nie będzie równie straszne jak śmierć mojej żony.

Zrozum mnie, Juliette: jako praktykujący lekarz wyznaję zasadę, że cierpienie nie jest żadnym fatum. Codziennie przyjmuję dzieci złamane przemocą, gwałtem i chorobą. Do mnie należy wytłumaczyć im, że mogą wyjść z traumy. W większości przypadków mi się to udaje. Zostałem lekarzem po części dlatego, iż wiem, że po strasznych doświadczeniach można żyć. Leczenie ludzi nie polega wyłącznie na szukaniu przyczyn choroby, lecz na dawaniu nadziei, że jutro będzie lepiej, niż było wczoraj.

Jednak nigdy nie udało mi się przekonać o tym Federiki. Kobieta, którą kochałem, przeżywała jakiś dramat, a ja nie mogłem uwolnić jej od tych cierpień. Żyliśmy obok siebie, ale byliśmy tylko "Jeden plus jeden" i nigdy nie udało nam się być dwojgiem.

Sądzę, że drugiemu człowiekowi można pomóc wyłącznie wtedy, kiedy przyjmuje naszą pomoc.

Ale

Federica zamykała się coraz bardziej. Straciła chęć do walki w stopniu, którego się nie spodziewałem. Jak bardzo trzeba stracić nadzieję, żeby się zabić, będąc w ciąży...

W okresie, który nastąpił potem, zobojętniałem na wszystko. Nic nie było w stanie mnie dosięgnąć, ani radość, ani cierpienie. Nie bałem się nawet własnej śmierci. Zdarzało się, że czekałem na nią jak na wyzwolenie.

Tylko moja praca interesowała mnie nadal, choć wykonywałem ją z mniejszym przekonaniem. Straciłem wszelką nadzieję i żyłem jak automat.

Było tak do dnia, w którym spotkałem ciebie...

Jakie twoim zdaniem mieliśmy szanse, żeby się spotkać? Czytałem gdzieś, że ponad półtora miliona osób codziennie przechodzi obok siebie na Times Square. Półtora miliona, masz pojęcie?!

Ile brakowało, żebyśmy się rozminęli? Pół sekundy? Najwyżej sekunda...

Gdybyś przechodziła przez ulicę sekundę wcześniej, nie trafilibyśmy na siebie. Gdybym sekundę wcześniej zjechał na inny pas, nie spotkalibyśmy się nigdy.

Cała nasza historia zawarła się w tej jednej sekundzie.

Wystarczyłby ułamek sekundy, a nigdy nie zobaczyłbym twojej twarzy.

Jedna krótka sekunda i nie wiedziałabyś o moim istnieniu.

Maleńka sekunda i nie wysiadłabyś z samolotu...

Sekunda i byłabym martwa, pomyślała Juliette, stojąc na tarasie.

A jeśli ta sekunda była naszą sekundą? Niespodziewaną iskierką szczęścia?

Tą, która może na zawsze odmienić nasze życie... Pomyśl o tym!

Wiem, okłamałem cię, i wierz mi, że tego żałuję.

Wiem również, że nie jesteś adwokatką, ale nie myśl, że mi to przeszkadza. Wprost przeciwnie. Kelnerka czy aktorka, jakie to ma znaczenie? Nie gonię ani za bogactwem, ani za zaszczytami.

Pieniądze nigdy nie były dla mnie najważniejsze przy podejmowaniu decyzji. Nie posiadam żadnego majątku, nie mam niczego, nawet własnego mieszkania. Została mi tylko praca, która jest całym moim życiem.

I jeszcze nadzieja, której powinnaś się domyślić...

Ze łzami w oczach Juliette wyłączyła magnetofon. Zdjęła szlafrok i nie dbając o wygląd, prędko włożyła któreś z przejrzaných przed chwilą ubrań. Całości dopełniał pastelowy szalik i kurtka na futerku.

Dwie sekundy później wyszła z mieszkania, ale zaraz wróciła, bo w pośpiechu zapomniała włożyć buty. Pogrzebała w torbie i znalazła stare dwukolorowe zamszowe kickersy na gumowej podeszwie. Resztę poprawiła, przeglądając się w lustrze windy. Nie wyglądało to źle. Stare ciuchy miały taki cygański sznyt. Szczyt szyku to oczywiście nie był, ale podobała się sobie.

*

Odnalazła Sama w szpitalu i oboje mieli ochotę uciec po południu z miasta. Dobrze się składało:
Leonard

McQueen znów zaproponował swój dom w Nowej Anglii i tym razem Sam nie odmówił. W samochodzie nie odsuwali się od siebie nawet na milimetr. Kierownicę trzymała ręka o dziesięciu palcach i całowali się na każdym czerwonym świetle. Pocałunki miały smak wiosny, co niezmiernie ich dziwiło. Tuż za New Haven zjechali z autostrady, żeby nacieszyć się pięknem pejzażu. Linia wybrzeża ciągnącego się na północny wschód poprzecinana była zatokami, zatoczkami i portami. Droga prowadziła do granicy Connecticut i Rhode Island, do małej rybackiej wioski, w której stał dom McQueena.

Przy pięknej pogodzie miejsce to przyciągało licznych turystów odwiedzających tłumnie galerie sztuki i sklepiki rzemieślników, podczas gdy teraz miasteczko było prawie opustoszałe i dzięki temu bardziej autentyczne niż latem.

Po zaparkowaniu samochodu Sam i Juliette spacerowali przez moment po głównej ulicy zabudowanej starymi domami należącymi do kapitanów marynarki. Potem zawędrowali nad brzeg oceanu. Od rana niebo było bezchmurne, a temperatura niewiarygodnie przyjemna, jakby w środku zimy nagle zawitało babie lato. Rozregulowanie klimatu było zdecydowanie coraz bardziej odczuwalne. Trzymając się za ręce, przechadzali się po molo w złotawym świetle. Podziwiali właśnie statki, kiedy Juliette zażartowała:

— Gdyby to był jakiś film, ja znaną aktorką, a ty Kevinem Costnerem, wsiedlibyśmy na jeden z tych żaglowców i zabrałbyś mnie daleko w morze.

— Nie wiesz nawet, że to całkiem możliwe. McQueen powiedział mi, że ma tutaj zakotwiczoną łódź.

— A jak się nazywa?

— „Jasmine” — odparł Sam, przeglądając dokumenty łodzi.

Po paru minutach poszukiwań dotarli do długiej na dwadzieścia osiem stóp żaglówki, wspaniałej, całej z lakierowanego drewna.

— Umiesz żeglować? — spytała Juliette, wskakując na pokład.

— Zaletą studiowania medycyny na Harvardzie jest to, że czasami bywa się zapraszany na weekendy jachtowe przez tamtejszych WASP-ów* — wyjaśnił Sam, dołączając do niej.

— Poważnie myślisz o małej wycieczce?

— Muszę przecież sprostać twoim filmowym wyobrażeniom.

— Ale na pływanie taką łodzią chyba trzeba mieć zezwolenie...

— Nie przejmuj się, jeśli nas zatrzymają, tym razem ja pójdę do więzienia.

Sprawdził żagle i przygotował łódź. Znalazłszy właściwy klucz w całym pęku, jaki dostał od McQueena, uruchomił silnik, który przyjemnie zamruczał.

— Zwolnić cumy! — zakrzyknął Sam. — Chyba tak powiedziałby Costner, co?

— On nie dorasta ci do pięt — odpowiedziała Juliette, dając mu całusa, po czym wdrapała się zwinnie na najwyższą część pokładu, skąd mogła przyglądać się rybitwom fruującym nad jej głową.

Kiedy Sam złapał sprzyjający wiatr, wyłączył silnik i postawił żagle. Stopniowo łódź nabierała prędkości

*** WASP-White Anglo-Saxon Protestant — członek amerykańskiej elity pochodzenia anglosaskiego.**

i zmierzała na pełne morze. Słońce zniżało się powoli, zabarwiając niebo pomarańczowymi refleksami. Juliette podeszła do Sama stojącego przy sterze i przytuliła się do niego. Wieczorny wiatr smagał policzki i owijał ich jak niewidzialny żagiel. W ciszy delectowali się prostą przyjemnością bycia razem i kołysani falami oddali się w zapamiętaniu chwili, w której życie zdawało się nagle dawać im szansę.

*

Po półgodzinie byli z powrotem w porcie. Juliette poszła do pobliskiej kawiarenki rozgrzać się szklanką herbaty, a Sam doprowadzał łódź do porządku. Kiedy skończył, wszedł na długi drewniany pomost biegnący wzdłuż brzegu. Czuł się lekki i szczęśliwy. Życie naprawdę nabiera innych barw, kiedy jest się zakochanym. Czuł, że zaczyna znów mieć sens.

•Miał właśnie dołączyć do Juliette, kiedy jego błogostan przerwał nagły dźwięk dzwonka. Nie był to ani dźwięk jego bipera, ani telefon komórkowy, tylko zwyczajny odgłos telefonu dochodzący z budki telefonicznej. Jakiś żart? Spojrzał w prawo, potem w lewo: przydrożna budka telefoniczna była pusta. Najpierw postanowił nie zwracać na to uwagi, ale natychmiast zadziałał jego lekarski instynkt; a jeśli ktoś potrzebuje pomocy? Lepiej nie ryzykować, nie odpowiadając na wezwanie.

— Tak? — powiedział, podnosząc słuchawkę.

Po drugiej stronie odezwał się głos osoby, której nie miał ochoty słyszeć.

— Niech pan nie zapomina o naszej umowie, Galloway. Wszystko skończy się w samym środku soboty.

- Costello? Czego pani jeszcze chce? A po pierwsze, gdzie pani jest?
- Dobrze pan wie, czego chcę — odpowiedziała Grace.
- Nie mogę zrobić tego kobiecie, którą kocham!
- Obawiam się, że nie ma pan wyboru.
- Dlaczego pani nam to robi? Ja już wiem, jak smakuje żałoba! Dawno spłaciłem dług cierpienia!
- Wiem, Sam, ale to nie ja podejmuję decyzje.
- W takim razie kto?! — krzyknął. — Kto decyduje? Ale Grace odłożyła słuchawkę. Z wściekłości Sam rozwalił słuchawkę o ścianę kabiny.

Należy przeżyć swoje życie, spoglądając przed siebie, ale rozumie się je tylko wtedy, kiedy spojrzy się wstecz.

Seren Kierkegaard

Czwartek rano

Sam odwrócił się do Juliette. Spod kołdry wystawał kawałek jej nagiego ramienia i kilka złocistych kosmyków, które rozkładały się na poduszce jak promienie słońca. Udało mu się przespać parę godzin, choć mimo obecności młodej kobiety w jego mieszkaniu nie przestawał go dręczyć głuchy strach. Wyzwoliwszy się z objęć mor-feusza, rzucił okiem na zegarek: piąta cztery, ale mimo wczesnej pory postanowił wstać.

Odtąd dalsze oszukiwanie się przestało mieć sens: groziło mu niebezpieczeństwo, a on nie wiedział, jak mu się przeciwstawić. Pograżony w niepewności, czuł się jak jedna z postaci z *Czwartego wymiaru*, telewizyjnego serialu, który oglądał jako dziecko: pewien całkiem zwyczajny człowiek przekroczył granicę, której istnienia nie

podejrzewał, i z przerażeniem zdał sobie sprawę z obecności jakiejś szczeliny w rzeczywistości. Wstał, starając się nie hałasować. Na podłodze leżały rozrzucone ślady ich wczorajszych miłosnych zmagañ: stanik, kolorowy sweter, koszula Arrow, parę sztuk bielizny...

Przeszedł do łazienki i odkręcił kran prysznic. Dopływ gorącej wody wywołał koncert w rurach i wypełnił całe pomieszczenie parą. Sam wskoczył pod parzący strumień, nadal w kleszczach tych samych wątpliwości. Wydarzenia wymykały mu się spod kontroli, zwłaszcza że sam musiał spróbować znaleźć odpowiedź na wszystkie pytania. Bo z kim mógłby porozmawiać o tym, co mu się przydarzało, nie budząc jednocześnie niedowierzania? Do kogo się zwrócić? Jest chyba ktoś taki, pomyślał nagle, ale przecież od bardzo dawna...

Odrzucił pomysł rozważenia tej ewentualności, wyszedł spod prysznic i wytarł się energicznie. Wróciwszy do sypialni, ubrał się szybko, nabazgrał parę słów do Juliette i położył kartkę na poduszce. Zostawił jej także klucze od mieszkania na Manhattanie.

W kuchni próbował znaleźć jakieś resztki kawy — bezskutecznie.

Właśnie dziś rano, kiedy mam ochotę wypić cały dzbanek!

Przed wyjściem spojrział ostatni raz na Juliette i otworzył drzwi na ganek, gdzie powitały go lodowaty wiatr i ogłuszający szum fal. Zszedł ze schodków zatopiony w myślach. Pomimo chłodu samochód zapalił od razu.

Ponieważ było jeszcze bardzo wcześnie, do Nowego Jorku dojechał w niecały kwadrans. Już miał skręcić na

wschód, żeby wjechać w ulicę prowadzącą do szpitala, kiedy nagle zmienił zdanie i zawrócił w stronę Brooklynu.

— Aaaaj!

Z całej siły wdepnął pedał hamulca, żeby nie wpaść na półciężarówkę kwiaciarza odjeżdżającą przed sklepem. Opony zapiszczały i koła przejechały jeszcze kilka metrów po śliskiej nawierzchni. System hamowania był skuteczny, niemniej jednak samochód wjechał w tył furgonetki. Choć uderzenie nie było mocne, odczuł wyraźny wstrząs.

Cofnął się i wykręcił, żeby ominąć samochód dostawczy. Oczywiście upewnił się, że kierowca — młody hisz-pańskojęzyczny mężczyzna o krewkim charakterze — nie został ranny. Na szczęście nic mu się nie stało. Gestykulował i groził pięścią, posyłając pod adresem lekarza różne „przyjemne” epitety.

Sam postanowił nie wysiadać z samochodu. Z pliku wizytówek, jaki zawsze miał w portfelu, wyłuskał jedną i wyrzucił przez okno.

— Za wszystko zapłacę! — krzyknął, odjeżdżając. Był gotów ponieść odpowiedzialność, ale chwilowo

nie miał czasu się tym zajmować. Musiał natychmiast z kimś się zobaczyć. Z kimś, do kogo zwracał się już w przeszłości. Zawsze, kiedy nie mógł odnaleźć sensu życia.

*

Zaparkował samochód na brzegu chodnika. Dziesięć lat minęło, od kiedy wyprowadził się z Bed-Stuy. Przysiągł sobie wtedy, że nigdy tu nie wróci, i jak dotychczas słowa dotrzymał.

Zdziwił się, widząc wielkie zmiany na lepsze. Dynamiczny rozwój budownictwa mieszkaniowego wygonił z Manhattanu klasę średnią i spora liczba mieszkańców centralnych dzielnic miasta pospieszyła nabyć po niskich cenach małe budynki z brunatnej cegły, będące niegdyś schronieniem dla biedaków.

Dół ulicy patrolował policyjny samochód i miejsce to wydawało się nawet dość czyste, jakby w ciągu paru lat „Mały Bejrut” stał się równie spokojny jak któreś z rezy-dencyjnych przedmieść! A jednak wystarczyło parę chwil, by na plecach poczuł znajomy dreszcz, jak w dawnych czasach. Natychmiast zrozumiał, że tym wszystkim, którzy tu kiedyś mieszkali w trudnych latach, to miejsce zawsze będzie się kojarzyło z groźnymi duchami *squattersów* i handlarzami narkotyków.

Ruszył pieszo w górę ulicy. Mały kościółek stał na swoim miejscu, wciśnięty między boisko do koszykówki i przewidziany do rozbiórki magazyn.

Wszedł po schodkach i zatrzymał się przed drzwiami. Kiedyś ojciec Hathaway zawsze zostawiał otwarty „dom Pana”, tak „na wszelki wypadek”. Po jego śmierci zastąpił go inny ksiądz, ale kiedy Sam popchnął ciężkie drewniane drzwi, otworzyły się ze zgrzytem. Przynajmniej jedna rzecz się nie zmieniła.

Wnętrze kościoła było jak zwykle przesadnie udekorowane. Najbardziej eklektyczne ozdoby współistniały w zadziwiającej harmonii, trochę jak w kościołach Ameryki Południowej. Ściany były zawieszane złocistymi tkaninami i mnóstwem małych lusterek. Nad ołtarzem skrzydlaty posąg Dziewicy wyciągał ręce w kierunku odwiedzających, a fresk o odważnych kolorach ukazywał mękę Chrystusa.

Sam szedł wzruszony wzdłuż głównej nawy. Kiedy był dzieckiem, często szukał tu schronienia. Ojciec Hathaway urządził dla niego mały kącik w zakrystii, w którym mógł odrabiać lekcje. Wiara Sama nie była zbyt głęboka, ale spokojnych miejsc sprzyjających nauce było tak mało, że chętnie tu przychodził.

Zbliżył się do niszy tonącej w żółtawym świetle. Funkcję kadzielnicy pełnił zawieszony na łańcuszkach pojemnik. Wokół paliły się dziesiątki świec. Wrzucił parę dolarów do puszek i zapalił trzy świece: jedną w intencji Federiki, jedną dla Angeli i ostatnią dla Juliette.

Jak zawsze w kościele unosił się ten szczególny zapach pieprzu i wanilii, który podział na Sama jak machina czasu, dzięki której mógł cofnąć się o dziesięć lat.

W głębi duszy tego właśnie oczekiwał. Przez długi czas trwał w przekonaniu, że zatriumfował nad przeszłością, ale to nie była prawda. Od dziesięciu lat żył jak automat, bez przerwy studiował i leczył ludzi. Wmawiał sobie, że jeśli uda mu się uratować pewną liczbę chorych, wyleczy się ostatecznie ze swoich lęków i odnajdzie spokój. Jednak nie był to dobry sposób: nawet jeśli znikły sińce, rany pozostawały, i nie wiedział, co robić. Tymczasem samobójstwo Federiki powinno było zmusić go do stanięcia twarzą w twarz z przeszłością i pomóc mu w uwolnieniu się od niej. Ale tak się nie stało. Żył jako niepoczyszony wdowiec aż do dnia, w którym napotkał pewne spojrzenie, poczuł nadzieję... Jednak to nieoczekiwane spotkanie z Juliette zmacone zostało najpierw jego kłamstwem, a teraz złowieszczymi przepowiedniami Grace Costello.

Sam usiadł na jednej z prostych ławek ustawionych po obu stronach nawy. W kojącym kościelnym świetle oddał się wspomnieniom.

Kilka strzępków z przeszłości, zbyt długo zamkniętych na kłódkę w przepastnym kufrze pamięci, wydostało się na powierzchnię i przeniosło go do sierpnia 1994 roku.

Do lata, które zmieniło ich życie...

*

Tamtego roku oboje skończyli dziewiętnaście lat. Dotychczas jemu i Federice udawało się omijać awantury w dzielnicy.

Z nauką Sam dobrze dawał sobie radę. Od roku studiował nauki ścisłe na uniwersytecie. Większość czasu spędzał nad książkami i wysiłek wkładany w naukę przynosił efekty: był pierwszy w swoim roczniku absolwentów i gdyby utrzymał ten rozpęd, mógłby wstąpić do jednej z najlepszych akademii medycznych na Wschodnim Wybrzeżu. Niestety, wymagało to pieniędzy. Na razie dostawał niewielkie stypendium, które przysługiwało mu do końca następnego roku. Mógłby oczywiście zaciągnąć kredyt studencki, ale i to by nie wystarczyło. Od czternastego roku życia pracował w każde wakacje, oszczędzał każdego centa, prawie w tajemnicy, w nadziei zgromadzenia odpowiedniej sumy. Tamtego lata znalazł pracę w charakterze chłopca plażowego w Atlantic City, w jednym z luksusowych hoteli zbudowanych wzdłuż wybrzeża oceanu. Ponieważ „miasto gry” położone było o dwie i pół godziny drogi od Nowego Jorku, Sam sypiał na miejscu i wracał do Federiki co dwa tygodnie, kiedy miał wolny dzień.

Droga życiowa dziewczyny była bardziej chaotyczna. Skończyła naukę w szkole ogrodniczej, przez cały czas pracując na pół etatu u pszczelarza z Massachusetts, który

przeniósł dziesiątki swoich uli do parków i ogrodów Manhattanu.

Nie ma co ukrywać, że choć sama nie była narkomanką, zajmowała się dorywczo drobnym handlem narkotykami, żeby mieć za co kupić jej matce i opłacić jej leczenie, konieczne ze względu na pogarszający się stan zdrowia. Sam chciał pożyczyć jej pieniądze, ale odmawiała tak stanowczo, że przestał nalegać. Próbował również przemówić jej do rozsądku, ostrzegając, że wszystko może się bardzo źle skończyć, i nawet pouczał, że rozprowadzając narkotyki, naraża życie swoje i innych na niebezpieczeństwo i staje się współniczką handlarzy. Jednak nie odniosło to żadnego skutku. „Nie prosz mnie, żebym pozwoliła matce umrzeć”, było jedyną odpowiedzią Federiki, która ucinała w ten sposób dalszą dyskusję.

Przez dłuższy czas zadowalała się dostarczaniem paru saszetek tu i ówdzie, kiedy wracała po obchodzie pasieki. Potem, na samym początku tego pamiętnego lata, stan matki się pogorszył i konieczna była natychmiastowa operacja, co wymagało wpłacenia wysokiej kwoty.

Wtedy w ich życie wkroczył Dustface. Ten bezwzględny i brutalny handlarz kontrolował część dzielnicy. Od jakiegoś czasu miał oko na Federicę. Dziewczyna promieniała jakąś tajemniczą aurą, podobnie jak niektóre kobiety z Ameryki Południowej, nawet te żyjące w nędzy. Była to mieszanina godności i szlachetności, która powodowała, że podczas częstych nalotów gliniarze nigdy o nic jej nie podejrzewali. Dustface postanowił wykorzystać tę jej wyjątkową cechę i posłużyć się Federicą, by przemycać kokainę do Stanów.

Gdyby Sam o tym wiedział, byłby się przeciwstawił, użyłby nawet siły, żeby chronić przyjaciółkę. Na nie-

szczęście pracował wówczas w Atlantic City. Nie mówiąc mu ani słowa, Federica wsiadła do samolotu lecącego do Caracas i wracając, wwozła do Stanów trzydzieści kulek kokainy, które wcześniej połknęła. To była jedna z najstraszniejszych chwil w jej krótkim życiu. Cała powrotna podróż upłynęła jej na modlitwie, tak bardzo się bała, żeby lateksowe opakowanie nie rozpuściło się, a narkotyk nie przedostał do żołądka.

Kiedy ten koszmar wreszcie się skończył, przysięgła sobie, że już nigdy więcej nie podejmie się czegoś takiego, ale Dustface wrócił i zaproponował inną ryzykowną misję w zamian za sowite wynagrodzenie. Tym razem chodziło o to, by udać się do Meksyku i sprowadzić stamtąd samochód, którego zapasowe koło wypełnione było kokainą.

Na swoje nieszczęście Federica nie potrafiła powiedzieć nie. Poleciała do Meksyku, gdzie przekazano jej zwyczajną toyotę pełną białego proszku. Po przekroczeniu granicy w Tijuanie bez żadnej kontroli wzięła kurs na Nowy Jork, wybierając mniej uczęszczane drogi i przestrzegając dozwolonej prędkości. Dotąd wszystko przebiegało dobrze. Jednak powinna była mieć się na baczności, bo — jak dobrze wiadomo — szczęście nie mieszka długo pod tym samym adresem. W drodze do Baton Rouge zatrzymała się na stacji benzynowej, by zatankować i skorzystać z toalety. Kiedy wróciła na parking, samochód znikł. Nieszczęśliwy zbieg okoliczności czy głupi kawał? Co za różnica. Zdała sobie sprawę z konsekwencji: nigdy nie będzie w stanie zwrócić takiej sumy, a ten brutalny bydlak Dustface będzie ją torturował, zmieni w niewolnicę i prawdopodobnie nawet zabije.

Rezygnując z dalszej podróży do Brooklynu, wsiadła do autobusu do Atlantic City, żeby schronić się w ramionach Sama.

Po wysłuchaniu jej opowiadania Sam spadł z obłoków na ziemię. Zrozpaczona Federica oświadczyła, że chce opuścić Nowy Jork na zawsze. Sam próbował jej to wyperswadować: przecież nie mogą tak z dnia na dzień wszystkiego zostawić. Gdyby zaczęli teraz uciekać, musieliby to robić przez całe życie. Oczywiście nie mogło być mowy o tym, żeby ją opuścił. Zawsze był przekonany, że są sobie przeznaczeni i że albo razem uciekną, albo razem zginą. Zarzucał sobie, że wcześniej nie zauważył nadciągającej katastrofy, ale przecież często jest tak, że nie chcemy widzieć tego, czego się obawiamy. Przez całą noc Federica błagała go o przebaczenie, że wciągnęła go w tę historię, lecz było już za późno, nie można cofnąć czasu.

W końcu Sam postanowił wrócić do Nowego Jorku. Naiwny, myślał, że sprawy jakoś się ułożą. Autobus Greyhound przywiózł go wieczorem do miasta. Sam najpierw pojechał do siebie, następnie postanowił, że pójdzie zobaczyć się z Dustface'em. Przedtem jednak wykopał puszkę, w której gromadził oszczędności na studia. Było w niej prawie sześć tysięcy dolarów. Zamierzał zaproponować tę kwotę dealerowi w zamian za przyrzeczenie, że ten zostawi Federicę w spokoju. Ale najpierw wstąpił do swojego przyjaciela Shake'a Powella. Nie było go jednak w domu, więc Sam uznał, że dobrze się stało. Wdrapał się po ścianie budynku aż na dach i stamtąd dostał się przez okno do pokoju przyjaciela. Pod cegłą znalazł broń. Był to rodzaj depozytu, jaki zostawił tu brat Shake'a przed udaniem się na „wakacje” do więzienia na

Rykers Island. Sam sprawdził, czy pistolet jest nabity, i wsunął go do wewnętrznej kieszeni bluzy. Zawsze trzymał się z daleka od broni, ale domyślał się, że tym razem sprawy mogą nie potoczyć się tak, jak by sobie tego życzył.

Najlepszy dowód, że w gruncie rzeczy wcale nie był taki naiwny...

*

— No i co, synu marnotrawny, w dalszym ciągu żyjesz marzeniami?

Dźwięk tego głosu o barwie spiżu przywołał Sama do rzeczywistości i spowodował, że podskoczył jak złapany na gorącym uczynku. Podniósł wzrok i zobaczył Shake'a Powella, który właśnie wszedł przez drzwi od zakrystii.

— Shake!

— Cześć, Sam.

Niektórym wydawało się to dziwne, ale Shake został księdzem i objął parafię po ojcu Hathawayu. Zdruzgotała go śmierć brata, który popełnił samobójstwo w więzieniu, i Shake zapewne w wierze znalazł pociechę tak bardzo potrzebną w takiej chwili.

Jak za dawnych dobrych czasów uścisnęli sobie ręce w pewien skomplikowany rytualny sposób, po czym pokleпали się serdecznie. Wielki czarny Shake nadal był masywny jak bokser. Miał na sobie wyblakłe dżinsy i bluzę dresową, w której z trudem mieścił się jego muskularny tors. Od czarnej matowej twarzy odcinała się krótko przycięta siwiejąca broda. Shake był ucieleśnieniem sił natury, skoncentrowaną potęgą i niezliczone razy w przeszłości Sam odczuł dobrodziejstwo jego opieki podczas brutalnych bijatyk.

— Jak się masz?

— Lepiej niż ostatnim razem.

Dwaj mężczyźni nie widzieli się od ponad dziesięciu lat, lecz — mimo że na odległość — utrzymywali kontakt. Tak jak Shake poradził mu po tamtej strasznej nocy, Sam zerwał wszelkie więzi z dzielnicą, chociaż bardzo trudno było mu pogodzić się z myślą, że nie może widywać się z jedynym naprawdę bliskim przyjacielem.

— Mam wrażenie, jakby to było wczoraj — westchnął Sam, broniąc się przed ogarniającym go wzruszeniem.

— A mnie się zdaje, że od tego czasu upłynęła cała wieczność. Kiedy się rozstaliśmy, byliśmy prawie dziećmi, a teraz ty ubierasz się jak biznesmen i pracujesz w dużym szpitalu.

— Po trosze zawdzięczam to tobie.

— Nie gadaj głupstw!

Przez chwilę stali obok siebie, nic nie mówiąc. Shake zdecydował się pierwszy.

— Dowiedziałem się o śmierci Federiki i dzwoniłem do ciebie parokrotnie...

— Wiem, odsłuchiwałem twoje wiadomości i zapewniam cię, że bardzo mi one pomogły, mimo że się do ciebie nie odzywałem.

Po tej wymianie zdań Shake, jakby wiedziony intuicją, spytał:

— Masz jakieś problemy, chłopie?

— A kto ich nie ma?

— To chodźmy stąd, opowiesz mi o wszystkim przy kawie. Może i to jest dom Boży, ale cholernie tu zimno.

Shake zajmował małe mieszkanie, czyste i dobrze utrzymane, znajdujące się tuż za kościołem.

Zaproponował

przyjacielowi, by usiadł w salonie, podczas gdy sam zajął się przygotowywaniem kawy w archaicznym niklowanym ekspresie, którego nie powstydziliby się porządny, stary, włoski bar. Na półkach stały liczne trofea zdobyte przez Shake'a w turniejach bokserskich. Żeby jednak nikt nie pomyślał, że pochwała brutalność, w ramce umieścił zdanie z Szekspira: *Krwi nie zmywa się krwią, lecz wodą.*

— Spróbuj i powiedz, co o tym myślisz — powiedział, stawiając przed lekarzem kremową filiżankę.

— To kawa kolumbijska?

— Jamajska. Blue Mountain. Wspaniała, co? Sam potwierdził.

— Spójrz — powiedział Shake, wskazując kawałek gazety przypięty pinezką do drewnianej belki — wyciąłem z „New York Timesa” artykuł o tobie.

— W artykule była głównie mowa o szpitalu, nie o mnie — sprostował Sam.

— Jak widzę, w dalszym ciągu udajesz skromnego... Sam skwitował to wzruszeniem ramion.

— Dostawałem twoje przekazy pieniężne — ciągnął Shake. — Pięć tysięcy dolców w każde Boże Narodzenie na rzecz akcji dobroczynnych organizowanych przez parafię...

— Mam do ciebie zaufanie, wiedziałem, że te pieniądze zostaną właściwie spożytkowane.

— No pewnie, ale nie musiałeś przysyłać aż tyle.

— To mój sposób na spłacenie długów — wyjaśnił Sam. — Kiedy odchodziliśmy stąd z Federicą, ojciec

Hathaway pożyczył nam pieniądze.

— Wiem. Pewnego razu powiedział mi, że to była najlepsza inwestycja w całym jego życiu.

— Ale przecież te pieniądze były przeznaczone na pomoc biednym...

Twarz Shake'a rozjaśnił lekki uśmiech.

— A nie przyszło ci nigdy do głowy, że w tamtych czasach to my byliśmy biedni?

Sam zamyślił się przez chwilę nad tą prawdą, po czym odwrócił się do przyjaciela.

— Shake, teraz przydarzyło mi się coś zupełnie zwariowanego...

Opowiedział o dziwnych wydarzeniach ostatnich dni. Najpierw wspomniał o spotkaniu z Juliette, o tym zupełnie nowym uczuciu komfortu i spełnienia, które go ogarnęło, o nadziei na miłość i perspektywie założenia rodziny. Również o swoich obawach i niezręcznych posunięciach, które spowodowały, że nie potrafił jej zatrzymać, i o całym zamieszaniu po katastrofie samolotu.

Następnie z niemałą obawą opowiedział o niewiarygodnym starciu z kobietą gliniarzem utrzymującą, że jest emisariuszką zesłaną z nieba, by wypełnić makabryczną misję.

Shake Powell był księdzem działającym w terenie, postanowił poświęcić życie pomaganiu ubogim rodzinom

i trudnej młodzieży. Metafizyka nie była jego najmocniejszą stroną i kwestie natury teologicznej pozostawiał innym. Podobnie rzecz się miała ze sprawami nadprzyrodzonymi. Pomimo to z powagą wysłuchał opowieści przyjaciela. Wiedział, że Sam nie należy ani do nawiedzonych, ani do wierzących. W życiu kapłana zdarzyło mu się zetknąć raz czy dwa z niewytłumaczalnymi przypadkami. W takich razach z pokorą chylił głowę przed tym „czymś”, co przerastało jego wyobraźnię. Czasem należy pogodzić się z faktem, że nie wszystko się rozumie. Miał nadzieję, że odpowiedź otrzyma później.

Słuchał opowieści Sama i był coraz bardziej zmieszany, a jego niepokój wzrósł, kiedy lekarz wspomniał o straszliwej umowie zaproponowanej mu przez emisariuszkę.

Przez dłuższą chwilę żaden z nich nic nie mówił. Shake przerwał milczenie, zadając pytanie, które musiał zadać, nawet jeśli znał odpowiedź.

— W dalszym ciągu jesteś niewierzący, prawda?

— No tak — przyznał Sam. — Po co miałbym cię okłamywać?

— Bo wiesz, czasami Bóg...

Sam przerwał mu natychmiast, domyślając się, dokąd zmierza dyskusja.

— Lepiej zostaw Boga w spokoju, dobrze?

Wstał z kanapy i usiadł na parapecie okna. Przez szybę patrzył na boisko do koszykówki, na którym tyle razy rozgrywali mecze. Kiedy myślał o tamtym okresie, miał mieszane uczucia. Niektóre dni wspominał naprawdę dobrze. Ale często obrywał od wyższych, silniejszych od siebie i twardszych. Jakkolwiek było, nigdy nie pokazał im łez, co już stanowiło pewne zwycięstwo.

— Co, twoim zdaniem, powinienem zrobić? — spytał. Shake westchnął.

— To, co mi opowiedziałeś, jest bardzo niepokojące, ale nie powinieneś ulegać szantażowi tej rzekomej emisariuszki.

— Ale ona nam zagraża, mnie i Juliette!

— W takim razie musisz stawić jej czoło, nie mieszając w to wszystko Juliette. Ochraniaj kobietę, którą kochasz, Sam.

— Nie wiem, czy jestem do tego zdolny.

— Ciągłe ten sam brak wiary w siebie...

— Nie, mówię poważnie. Pojęcia nie mam, co robić.

— Pozwól mi z nią porozmawiać — zaproponował Shake, uderzając pięścią jednej ręki w otwartą dłoń drugiej. — Pozwól mi trochę ją nastraszyć...

— Nie, Shake, tym razem to się nie uda. Ta kobieta wygląda na taką, która nie boi się niczego.

— Nie ma ludzi, którzy niczego się nie boją. Możesz mi wierzyć.

Ksiądz odprowadził Sama do samochodu. Dzielnica budziła się powoli: koreańska piekarnia była już otwarta, szkolny autobus wspinał się wolno w górę ulicy, a u Frisco też zaczynał się ruch.

— Czy wiesz, że nie ma dnia, żebym nie myślał o tamtym wieczorze sprzed dziesięciu lat, kiedy ja...

— Tak, wiem — uciał Shake. — Jeśli to cię pocieszy, wiedz, że ja także codziennie o tym myślę.

— Czy jesteś pewien, że podjęliśmy słuszną decyzję? W oczach księdza mignął cień zwątpienia.

— Nigdy nie można być pewnym, że podjęło się słuszną decyzję. Na tym właśnie polega wolność dana nam przez Boga.

Sam przekręcił kluczyk w stacyjce, po czym opuścił szybę.

— Cześć, Shake.

— Kontaktuj się ze mną. Nie miej oporów, jeśli będziesz mnie potrzebował. I nie zwlekaj z przyjściem przez następnych dziesięć lat! Wszystko zdążyło się już ułożyć i nie masz się tutaj czego obawiać.

Sam nie był o tym przekonany.

Pomachał przyjacielowi i odjechał.

Często zadawał sobie to pytanie: co by się wydarzyło, gdyby nie poszedł na spotkanie z Dustface'em z pistoletem w kieszeni kurtki? Zresztą, czy tamtego wieczoru na-

prawdę uratował Federicę, czy tylko odsunął w czasie nieuniknione zakończenie?

W każdym razie, począwszy od tamtego dnia, wiedział, że ludzie dzielą się na dwie kategorie: na tych, którzy zabili człowieka, i na pozostałych.

On należał do tej pierwszej.

Oto Ja posyłam anioła przed tobą, aby cię strzegł w drodze i zaprowadził na miejsce, które przygotowałem.

Exodus 23, 20

Z torebką na ramieniu Grace przechadzała się po ulicach East Village. Na początku pracy w policji często wysyłano ją na patrole do tej dzielnicy. Zapamiętała ją jako miejsce tętniące życiem, w którym starzy imigranci z Europy Wschodniej żyli obok punków, dredowców i gotyków. Jak na całym Manhattanie i tu widoczne były zmiany na lepsze, nawet jeśli kilka ognisk biedy nadal trzymało się w komunalnych blokach w okolicy Alphabet City.

Panował przejmujący chłód, ale poranne słońce już zapowiadało piękny zimowy dzień. Grace wstąpiła do cukierni, gdzie zamówiła kawę na wynos oraz porcję ciasta o nazwie *forêt-noire*. Życie ludzkie zdecydowanie obfituje w mnóstwo pokus, którym trudno się oprzeć!

Jodie Costello szła w górę Pierwszej Alei w kierunku Tompkins Square Park. Liczni handlarze starociami rozłożyli się po obu stronach ulicy, która przypominała teraz

kłós zboża. Chowając się za kramami, Jodie wypatrywała, czy w pobliżu nie ma jakiegoś gliniarza. Kradnąc torebki „na wyrwę”, wołała wybierać turystów z uwagi na znacznie większe prawdopodobieństwo znalezienia pieniędzy w ich portfelach. Tego ranka jednak trafiła do mniej uczęszczanej przez turystów części dzielnicy, ale równie rzadko patrolowanej przez policję. Nie była w dobrej formie: trzęsła się, w brzuchu czuła skurcze i ledwo mogła ustać na nogach. Lepiej nie porywać się na coś bardzo trudnego. Z pewnością nie na mężczyznę, który chcąc na przykład uchodzić za bohatera, rzuci się za nią w pogoń.

Upatrzyła sobie kobietę odwróconą do niej tyłem. Ubrana w skórzaną kurtkę, wyglądała na wysportowaną i wydawała się dość młoda. Atak był raczej ryzykowny, choć nie całkiem skazany na niepowodzenie, bo kobieta miała obie ręce zajęte: w jednej trzymała kubek z kawą, a w drugiej ciastko. Jej torebka z dobrze wyprawionej skóry sprawiała wrażenie drogiej, **co** pozwalało sądzić o pewnym poziomie zamożności.

Jodie rozważała w myślach za i przeciw: idę na **to**, nie idę, idę, nie idę... Boże, jak tego nie cierpiała! Czuła się podle i bała się. Idę, nie idę... Potrzebowała jednak pieniędzy. Znowu była na głodzie i czuła krople potu spływające wzdłuż kręgosłupa. Zdecydować się czy **odpuścić...** Nagle zabrała się do dzieła. No, dalej.

Grace poczuła, jak jej lewa ręka leci do przodu, jakby **ktoś** wrywał jej ramię ze stawu. Kubek z kawą **poszybował** w powietrze, po czym roztrzaskał się na asfalcie. Straciła równowagę i upadła. Przez ułamek sekundy **widziała** napastnika: **to** była kobieta, a raczej dziewczyna **ubrana** w parkę. Zdążyła dostrzec jej jasne włosy z czer-

wonymi i niebieskimi kosmykami i pomalowane na czarno paznokcie. Ich spojrzenia spotkały się na moment. Wtedy coś zabłysło w zgaszonym wzroku Jodie: mieszanina nadziei i strachu natychmiast zmieciona falą niedowierzania. Trwało to zaledwie sekundę, ale ta rozciągnęła się jak na zwolnionym filmie, pozostając na zawsze w pamięci ich obu jak odłamek szkiełka w oku. Potem wszystko nabrało tempa. Jodie biegła, przyciskając do piersi skradzioną torebkę. Wkoło słyhać było okrzyki oburzenia. Grace zerwała się na równe nogi i ruszyła w pogoń. Coś zaniepokoiło ją w wyglądzie dziewczyny, lecz nie wiedziała co. Jodie przebiegła przez ulicę i niewiele brakowało, a wpadłaby pod samochód. Spojrzała szybko za siebie i wkurzyła się na widok goniącej ją ofiary. Spróbowała jeszcze przyspieszyć, choć już nie czuła nóg. Przy wtórze klaksonów Grace przedarła się przez sznur samochodów, żeby dostać się na drugą stronę ulicy. Nabrała rozpędu i z każdym susem zmniejszała dystans dzielący ją od uciekającej. Jodie czuła, jak żołądek podchodzi jej do gardła. Gdyby coś w nim miała, z pewnością zwymiotowałyby na środku chodnika. Grace była coraz bliżej. Im bardziej się zbliżała, tym bardziej była wzburzona, nie rozumiejąc przyczyny takiego stanu. Tymczasem Jodie zaczynało brakować tchu. Jeszcze parę metrów i zostanie złapana. Na rogu Czternastej Ulicy skręciła w lewo. Stacja metra była niedaleko. Musi jakoś wytrzymać te kilka metrów.

— Jest tu! — krzyknął jakiś mężczyzna.

Jodie odwróciła się i zobaczyła tuż za sobą dwóch policjantów.

Napotykać po raz drugi wzrok złodziejki, Grace poczuła lodowaty dreszcz przebiegający wzdłuż pleców. Już

wiedziała, co ją tak zbulwersowało w tej dziewczynie, ale było to tak niewiarygodne, że nie dopuszczała do siebie takiej możliwości.

Spanikowana Jodie wpadła w wejście do metra i zbiegła pędem po głównych schodach. Zbierając resztki sił, przeskoczyła przez barierkę, czując za plecami Grace i dwóch policjantów deptających jej po piętach. Grace nie miała zamiaru dać za wygraną. Potrafiła paru pasażerów, zbiegła po ruchomych schodach, żeby szybciej znaleźć się na peronie. Kiedy znowu zobaczyła dziewczynę, głos serca wziął górę nad rozsądkiem.

— Jodie? — krzyknęła. — Jodie!

Dziewczyna zatrzymała się nagle, jakby porażona prądem. Odwróciła się wolno, upuściła torebkę, i poczuła, że jej serce pęka niczym granat, który właśnie rozleciał się na tysiące odłamków. Ten głos, ta twarz...

Sparaliżowane i zastygłe bez ruchu kobiety stały teraz twarzą w twarz w odległości zaledwie kilku metrów od siebie.

— Mama...? — wykrztusiła Jodie łamiącym się głosem.

Kiedy ponownie otworzyła usta, nie wydostał się z nich żaden dźwięk, a ciałem wstrząsnął trudny do opanowania szloch. I ta chwila rozciągnęła się w czasie, i była to ich chwila. Ulotny moment poznania i rozpoznania, poza czasem, całkowicie irracjonalny.

Pociąg wjechał na stację z hukiem trąby powietrznej, wywołując wir podobny do cyklonu. Kiedy prawa ciążenia wróciły do normy, Jodie zrobiła kilka kroków w przód, żeby podejść bliżej do Grace. Jednak w tym samym momencie dwaj policjanci znaleźli się tuż obok i wyższy z nich zwałił się całym ciężarem na nastolatkę.

— Mam ją! — krzyknął, przygniatając dziewczynę do ziemi.

Unieruchomił ją bez trudu, odwrócił twarzą do posadzki peronu i wykręcił do tyłu ręce, żeby nałożyć kajdanki.

Już zapiął pierwszą bransoletkę, kiedy silne kopnięcie w bok zapało mu dech. Nie wiedząc, co się dzieje, odwrócił się w stronę Grace, a ta wymierzyła mu prosto w twarz drugi cios, który pozbawił go równowagi.

— Wsiadaj do wagonu! — rozkazała Grace córce, podczas gdy drugi gliniarz wyciągał pałkę, chcąc przyjść z pomocą koledze.

Jodie stała jak wryta, nie rozumiejąc, co się dzieje.

— Wsiadaj do pociągu! — powtórzyła Grace w chwili, gdy zabrzmiał sygnał zamykających się drzwi.

Pierwszy cios policyjnej pałki spadł na jej kark, a po nim drugi. Zanim straciła przytomność, wydało jej się, że widzi córkę wskakującą do wagonu.

Kiedy pociąg ruszył, Jodie zbliżyła twarz do szyby i zobaczyła, jak policjanci wloką jej matkę po schodach.

*

Shake Powell był zaniepokojony. Nie chciał okazywać tego Samowi, ale historia o emisariuszce bardzo nim wstrząsnęła i teraz w jego głowie tłukło się jedno pytanie.

Zadzwoił do informacji i poprosił o numer szpitala Świętego Mateusza. Kiedy uzyskał połączenie, podał swoje nazwisko i poprosił o rozmowę z doktorem Gallowayem.

— Shake?

— Tak, stary. Słuchaj, możesz mi przypomnieć, jak się nazywa kobieta, o której mówiłeś?

— Grace Costello — odpowiedział Sam. — Czy to nazwisko coś ci mówi?

— Nie — skłamał ksiądz. — Wybacz, że zawracam ci głowę.

Odłożył pospiesznie słuchawkę, z obawy że przyjaciel zacznie zadawać dalsze pytania.

— Grace Costello — powtórzył jak echo.

Było to nazwisko, którego za nic nie chciał usłyszeć. Poczł pulsowanie w skroniach. Ledwo utrzymując równowagę, wyszedł z mieszkania i dotarł aż na boisko do koszykówki.

Grace Costello! Może powinien uprzedzić Sama? Przez moment rozważał tę możliwość, ale wahał się z podjęciem decyzji. Prawie zrezygnowany wszedł do kościoła i przeżegnał się. Żeby zachować wiarę przez te wszystkie lata, bez przerwy utwierdzał się, że istnieje Bóg wyrozumiały i współczujący. Ale prawdę mówiąc, co mógł wiedzieć o naturze niebios? Bóg, z którym rozmawiał, był z pewnością życzliwy i wyrozumiały.

Ale czy poza jego umysłem ten Bóg istnieje także gdzie indziej?

*

Juliette obudziła się w poczuciu cudownego komfortu, tak kontrastującego z trzema ostatnimi nocami spędzonymi w więziennej celi. Ostatni raz dała nura pod miękką kołdrę, po czym odważyła się spojrzeć na zegar i wpadła w panikę: już ósma trzydzieści, a władze imigracyjne wyznaczyły na dziesiątą wizytę u lekarza niezbędną do przedłużenia wizy. Zdaje się, że chodziło także o powtórzenie jakichś szczepień.

Wyskoczyła z łóżka, zadzwoniła po taksówkę i przestudiowała rozkład jazdy pociągów. Mogła jeszcze zdążyć, ale musiała się pospieszyć.

Właśnie miała wziąć szybki prysznic, kiedy na poduszce zauważyła kartkę od Sama. Delektowała się, czytając ją raz, drugi i trzeci.

Owinęła się w koc i wyszła na plażę, żeby przywitać się z niebem, oceanem i wiatrem. Odurzona, napawała się przez kilka chwil swoim nowiutkim szczęściem, przewijając z rozkoszą film z ostatnich paru godzin.

Powietrze płynące od strony oceanu było lodowate, jednak nie na tyle, by przeszkodzić jej w fiknięciu na piasku paru fikołków.

Czuła się piękna i lekka. Życie jest cudowne!

*

Kiedy Grace otworzyła oczy, była przykuta kajdankami do tylnych drzwiczek policyjnego wozu.

— Ej, spokojnie! Jestem u siebie! — krzyknęła. Jeden z policjantów siedzących z przodu odwrócił się

w jej stronę, rzucając groźne spojrzenie. Trudno się dziwić, skoro przy nosie trzymał zakrwawioną chusteczkę...

— Robicie cholerne głupstwo, chłopaki. Jestem detektywem z trzydziestego szóstego okręgu.

— Z pewnością — mruknął prowadzący samochód'— a moją mamą jest Britney Spears!

— Sami sprawdźcie w wewnętrznej kieszeni mojej kurtki...

W przyływie poczucia obowiązku funkcjonariusz z rozbitym nosem sięgnął do wskazanej przez Grace kieszeni i natrafił w niej na odznakę NYPD.

- O cholera! — zaklął „pałkarz”, po czym od razu wcisnął hamulec.
Pokręcił się trochę i zaparkował samochód w rzędzie aut stojących wzdłuż Lexington.
- A co z dziewczyną? — spytał bez przekonania.
- To była moja informatorka! — wrzasnęła Grace.
- Ale to ona ukradła pani torebkę, czyż nie tak?
- Tak było zaplanowane!
- Zaplanowane?
- Słuchajcie, chłopaki, nie próbujcie zrozumieć, dobra?
- A pani musiała nas tak urządzić, co? Prawie roztrzaskała mi pani nos!
- Grace wzruszyła ramionami.
- Przecież musiałam coś zrobić, żeby naprawić wasze kretyństwo.
- My tylko wykonywaliśmy naszą robotę. Jednak musi pani przyznać, że wszystkie pozory świadczyły przeciwko pani — usprawiedliwił się gliniarz prowadzący samochód, zdejmując jej kajdanki.
- Dobrze już, dobrze! Na razie okażcie się przydatni i zawieźcie mnie w pewne miejsce.
- A dokąd chce pani jechać?
- Do szpitala Świętego Mateusza — odparła, rozcierając nadgarstki.

*

Centrum Zdrowia imienia Johna Kennedy'ego miało swoją siedzibę w wieżowcu ze szkła i stali stojącym na rogu Park Avenue i Pięćdziesiątej Drugiej Ulicy. Juliette weszła szybkim krokiem do budynku. Była spóźniona

piętnaście minut i miała nadzieję, że nie zamkną jej za to w więzieniu.

Chociaż w tym kraju nigdy nic nie wiadomo...

Czekając na windę, zerknęła z zachwytem na dominujące w głównym holu bizantyjskie sklepienie pokryte złotymi liśćmi i mozaiką. To było to, co najbardziej lubiła w Nowym Jorku: nawet kiedy żyło się tu od wielu lat, rzadko zdarzał się dzień, w którym nie odkrywało się jakiegoś nieznanego dotąd cudu.

Jadąc windą na trzydzieste trzecie piętro przyrzekła sobie, że po skończonych badaniach zatrzyma się w holu, żeby dokładniej przyjrzeć się sklepieniu.

Pokazała w recepcji skierowania na badania. Poproszono, żeby zechciała trochę poczekać, po czym wprowadzono ją do korytarza pachnącego szpitalem. Juliette nadal bujała w obłokach i tego dobrego nastroju nie były w stanie popsuć nawet surowe, blade i zimne jak stal barwy tego pomieszczenia.

Oczywiście wolałaby inne miejsce, ale cóż. „Jeśli chcesz zachować dobre zdrowie, uciekaj od lekarzy”, powtarzała jej zawsze prababcia, która niedawno dziarskim krokiem przekroczyła pięćdziesiąt pięć lat, i jak dotąd Juliette starała się postępować zgodnie z jej radą.

— Mademoiselle Beaumont? — spytał jakiś mężczyzna w białej bluzie.

— To ja.

— Doktor Goldwyn. Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, możemy zaczynać.

Juliette weszła za nim do długiej bezosobowej sali. Najpierw powtórzono szczepienia, a następnie pobrano krew do analizy. Potem musiała odpowiedzieć na kilka pytań dotyczących chorób przebytych przez nią i człon-

ków jej rodziny. Wreszcie lekarz zaczął ją badać. Żeby nieco rozluźnić atmosferę, Juliette zagadnęła go:

— Czy mogę prosić, żeby dzisiaj nie wspominał pan o żadnym raku? Jestem zakochana.

Ale lekarz nawet się nie uśmiechnął. Centrum zdrowia obsługiwało pacjentów taśmowo i nie było w nim miejsca na okazywanie choćby odrobiny ciepła. Najwidoczniej należało zapukać do innych drzwi.

— To wszystko, mademoiselle.

— Czy mogę już sobie pójść?

— Oczywiście. Proszę tylko zostawić adres, na który prześlemy wyniki badań. Chyba że wolałaby pani na nie poczekać.

— Czy to długo potrwa?

— Pół godziny.

— W takim razie zaczekam — postanowiła. Lepiej od razu z tym skończyć. Poproszono ją, żeby usiadła w aseptycznej poczekalni. Wzięła sobie kawę z automatu i przez długą chwilę stała przy oknie, przyglądając się drapaczom chmur wznoszącym się wzdłuż Park Avenue. Jak w zabawie w lustrzane zajaczki, każdy prostokąt szkła wysyłał w jej stronę odbicie nieba i sąsiednich biurowców. Juliette uznała, że to zarazem wspaniałe i przerażające, może dlatego, że na tym tle ona sama czuła się mikroskopijnie mała, krucha i śmiertelna.

Smak kawy przyprawił ją o mdłości. Zgniotła pusty papierowy kubek. Dlaczego nagle dopadły ją złe przeczucia?

To było śmieszne. Jest w tak świetnej formie, że mogłaby wziąć udział w maratonie nowojorskim albo pokonać na jednej nodze siedem tysięcy stopni prowadzących na dach Empire State Building. Żeby odgonić ponure myśli,

zaczęła wspominać rzeczy przyjemne. Jak tylko stąd wyjdzie, pójdzie ucałować Sama. Ma chyba przerwę w południe, więc mogliby odetchnąć w Bryant Park.

Drzwi sali otworzyły się i ukazała się w nich pielęgniarka.

— Panno Beaumont, doktor Goldwyn ma już wyniki. Proszę pójść ze mną.

*

Przez całą drogę Jodie stała z czołem przyklejonym do szyby. Podziemny pejzaż tunelu metra przesuwiał się przed jej oczami z zawrotną szybkością. Rozdarta między osłupieniem i przygnębieniem nie wiedziała, co o tym wszystkim sądzić. Chyba naprawdę oszalała. Bo jak inaczej wytłumaczyć fakt, iż zdawało się jej, że widziała matkę?

Oczywiście nie mogła się nawet łudzić. Dobrze wiedziała, że Grace umarła i została pochowana dziesięć lat temu. Wszystko to musiało się jej przywidzieć pod wpływem tych cholernych narkotyków. Jej umysł zmaciły halucynacje!

A jednak wszystko wydało się takie realne. Matka wyglądała dokładnie tak samo jak w jej wspomnieniach: była w tym samym wieku, miała taką samą sylwetkę, ten sam opiekuńczy i budzący zaufanie głos. Obrazy z tego dziwnego spotkania przesuwały się przed oczami Jodie w zwolnionym tempie, podczas gdy w głowie rozlegał się coraz silniejszy huk i powracało ciągle to samo pytanie: skąd ta kobieta znała jej imię i dlaczego obroniła ją przed policjantami? Jodie nie miała najmniejszego pojęcia i — prawdę mówiąc — wcale nie była pewna tego, co widzia-

la, bo od kiedy narkotyki wkroczyły w jej życie, nie mogła być pewna niczego.

Na stacji Union Square przesiadła się na linię jadącą na północ. W wagonie wiozącym ją do Bronksu ktoś spojrzał na kajdanki wiszące na nadgarstku jej dłoni. Żeby je ukryć, Jodie szybko włożyła rękę do kieszeni kurtki.

Po jej policzkach płynęły łzy. Nie mogła ich powstrzymać. Jeszcze nigdy nie czuła się taka bezbronna i osamotniona.

*

Juliette pchnęła drzwi gabinetu doktora Goldwyna.

— Proszę usiąść, mademoiselle Beaumont. Usiadła naprzeciwko niego. Na jego twarzy malował się wyraz wyższości, typowy dla lekarza, który wie o nas coś, o czym my nie wiemy i co daje mu nad nami przewagę.

— No więc? — spytała Juliette, chcąc skończyć tę komedię.

Zamiast odpowiedzieć od razu, lekarz podał jej kartkę: wyniki badań krwi. Juliette pochyliła głowę, ale przed jej oczami tańczyły tylko cyfry.

— Czy ja niedługo umrę? — spytała pół żartem, pół serio.

— Nie, wprost przeciwnie...

— Wprost przeciwnie?

— Wszystkim naszym pacjentkom w wieku rozrodczym robimy test ciążowy.

— I co...?

— Jest pani w ciąży, mademoiselle Beaumont.

Zostaliśmy stworzeni wyłącznie przez tych, którzy nas kochają, i przez nikogo więcej.

Christian Bobin

Szpital Świętego Mateusza

— Proszę pani, tu nie może pani wchodzić!

Grace Costello minęła właśnie kontuar recepcji oddziału nagłych wypadków. Podeszła do tablicy z wykazem ostatnich przyjęć, żeby odszukać nazwisko Sama.

— To miejsce przeznaczone wyłącznie dla personelu! — ostrzegły ją dwa mastodonty z ochrony, ruszając jednocześnie w jej kierunku.

Już mieli ją złapać, kiedy podsunęła im pod nos odznakę, którą przypięła do klapy kurtki.

— Policja! Szukam doktora Gallowaya. To bardzo pilne.

Connie rzuciła okiem na plan dyżurów.

— Drugie piętro, pokój dwieście trzy — poinformowała.

Grace wbiegła po schodach, przeskakując po cztery stopnie, i wylądowała w pokoju, w którym Sam kończył

opatrywać jakiegoś małego spryciarza, który postanowił odegrać w domu sekwencję z programu *Jackass**.

Widząc zbliżającą się Grace, lekarz wzniosł oczy do nieba, ale ona nie zostawiła mu czasu na zmanifestowanie złości.

— Potrzebuję pańskiej pomocy, Galloway. Zaskoczony tą prośbą, Sam spojrział na nią uważnie.

— Co się pani stało? — spytał, wskazując sińce pozostawione przez pałkę.

— To nic poważnego.

— Zaraz, zaraz, przecież pani krwawi... Zaskoczona Grace uniosła dłoń do łuku brwiowego: po jej skroni spływała strużka krwi. Podczas bójki z policjantami uderzyła głową o chodnik, ale nie sądziła, że odniosła jakieś obrażenia.

— Proszę usiąść, zaraz to opatrzę — powiedział Sam, kończąc zakładać opatrunek małemu pacjentowi.

Grace zdjęła kurtkę i usiadła na krześle. Sam wziął gazik i zaczął dezynfekować skaleczenie.

— Kto panią tak urządził?

— Dwaj gliniarze, ale musiałby pan widzieć, jak ja ich urządziłam.

Słyszając dumę w jej głosie, Sam nie mógł powstrzymać uśmiechu i w tej samej chwili zrozumiał, co miał na myśli Rutelli, kiedy powiedział mu, że nigdy nie odważył się wyznać swoich uczuć tej kobiecie, równie dumnej co onieśmielającej.

— Przede mną nie musi pani odgrywać twardziela.

— Tym lepiej, bo potrzebuję pana pomocy i powiem bez ogródek, że wolałabym nie prosić o nią na kolanach.

*** Kontrowersyjny program emitowany na kanale MTV, w którym czterech przyjaciół odgrywa w warunkach domowych niebezpieczne sceny kaskaderskie.**

— Mojej pomocy? W jakiej sprawie?

— Muszę odnaleźć córkę.

Jej głos zmienił się prawie niedostrzegalnie, ale Sam dosłyszał w nim ton bezbronności.

— Widziała pani córkę?

— To nie było zamierzone. Przed półgodziną próbowała ukraść mi torebkę.

— Piękna rodzinka, nie ma co! — westchnął Sam. Spojrzała na niego z wyrzutem.

— To poważna sprawa, Galloway. Jestem naprawdę zaniepokojona. Ona miała w oczach coś takiego, no wie pan...

Sam zmarszczył brwi.

— Co takiego?

— ...takie jakieś gasnące i przerażające światło, jakie widać czasami w oczach narkomanów.

— W jaki sposób mogła pani spotkać ją przez przypadek?

Grace opisała mu szczegółowo okoliczności krótkiego spotkania z Jodie i Sam nie mógł ukryć wzruszenia.

— Dlaczego nie miałyby pani spróbować z nią porozmawiać?

Wyszeptała tylko:

— Dlatego że ja nie żyję, Galloway. Myślałam, że z czasem pan to zrozumie.

— Jak na osobę nieżyjącą ma pani całkiem niezłą ranę— odparł, przyglądając się uważnie skaleczeniu, które właśnie kończył dezynfekować.—Będę musiał założyć dwa szwy.

Gdy przygotowywał niezbędne narzędzia, Grace mówiła dalej:

— Chcę, żeby pomógł mi pan odnaleźć Jodie i żeby pan z nią porozmawiał.

— A co miałbym jej powiedzieć?

— Coś pan wymyśli, mam do pana zaufanie.

— Dlaczego ja?

— Ponieważ ona potrzebuje opieki, a pan jest lekarzem. Poza tym...

— No, słucham.

— ...bo mam tylko pana. Dla wszystkich jestem martwa i tak musi pozostać. Pod żadnym pozorem nie mogę wkraczać w życie ludzi.

Spojrzała na niego. W jej wzroku nadzieja mieszała się ze strachem przed odmową. Na moment kobieta wzięła w Grace górę nad policjantką i Sam wzruszył się tą mieszaniną siły i kobiecości. Tymczasem Grace nie pozwoliła zadomowić się temu uczuciu.

— Auuu! Delikatnie! — syknęła, podskakując z bólu. — Robi pan to specjalnie?

— Oczywiście. Uwielbiam patrzeć, jak pani cierpi.

— To świetnie, jestem zachwycona, że mogę dostarczyć panu dzienną dawkę przyjemności, ale teraz czekam na odpowiedź: pomoże mi pan czy nie?

Pomijając to pytanie, Sam pytał dalej:

— Gdzie mieszka pani córka?

— Gdybym to wiedziała, mogłabym obejść się bez puńskiej pomocy.

— Przecież to pani jest policjantką — zauważył. — A ja tylko lekarzem.

Nie odpowiedziała. On natomiast odczekał parę sekund, po czym stwierdził:

— Jeśli chcemy odnaleźć Jodie, będziemy kogoś potrzebowali...

Grace ściągnęła brwi. Sam wyjął z portfela wizytówkę,

którą dał mu Rutelli, i pokazał ją Grace. Jej reakcja była zaskakująco gwałtowna.

— Niech pan nie miesza Marka do tej sprawy, dobrze?

— Proszę posłuchać! Powiedziała pani, że Jodie ma na ręku kajdanki. Taki szczegół nie pozostaje długo niezauważony. Ktoś w końcu może dać o tym znać na policję i wtedy Rutelli i tak się dowie.

— Niekoniecznie. Przecież pan wie, że został zdegradowany.

Sam nalegał:

— Ale jeśli powiemy mu o wszystkim, z pewnością nam pomoże, w ten czy inny sposób. To dobry policjant, prawda?

— Najlepszy — odpowiedziała Grace bez wahania.

— W takim razie proszę pozwolić mi do niego zadzwonić. To w żadnym stopniu nie przeszkodzi nam w działaniach na własną rękę.

Ponieważ Grace nadal się wahała, Sam postanowił przyprzeć ją do muru.

— Ten facet ma bzika na pani punkcie, i myślę, że pani dobrze o tym wie.

Grace nie odpowiedziała, ale coś zabłyśło w jej oczach. To nie była łza, tylko kolorowy błysk tęsknoty i żalu. Sam mówił dalej:

— Po pani śmierci coś ostatecznie w nim zgasło.

— Pan myśli, że nie zdaję sobie z tego sprawy! Nie ma potrzeby wiercić nożem w ranie, żeby wzbudzić we mnie poczucie winy. Pragnę panu przypomnieć, że zostałam zamordowana. Nie wybrałam sobie tego, co mnie spotkało!

Sam popatrzył na nią ze współczuciem. Po raz pierwszy Grace wydała mu się głęboko ludzka. Z pewnością nie

różniła się pod tym względem od niego i może gdyby spotkali się w innych okolicznościach, mogliby nawet zostać przyjaciółmi.

— Czy pani wie, Grace, kto panią zabił?

Pytanie zawisło na kilka sekund w nagrzanym powietrzu szpitalnego pokoju i nie doczekało się odpowiedzi, bo nagle drzwi się otworzyły i stanęła w nich Janice Freeman w towarzystwie jakiegoś pacjenta.

— Myślałam, że ten pokój jest pusty...

— Już skończyłem — odpowiedział Sam — ale chciałbym prosić o wolny dzień.

— Niech pan nawet o tym nie marzy — odparła Janice. — Poczekalnia pęka w szwach, a pan wziął już w tym tygodniu dzień wolny, nie dalej jak wczoraj...

— Pracuję tu od dwóch lat i jeszcze nigdy nie brałem wolnego dnia!

— I proszę nadal nie brać.

— Kiedy to bardzo ważne — nalegał.

— Już powiedziałam „nie”, Galloway. Moim obowiązkiem jest zapewnić sprawną pracę na tym oddziale.

Grace się niecierpliwiła. Zaprawiona w używaniu mocnych argumentów, stanęła między dwojgiem lekarzy i rzuciła szefowej oddziału groźne spojrzenie.

— Policja okręgu Nowy Jork. Prowadzimy śledztwo w bardzo delikatnej sprawie i w związku z tym potrzebujemy pomocy doktora Gallowaya.

*

Jodie wysiadła na peronie jednej ze stacji w południowym Bronksie. Drżały jej usta, czoło miała rozpalone. Czuła się tak słaba, że postanowiła od razu pójść do

Cyrusa, choć dobrze wiedziała, że nie powinna tego robić. Skoro nie ma pieniędzy, on na pewno zacznie znowu ją napastować. Tak to bywa, kiedy jest się na głodzie: traci się nad sobą władzę. Wewnętrzny diabeł szarpie żołądek i zadaje wiele innych tortur. To nie ma nic wspólnego z silną wolą czy rozsądkiem.

Jodie przeszła przez podwórze otoczone odrapanymi blokami, potem przez pusty teren ogrodzony drutem kolczastym. Od paru lat, dzięki środkom publicznym, tu i ówdzie odnowiono parę budynków, ale nie dotyczyło to dzielnicy Hyde Pierce. Do dobrego tonu należało podkreślanie w mediach ducha kreatywności, jaki tu zapanował, oraz inicjatyw podejmowanych przez jej mieszkańców dla zwiększenia bezpieczeństwa. Mimo to południowa część Bronksu nadal zaliczała się do najuboższych miejsc w kraju. Ludzie najczęściej nie mieszkali tu na własne życzenie.

Gdybyście kiedyś mieli ochotę na mały spacer, lepiej wybierzcie inne miejsce.

Jakby wiedziona złymi siłami, Jodie dotarła pod blok, w którym mieszkał Cyrus. Fasadę budynku ozdobił ogromny malunek przedstawiający więźnia patrzącego zza krat na odlatującego gołębia. Pod spodem widniał ostrzegawczy napis: „Piekło zaczyna się wtedy, gdy stracisz wszelką nadzieję”.

Piękny slogan, który jeszcze nikogp nie powstrzymał od brania narkotyków.

— Jeszcze masz czas na zmianę decyzji, dobrze o tym wiesz... — szeptał wewnętrzny głos.

Był to obrzydliwy szept, wstrętne drwina delectująca się jej cierpieniem, nad którą w żaden sposób nie mogła zapanować. Ale tak to już było: poczucie winy stanowiło nieodłączną część tortur.

— Boisz się, prawda? — mówił głos. — Wiem, że się boisz.

Jodie starała się go zagłuszyć. Wchodziła po schodach jak automat, starając się nie myśleć. W każdym razie nie miała już siły walczyć. Było jej zimno, tak bardzo zimno, że chciałaby otulić się kołdrą i zasnąć na zawsze.

Głos nie dawał jednak za wygraną.

— Czy nie widzisz, że jesteś niewolnicą? Okropną niewolnicą, ćpunką.

Dotarła do drzwi mieszkania Cyrusa, zza których dochodziła ogłuszająca muzyka, aż trzęsły się ściany.

— Myślisz, że już dużo wycierpiałaś, prawda? Ale kiedy otworzysz te drzwi, zrobisz kolejny krok w ciemność.

Jodie zatrzymała się na chwilę, jakby chciała przekonać samą siebie, że jeszcze panuje nad własnym losem.

— No dalej, wchodź! — zachęcał głos. — Uprzedzam jednak, że będzie jeszcze gorzej, niż sobie wyobrażasz, wierz mi.

Najchętniej nacisnęłaby jakiś guzik i wyłączyła swoje cierpienia. Czowała, jak uginają się pod nią nogi, ale w ostatnim przypiływie sił zaczęła walić w drzwi.

— Cyrus, to ja!

Rozległ się trzask odsuwanej zasuwki, potem drzwi się otworzyły i Jodie została wessana do wnętrza, jakby wpadała w przepaść.

*

Sam i Grace szli obok siebie w górę alei biegnącej wzdłuż budynku szpitala. Nie odrywając komórki od ucha, Sam dyskutował z Rutellim. Chciał się dowiedzieć, czy policjant miał może ostatnio jakieś wieści o Jodie.

— A dlaczego pan pyta? — Rutelli był nieufny.

— Dlatego że Jodie może być w niebezpieczeństwie.

— Ta mała jest w niebezpieczeństwie od dziesięciu lat. Od kiedy straciła matkę.

Cień smutku zagościł w oczach Grace, która przysłuchiwała się rozmowie dzięki dodatkowej słuchawce.

— Czy wie pan, gdzie ona mieszka? — spytał Sam.

— Pół roku temu uciekła ze schroniska dla młodocianych przestępców—odparł policjant.—Odtąd nie sposób ustalić, gdzie przebywa. Ostatnio widziano ją podobno w okolicach południowego Bronksu, ale nie znam dokładnego adresu, a trudno jest wysłać tam patrol tak na wszelki wypadek.

— Proszę posłuchać: dziś rano Jodie o mały włos nie została złapana przez dwóch gliniarzy.

— Gdzie to było?

— W okolicy East Village. Uciekła im, ale jeden z nich zdążył założyć jej bransoletki.

— O cholera! Skąd pan to wie?

— Nieważne, Rutelli.

— Widział się pan z nią znowu, prawda?

— Z kim?

— Z kobietą, która podaje się za Grace. Widział się pan z nią?

Sam spojrział pytająco na Grace, która pokręciła głową i dała mu znak, żeby przerwał rozmowę.

— Muszę kończyć. Niech pan zadzwoni do mnie, kiedy się pan czegoś dowie.

*

Taksówka utknęła w korku. Zniecierpliwiona Juliette poprosiła kierowcę, żeby wysadził ją przy Murray Hill.

Pieszko będzie szybciej, a lodowate powietrze może rozjaśnić jej w głowie.

Pod wrażeniem wiadomości o ciąży nie mogła opanować podniecenia. O ile serce podpowiadało jej, by żyć pełnią szczęścia, o tyle rozum doradzał, żeby nie wpadała w euforię.

Znów przemyślała wszystko, co przeżyła w ciągu ostatnich dni. Zdarzały się okresy, w których jej życie nabierało przyspieszenia. To dziecko zostało poczęte tydzień temu w zimowy wieczór, gdy za oknami szalała zamieć, z mężczyzną, którego знаła zaledwie od paru godzin.

Spróbowała uporządkować myśli. Czy ten moment jest odpowiedni na podjęcie decyzji o urodzeniu dziecka? Kiedyś przyrzekła sobie, że zdecyduje się na macierzyństwo, kiedy będzie miała stałą pracę, własne mieszkanie i będzie w stabilnym związku. Równie dobrze mogłaby poczekać na koniec nędzy w Afryce lub na przyjście nowego Mesjasza.

Tymczasem była spłukana, jej życie nie mogło służyć za model stabilizacji, na świecie panował chaos, a planeta ledwo dyszała od zanieczyszczeń. Ale jaki sens ma życie bez dzieci?

Dwa pytania zaprzętały teraz jej myśli. Czy powiedzieć Samowi o ciąży? A jeśli powie, jak on zareaguje na tę wiadomość?

Jakiś samochód torujący sobie drogę głośnym trąbieniem otarł się o nią i kierowca posłał jej wiankę. Żeby nic skończyć pod innym, pogrzebała w torebce i wyjęła okulary. Właśnie zdążyła je założyć, kiedy po drugiej stronie ulicy zobaczyła Sama.

Jej serce zabiło mocniej i już miała go zawołać, gdy zorientowała się, że jest w towarzystwie kobiety. Najpierw

nie widziała jej dokładnie, bo południowe słońce świeciło prosto w oczy. Zwolniła, żeby lepiej przyjrzeć się Grace. Była wysoka, ciemnowłosa i kroczyła pewnie w botkach na wysokich obcasach. Dżinsy obciskały smukłe nogi, a dopasowana skórzana kurtka nadawała jej wygląd zarazem uwodzicielski i luzacki.

Nie chcąc, by ją zauważyli, Juliette zrezygnowała z zamiaru przejścia na drugą stronę i schowała się za załomem sklepienia z obwarzankami.

Kim jest ta kobieta? Koleżanką z pracy? Przyjaciółką? Kochanką?

Radość opuściła ją w jednej sekundzie, ustępując miejsca przyływowi melancholii.

Pomimo usilnych starań nie mogła oderwać oczu od tej, którą już uznała za rywalkę. Sam i ona wydawali się być w jakiejś dziwnej zmowie. Prowadzili ożywioną rozmowę. W pewnej chwili kobieta położyła dłoń na ramieniu Sama i gestem zaprosiła go do kawiarni, obok której przechodzili. Juliette mogła obserwować ich przez szybę, bo wybrali stolik przy oknie.

W zadziwiający sposób ta kobieta przyciągała światło, promieniała i miała w sobie coś nieuchwytnego i nieprzystępnego. Coś, co trochę przypominało Catherine Zeta-Jones, lecz jednocześnie „dziewczynę z sąsiedztwa”, która wzbudzała zaufanie. W każdym razie była to prawdziwa mieszkanka Nowego Jorku i Juliette nie miała co do tego wątpliwości. Pomyślała sobie, że nieznajoma musi mieć charyzmę i silny charakter. Był to typ kobiety zdolnej wziąć los w swoje ręce. Juliette przez moment zastanowiła się nad przyczyną swojej złości i frustracji. Z całą pewnością czuła złość dlatego, że ta kobieta była „lepsza od niej”: wyższa,

ładniejsza, pewna siebie. Kiedy zobaczyła ją w towarzystwie Sama, zaczęła wątpić, czy potrafi wyrzucić wrażenie na mężczyźnie.

Czyżby była zazdrosna? Chyba nie, ale doznawała prawdziwych tortur. Tak bardzo chciałaby ufać Samowi, choć dobrze wiedziała, że brakuje jej zaufania do samej siebie.

Żeby jakoś się pocieszyć, pomyślała o wiadomości nagranej przez Sama na magnetofonie, o jego liściku zostawionym tego ranka na poduszce, o ostatnich pełnych namiętności godzinach, jakie ze sobą spędzili.

Mimo to cierpiała.

*

Siedząc przy kawiarnianym stoliku, Sam i Grace zastanawiali się, jak odnaleźć Jodie.

— Jeśli pani córka bierze narkotyki, z pewnością trafiła już kiedyś do szpitala lub jakiegoś ośrodka zdrowia.

— Tak pan sądzi?

— Podczas ostrych dyżurów szpitale często przyjmują narkomanów zgłaszających się z powodu przedawkowania lub w poszukiwaniu antidotum. Mógłbym przejrzeć rejestry przyjęć, żeby spróbować trafić na jakiś ślad Jodie.

— A ma pan do tego prawo?

— Teoretycznie nie. Mogę jednak wykonać parę telefonów. Znam lekarzy pracujących w większości szpitali. Poznałem ich podczas misji humanitarnych w Afryce i na Hułkanach. Jeśli zadzwonię, nie odmówią mi pomocy.

— Bardzo dobrze, ale musimy działać rozważnie. Mark powiedział, że widziano Jodie w południowym Bronksie.

— Dobrze. W takim razie zadzwonię na centralę i poproszę o podanie numerów telefonów szpitali w tamtym rejonie.

*

— Nic nowego? Żadnych śladów Jodie Costello? Jesteś pewien? Trudno, ale dzięki ci, Alex. Sam się rozłączył. Przeprowadził właśnie piątą rozmowę telefoniczną, po której wiele się spodziewał, gdyż Alex Stiple, lekarz poznany w Nigerii w czasie ostatniej akcji szczepień przeciwko polio, był szefem internistów na oddziale nagłych wypadków w Mount Crown, największym szpitalu w Bronksie, i Sam szczerze wierzył, że dzwoniąc do niego, trafi na jakiś trop.

Kiedy zobaczył rozczarowanie na twarzy Grace, próbował ją jakoś pocieszyć.

— Musi nam się udać — zapewniał. — Odnajdziemy

Ją.

Żeby potwierdzić swoje zaangażowanie, zamierzał wybrać kolejny numer, kiedy zadzwoniła jego komórka.

— Galloway.

— Sam? Tu Juliette...

— Chciałem do ciebie zadzwonić, ale nie znałem numeru. No i co? Jak badania?

— Raczej nieźle.

— Gdzie teraz jesteś?

— Na Park Avenue. Moglibyśmy się zobaczyć? Może zjedlibyśmy razem lunch...

— Posłuchaj, o niczym innym nie marzę, ale nie jest to możliwe. Mamy mnóstwo pracy w związku z epidemią grypy. Ludzie dowiadują się o ptasiej grypie z telewizji

i wpadają w panikę. Musimy temu przeciwdziałać. Jestem uziemiony na ostrym dyżurze do czternastej, a potem zaczynam konsultacje.

— A gdzie teraz jesteś?

Sam się zawahał. Nawet jeśli nie miał zamiaru kłamać, przecież nie mógł jej powiedzieć o Grace Costello. Opowie jej o wszystkim... później, kiedy będzie miał pewność, że niebezpieczeństwo minęło.

— Gdzie jestem? Oczywiście w pracy.

— W szpitalu?

— Tak, w szpitalu — odpowiedział z poczuciem winy. Grace posłała mu dziwne spojrzenie, jakby chciała go przed czymś ostrzec.

— A co robiłeś, kiedy zadzwoniłam?

— Przyjmowałem pacjentkę — odparł. — Półroczną dziewczynkę.

— Na co jest chora?

— Ma bronchit. To taka odmiana zapalenia oskrzeli, na którą chorują niemowlęta i która...

— Wiem, co to jest bronchit. A jak twoja pacjentka ma na imię?

— Mhm... Maja. Masz jakiś dziwny głos, Juliette. Jesteś pewna, że wszystko w porządku?

— Nie. Wprost przeciwnie.

— Dlaczego?

— Bo mnie okłamujesz.

— Ależ skąd! — bronił się Sam.

— OKŁAMUJESZ MNIE! — krzyknęła, uderzając jednocześnie dwa razy w szybę kawiarni.

Wszyscy klienci podskoczyli i w tym samym momencie co Sam popatrzyli w stronę okna. Stała za nim Juliette. Sam gapił się na nią osłupiały.

Wyszeptała coś pod jego adresem, a on odczytał z ruchu jej warg:

— *I don't trust you anymore*².

Sam wstał i wypadł z kawiarni. Mimo iż Juliette przed nim uciekała, próbował ją dogonić.

— Zaczekaj! Proszę!

Jednak dziewczyna była już daleko i machała właśnie ręką, próbując zatrzymać taksówkę.

— Juliette! Posłuchaj mnie! Pozwól mi wyjaśnić!

W tym momencie taksówka zatrzymała się i Juliette wsiadła do niej, nawet nie patrząc w stronę Sama. Biegł jakiś czas obok, pukając bezskutecznie w szybę, ale szybko jadący samochód już zdążył wmieszać się w sznur innych pojazdów.

— Cholera jasna! — krzyknął zrozpaczony Sam. Wróciwszy do kawiarni, zobaczył, jak Grace rozkłada ręce na znak bezsilności.

— Tak mi przykro, Galloway.

— Niech pani da spokój!

Chciał dodać coś jeszcze, ale w tej chwili zadzwoniła jego komórka. Odebrał, przekonany, że to Juliette.

— Posłuchaj mnie, kochanie, mogę ci wszystko wytłumaczyć! W każdym razie to nie jest tak, jak myślisz...

— Chciałbym ci wierzyć — odpowiedział głos Aleksa Stiple'a — ale nie jestem pewien, że to mnie chcesz o czymś przekonać.

— Alex? Przepraszam, stary, ale myślałem, że to ktoś inny.

— Ach, te kobiety! — westchnął Stiple. — Kiedyś w końcu nas złapią, co?

² Już ci nie ufam.

— Pewnie tak — przyznał Sam, rzucając Grace złowrogie spojrzenie. — Nie mogłeś ująć tego lepiej...

— W każdym razie, jeśli nadal cię to interesuje, odnaleźliśmy Jodie Costello.

— Naprawdę?! — krzyknął Sam i uniósł kciuk.

— Zajęło nam to trochę czasu, bo to nie ona się do nas zgłosiła, ale trzy miesiące temu przyszła tu ze swoją kumpelką, która udała się w niewłaściwą podróż. Mam adres, jeśli chcesz.

— Dawaj! — Sam wyjął długopis z kieszeni marynarki. Jak uczeń zanotował na dłoni adres dyktowany mu przez przyjaciela.

Podziękował i się rozłączył. Po tym telefonie odzyskał trochę zapału.

— Jedźmy tam — zaproponował Grace. — Niedaleko stąd mam samochód, ale jest duży ruch, więc musimy się pośpieszyć.

Zdecydowanym krokiem szedł przez szpitalny parking. Wyprzedził Grace o dobre kilka metrów, kiedy ta nagle zawołała:

— Uściślijmy coś, Galloway!

— Co takiego?

— Niech mi pan wierzy, że doceniam pańską pomoc zapewniła, zbliżywszy się do niego — ale nie może pan liczyć na coś w zamian.

— O czym pani mówi? — spytał, marszcząc brwi.

— Jestem tu po to, by zabrać ze sobą Juliette, i nic nie może mi w tym przeszkodzić. Czyżby pan zapomniał?

Nie odpowiadał przez parę chwil, jakby w dalszym ciągu nic wierzył w tę historię. Grace przyglądała mu się uważnie, jakby zahipnotyzowała jąbijąca od niego energia. Było coś wzruszającego w uporze tego faceta w dążeniu do celu.

— Niech się pani pospieszy. Znajdziemy pani córkę — powiedział, wskazując na zegarek, by dać jej do zrozumienia, że teraz liczy się tylko czas.

*

Twarz Cyrusa wykrzywił sadystyczny uśmiech. Jodie stała przed nim i błagała, żeby coś jej dał, wszystko jedno co: mogły być prochy, crack, hera... Nie miała pieniędzy, ale gotowa była zapłacić inaczej.

Dealer triumfował. Zawsze wiedział, że Jodie będzie pewnego dnia zdana na jego łaskę. Tak to już jest z narkotykami. Z początku dziewczyny przychodzą z dumną miną, ale kiedy wkrótce wpadają w to bagno bez reszty, wracają, czołgając się, i wtedy — gotowe na wszystko — zostawiają swoją dumę za progiem.

Na dodatek mała Jodie jest całkiem niczego sobie. Może trochę za chuda przez te wszystkie świństwa, które łyka, ale w sumie całkiem, całkiem...

Rzadko mu się zdarzało być tak podnieconym. Nie odczuwał ani litości, ani współczucia dla tej zagubionej dziewczyny. Cyrus żył w świecie, w którym wszystko opierało się na przemocy. Zanim jednak zajmie się sprawami poważnymi, postanowił trochę się zabawić. Kazał jej usiąść na kanapie i zdjąć parkę. Ponieważ się ociągała, zwałił się na nią i rozerwał jej sweter, szarpiąc za dekollet w kształcie litery V.

— No, pokaż mi swój kolczyk!

Jego agresywne zachowanie wyrwało Jodie z odrętwienia. Krzyknęła i starała się uwolnić, ale Cyrus nie puszczał i żelazną łapą ścisnął ją za gardło.

— Nie tak szybko, Babe-o-rama.

Jodie brakowało tchu. Próbowwała się wyrwać, na próżno. Dusił ją jedną ręką, ściskając jej krtań między kciukiem i palcem wskazującym. W uszach szumiała jej krew. Cyrus ścisnął jeszcze mocniej i wtedy Jodie poczuła, że mdleje. Wykorzystał to, żeby powalić ją twarzą do podłogi, po czym usiadł okrakiem na jej plecach. Poczłł nowy przyplływ podniecenia, ale Jodie zaczęła nagle walczyć, z energią, jakiej się po niej nie spodziewał.

— Masz leżeć spokojnie!

Żeby ją unieruchomić, przycisnął kolanem kręgosłup, co nie było takie trudne, ponieważ ważył co najmniej dwa razy tyle co ona. Następnie wykręcił do tyłu jej rękę. ('oś trzasnęło i Jodie krzyknęła z bólu.

— Zanikniesz się czy nie?! — wrzasnął, wymierzając cios, którym mógłby powalić boksera.

Jodie uderzyła głową o podłogę i wydawało się, że straciła przytomność. Zesztywniała i zastygła bez ruchu, jakby za chwilę miała dostać ataku epilepsji. Cyrus zdjął /. szyi bandanę i wepchnął jej w usta. Mógłby teraz kontynuować swoje dzieło, ale zrezygnował, bo miał inne plany.

Kiedy Jodie odzyskała przytomność, była zakneblowana i związana. Cyrus schodził po schodach, niosąc ją na plecach jak worek cementu. Znalazłszy się na podwórzu, otworzył bagażnik najnowszego modelu lexusa, bez ceregieli wrzucił do niego Jodie i usiadł za kierownicą.

Prowadząc samochód, wyjął z kieszeni chromowaną komórkę i wystukał numer, żeby oznajmić swoje przybycie.

— Masz to, o co cię prosiłem? — spytał głos po drugiej stronie.

- Tak, proszę pana — odpowiedział krótko Cyrus i się rozłączył.

Potrząsnął dłonią z grymasem bólu. Ta cholerna mała dziwka podrapała go do krwi. Powinien był trzasnąć ją porządnie w gębę i zaraz potem zrobić swoje, tak jak na to zasługiwała. Jeśli tego nie zrobił, to nie przez współczucie dla Jodie, ale wyłącznie dlatego, że przewidział dla niej inne przyjemności.

W każdym razie niewiele wróciło dotąd z miejsca, do którego ją wiózł.

Zło wyrządzone przez ludzi żyje nadal po ich śmierci. Dobro jest często chowane razem z ich prochami.

Szekspir

Siedząc za kierownicą bolida, Cyrus przejechał na pełnym gazie między blokami Hyde Pierce. Spieszno mu było zakończyć całą tę sprawę. Gdyby tylko mógł wybierać, wolałby być teraz gdzie indziej, ale kiedy Sęp prosi o „przysługę”, lepiej nie zwlekać. Zwłaszcza kiedy choć trochę zależy ci na tym, żeby jeszcze pożyć na tej ziemi.

W rzeczywistości Sęp nazywał się Clarence Sterling.

Dzierżył w swoich łapach sporą część handlu narkotykami w południowym Bronksie i prawie cały koks rozprowadzany przez Cyrusa pochodził z jego zapasów. Z początku Sterling był tylko jednym z likwidatorów, świadczącym usługi tym, którzy dawali więcej. Potem wykorzystał zabójcze porachunki pomiędzy rywalizującymi bandami, żeby samemu zająć się poważnymi interesami. Z czasem okrucieństwo i bezlitosny sposób eliminowaniu wrogów zyskały mu przydomek Sęp, chociaż nikt nie odważyłby się nazwać go tak w jego obecności. Z całą

pewnością przemoc stanowiła integralną część tego rodzaju interesów, ale Sterling dorzucał do tego nadprogramową dawkę okrucieństwa.

Prawdę mówiąc, uwielbiał zadawać ból. Sporą część swojej złej sławy zawdzięczał temu, że pewnego razu ukrzyżował na stole bilardowym jednego z dealerów, który próbował go oszukać: dwa dłuta wbił w jego nadgarstki, a dwoma pozostałymi przygwoździł do stołu kostki nóg. I nie był to jedyny jego wyczyn. Przy innych okazjach — jak mówią świadkowie — dopuszczał się wymyślnych tortur i okaleczeń, podczas gdy wystarczyłaby „zwykła” kulka w łeb.

Ostatnimi czasy stał się jeszcze bardziej brutalny. Tu i ówdzie słyszało się pogłoski, że Sep jest chory, że ma coś nie tak z głową (jeśli kiedykolwiek można było mówić o jakiegokolwiek spójności w jego umyśle).

Przed paroma dniami, kiedy Cyrus odbierał przydział pochodzący z nowej dostawy heroiny, Sterling wyjawiał mu, że potrzebuje dziewczyny do „czegoś bardzo specjalnego”. Cyrus nawet nie próbował dowiedzieć się, o co dokładnie chodzi, i powstrzymał się od pytań. Ale kiedy Sterling powtórzył życzenie, Cyrus od razu pomyślał o Jodie.

Cofnął się, żeby wjechać w małą uliczkę wychodzącą na rząd niedawno odnowionych magazynów. To tutaj mieściła się główna kwatery Sępa. Dealer zatrzymał się przed garażem, dał krótki sygnał klaksonem, potem kiwnął ręką przed kamerą umieszczoną nad wejściem.

Żeby już było po wszystkim, pomyślał, słysząc, jak Jodie szamocze się w bagażniku. Po paru sekundach automatyczna brama podniosła się i lexus wjechał na betonową rampę prowadzącą na niższy poziom.

Cyrus wykonał rozkazy. Otworzył bagażnik, złapał dziewczynę za włosy i pociągnął za sobą.

— Cyrus, proszę cię. Nie...

— Zamknij mordę!

Jodie próbowała walczyć, ale miała złamany obojczyk i każdy gwałtowny ruch powodował, że ból wracał.

Przeszli przez nieduży, źle oświetlony parking, następnie dealer wprowadził ją do długiego wąskiego pomieszczenia i zmusił do zajęcia miejsca w pochyłym fotelu, podobnym do tego, jaki widuje się w gabinetach dentystycznych. Przywiązał jej nadgarstki do oparcia, po czym zakleił usta taśmą klejącą.

Kiedy skończył to, co do niego należało, pospiesznie opuścił pomieszczenie, nie czekając na nagrodę.

Gdy gasił światło, ostatni raz rzucił okiem na dziewczynę, przekonany, że już nigdy więcej jej nie zobaczy.

*

Mark Rutelli zatrzymał samochód przed głównym wejściem do biurowca NYPD.

— Nie może się pan tu zatrzymywać! — ostrzegł go młody policjant w mundurze.

— Wiesz co, synku, nie tylko postawię tu samochód, ale na dodatek ty mi go przypilnujesz.

Już wchodził po kilku stopniach, kiedy ponownie usłyszał ostrzegawczy głos policjanta:

— Ostrzegam, że zaraz zabiorą stąd pański wóz. Rutelli zawrócił i stanął przed młodym człowiekiem.

Ten przewyższał go o głowę, miał ładną twarz i atletyczną

budowę, bardziej przypominał chippendale'a, niż odpowiadał wyglądowni, jaki, zdaniem Rutellego, powinien mieć „prawdziwy gliniarz”.

— Niczego takiego nie zrobisz, synku.

— Czy to groźba, oficerze?

— Owszem — odparł Rutelli, łapiąc go za szyję i mocno ściskając. — Kiedy wychodząc stąd, zobaczę, że ten samochód przesunął się chociaż o kilka milimetrów, to rozkwaszę ci tę twoją śliczną mordkę na masce i zbiorę z niej twoją krew, żeby wymalować nią cały ten budynek na czerwono.

Czy wyraziłem się jasno?

— Chrrr... myślę... sądzę, że tak.

— Jak to, sądzisz? — spytał Mark, zacieśniając ucisk.

— To jest... to bardzo... jasne — z trudem wykrztusił młody rekrut na oczach osłupiałych przechodniów.

— No, widzę, że się zrozumieliśmy.

Nie oglądając się, wszedł do budynku administracji. Nie miał na sobie munduru, ale wieloletnie doświadczenie pozwoliło mu uniknąć opowiadania się w recepcji. Zrezygnował z windy i szybko wbiegł po schodach. Wreszcie dotarł na piętro, na którym miał swoje biuro Jay Delgadillo — dyrektor patroli NYPD.

Rutelli dobrze go znał, kiedyś obaj byli młodymi i dobrymi detektywami. Potem ich drogi się rozeszły. Podczas gdy Rutelli zatonął w samotniczym życiu i popadł w uzależnienie, Delgadillo wspinał się szybko po szczeblach policyjnej hierarchii. Napędzany ambicją polityczną, nie ukrywał, że zamierza zostać pierwszym burmistrzem Nowego Jorku pochodzenia hiszpańskiego.

Rutelli przedarł się przez wszystkie bariery i dotarł pod drzwi biura dawnego przyjaciela.

JAY DELGADILLO SZEF PATROLI

Mimo protestów sekretarki: „Nie, proszę pana, nie może pan...”, wszedł do gabinetu, nie czekając, aż zostanie zaanonsowany.

Delgadillo dyskutował właśnie z dwoma osobami. Nie był zadowolony z nagłego wtargnięcia Rutellego i żywo na nie zareagował.

— Mark, nie możesz w ten sposób zwać się do mojego biura. Proszę cię, żebyś wyszedł!

— Daj mi trzy minuty, Jay, to bardzo ważne.

W innym wypadku Delgadillo nie zawahałby się ani minuty i natychmiast wezwał ochronę, jednak w obawie przed nieprzewidywalną reakcją Rutellego wolał nie ryzykować.

— Panowie wybaczą, ale muszę panów na chwilę przeprosić — powiedział do swoich rozmówców.

— Czego ty znowu chcesz, Mark? — zapytał, gdy zostali sami.

W kilku słowach Rutelli opowiedział mu o wszystkim. Wyjaśnił, że szuka Jodie Costello, i poprosił, żeby poinformowano go w pierwszej kolejności, gdyby ktoś zameldował o dziewczynie z kajdankami na rękach.

— Nie ma mowy! — odparł zdecydowanie Delgadillo. — Jesteś tylko zwyczajnym policjantem patrolowym, Mark. Poza tym z uwagi na twoje kretyńskie wybryki z ubiegłego roku nie masz prawa żądać czegokolwiek. — Zamilkł na parę sekund, po czym dodał: — Jeśli chcesz znać moje zdanie, powinieneś się cieszyć, że jeszcze masz pracę.

Rutelli westchnął. Przez moment miał ochotę rzucić się

na Delgadilla i walnąć go pięścią w twarz. Powstrzymał się tylko dlatego, że pomyślał o Jodie.

— To koniec naszej rozmowy — oznajmił Delgadillo, pokazując mu drzwi.

Zamiast skierować się do wyjścia, Rutelli podszedł do biurka swojego zwierzchnika.

— Posłuchaj mnie, Jay, w życiu liczy się nie tylko polityka. Ty także znałeś Grace i jeśli dobrze pamiętam, my dwaj byliśmy kiedyś przyjaciółmi...

— To prawda — przyznał Delgadillo — przyjaźniliśmy się, tylko że to było dawno, zanim ty stałeś się szmatą.

— Przestań, Jay!

— Powiem ci coś, Mark, jesteś słaby, a ja nie mogę znieść takich typów jak ty. Przynosicie wstyd policji i kiedy wreszcie przyjdzie czas na gruntowne porządki w tej budzie, ty pierwszy zostaniesz wywalony.

Rutelli z trudem się opanował. Podejrzewał, że Delgadillo chce go złamać, ale nie ruszył do ataku, tylko podszedł do okna wychodzącego na ulicę.

— Czy widzisz ten różowy budynek naprzeciwko?

— Oczywiście.

— Z tyłu jest małe podwórko z wyasfaltowanym kawałkiem, na którym dzieciaki mogą grać w kosza.

— I co w związku z tym? — spytał zniecierpliwiony Delgadillo.

— A to — odparł Rutelli, patrząc mu w oczy — że jeśli odłożymy broń i nasze odznaki, żeby pójść na to podwórko i rozmówić się po męsku w cztery oczy, wiesz dobrze, który z nas będzie silny, a który słaby.

— Mamy się bić na podwórku? Pogadać po męsku? — drwił Delgadillo. — Obudź się, Mark!

Myślisz, że gdzie

jesteś? W jakimś filmie? To już nie te czasy. Twój czas już minął. Rutelli pokręcił głową.

— Tobie się zdaje, że to koniec, bo już nie chodzisz w teren, bo nosisz garnitur od Armaniego i wyobrażasz sobie, że jesteś kimś ważnym.

— Jesteś żałosny.

— Wzbudzam twoją litość? Świetnie. Pozwól więc, że ci o czymś przypomnę: pamiętasz to włamanie do jubilera na Broadwayu, gdzie wezwano nas obu?

— Wiem, do czego zmierzasz...

— Chyba nie zapomniałeś, co czułeś, kiedy jeden z dwóch bandziorów przystawił ci lufę do karku? Myślę, że doskonale to pamiętasz. Jestem nawet pewny, że ci się to śni. Tamtego dnia byłeś raczej zadowolony, że stałem obok...

— W porządku — przyznał Delgadillo. — Piętnaście lut temu uratowałeś mi życie, zabijając tego złodzieja, ale wykonałeś po prostu swoją robotę, nic poza tym. A jeśli chcesz wiedzieć, bez mojej interwencji już dawno wyleciałbyś z policji. Myślę więc, że spłaciłem swój dług, Mark...

— Została ci j jeszcze j edna rata—nie dawał za wygraną Rutelli.—Naprawdę ostatnia, masz moje słowo. Jeśli tym razem mi pomożesz, nigdy więcej o nic cię nie poproszę.

Delgadillo westchnął, założył ręce za głowę i kiwał się lekko w fotelu. Zastanawiał się przez dobrych dziesięć sekund, po czym oznajmił:

— Dobrze, wydam stosowne polecenia. — Podniósł słuchawkę telefonu. — Jeśli jakiś patrol trafi na ślad Jodie Costello, pierwszy się o tym dowiesz i będziesz miał czas na podjęcie działań.

— Dzięki, Jay.

— W zamian muszę postawić ci jeden warunek: w poniedziałek rano chcę mieć na biurku twoją dymisję. Wybór należy do ciebie.

Rutelli nie spodziewał się tego ciosu. Dymisja? Co będzie robił, jeśli zostanie bez pracy? On, który stracił już prawie wszystko? Przyjął to jednak bez mrugnięcia.

— Dobrze, będziesz ją miał.

— Twoją dymisję, broń i odznakę — sprecyzował Delgadillo.

*

Sam wyjechał ze wschodniego Harlemu i skierował się na most Triborough, żeby dojechać do Bronksu. Grace przestrzegła go:

— Jeśli odnajdziemy Jodie, nie można ani słowem wspomnieć jej o mnie, pod żadnym pretekstem, rozumie pan?

— To nie będzie łatwe...

— Wiem, ale niech pan coś wymyśli, żeby ją zbadać i namówić na kurację odwykową.

Sam pokręcił głową.

— A jak mam jej wytłumaczyć moją interwencję? Jodie jest zbuntowaną nastolatką, która nie wyrazi zgody na to, żeby jakiś nieznajomy mężczyzna wkraczał w jej życie i na dodatek prawił morały.

— Panu się to uda. Ma pan w sobie coś, co wzbudza zaufanie, i dobrze pan o tym wie.

Słońce zasłoniły chmury i na przednią szybę zaczęły opadać pojedyncze płatki śniegu. Grace nacisnęła guzik na podłokietniku, żeby włączyć ogrzewanie fotela. Wnę-

rze samochodu Sama, wyłożone drewnem, skórą i wyposażone w wymyślne urządzenia, przypominało luksusowy jacht. Chyba po raz dwudziesty czytała adres, pod którym podobno mieszkała jej córka.

— Niech pan posłucha, Galloway, ten adres jest w Hyde Pierce. To bardzo niebezpieczne miejsce, więc lepiej będzie, jeśli weźmie to pan ze sobą.

Sam przestał na moment patrzeć na drogę i zobaczył, że Grace podaje mu swojego glocka.

— Zdawało mi się, że skonfiskowałem pani broń — zdziwił się.

— Dobry gliniarz ma zawsze drugą w zapasie. Niech pan to weźmie.

Odmówił.

— Nie cierpię broni.

— Niech pan nie przesadza. Pistolet użyty we właściwym momencie może uratować życie.

— Nie przekona mnie pani. Kiedy ostatnim razem wziąłem do ręki spluwę, skończyło się to bardzo źle.

— To znaczy?

— Zabiłem człowieka.

Grace wydawała się zaskoczona. Przez chwilę oboje milczeli, potem zrozumiała, że Sam mówi prawdę.

— Kiedy to się stało?

— Dziesięć lat temu w Bedford-Stuyvesant.

— Znam tę dzielnicę.

— Właśnie tam się wychowałem z Federicą. Była winna forszę jednemu dealerowi, niejakiemu Dustface'owi, który umawiał się z klientami w swojej melinie.

— I to pan poszedł na to spotkanie... — domyśliła się Grace.

— Zebrałem część kwoty i myślałem, że go to uspokoi,

ale pożyczyłem broń od jednego kumpla, tak na wszelki wypadek...

Grace uprzedziła dalszy ciąg opowiadania.

— Zabił pan tego dealera?

— Nie.

— Przecież powiedział pan, że...

— To nie jego zabiłem.

— Więc kogo?

Sam włączył kierunkowskaz i milczał. Nagle poczuł dreszcz emocji, jakby na nowo, niemal fizycznie, przeżywał tamtą scenę.

— Kiedy wszedłem do meliny, nikt się mnie nie spodziewał. Dustface rozmawiał z klientem.

Wkrótce ich rozmowa zamieniła się w kłótnię i dealer wyciągnął spluwę.

— I co pan wtedy zrobił?

— Wiedziałem, że zaraz zaczniesz strzelać, więc żeby go zastraszyć, ja też wyciągnąłem pistolet.

Napięcie wzrastało. Zamknąłem oczy i strzeliłem na oślep. Już nawet nie wiem, czy nacisnąłem na spust. Wiem tylko, że kiedy otworzyłem oczy, zobaczyłem, że to nie Dustface nie żyje, tylko inny facet, którego on użył jako żywej tarczy.

— Paskudna historia — przyznała Grace.

— Nie ma dnia, żebym o tym nie myślał. W pewnym sensie ten czyn zmarnował mi życie. Już nigdy nie odzyskam spokoju...

Opuścił szybę, by zaczerpnąć świeżego powietrza, po czym dodał:

— Oto powód, dla którego nie wezmę od pani broni.

— Rozumiem, Sam. Dobrze to rozumiem.

*

Pograżona w ciemnościach, które ją przerażały, Jodie trzęsa się ze strachu. Próbowła uwolnić się z więzów, ale Cyrus skrepował ją drutem, który teraz wrzynał się w ciało za każdym razem, kiedy robiła najmniejszy choćby ruch. Knebel utrudniał oddychanie i nie pozwalał krzyczeć. Zresztą nawet gdyby się darła na cały głos, kto by ją usłyszał?

Kiedy spróbowała nieco wyrównać oddech, usłyszała odgłos kroków. Jej ciałem wstrząsnął dreszcz. Kroki zbliżały się, jakby ktoś schodził po metalowych schodach. Ze wszystkich sił Jodie błagała, żeby te drzwi się nie otworzyły, ponieważ była pewna, że osoba, która przez nie wejdzie, może mieć wobec niej tylko złe zamiary.

Rygiel odsunął się ze zgrzytem i w pomieszczeniu pojawiło się słabe światło pochodzące ze szklanego zakurzonego klosza.

W otwartych drzwiach stał jakiś mężczyzna. Jego olbrzymia wychudła sylwetka odcinała się od światła. Jodie poczuła, że krew zastyga jej w żyłach. Mężczyzna podszedł bliżej. Pomimo chudości ciało miał muskularne i twarde, ogoloną głowę, pozbawioną pigmentu skórę i kolorowy tatuaż biegnący po długiej obnażonej szyi, której zapewne zawdzięczał swoje przezwisko.

Clarence Sterling — Sęp.

Podobnie jak większość mieszkańców tej dzielnicy, Jodie знаła go ze słyszenia, ale nigdy nie przypuszczała, że ich drogi kiedyś się skrzyżują. Czego Sęp może od niej chcieć? Jak zaszczute zwierzątko rozglądała się w poszukiwaniu ratunku, ale w pomieszczeniu znajdował się Jedyne stół i fotel, do którego została przywiązana.

Sterling trzymał w ręku metalową walizeczkę, którą postawił na stole. Zbliżył się do dziewczyny i spojrzał na

nią wzrokiem zombi. Jego mlecznobiała, miejscami zabarwiona na szaro skóra połyskiwała jak masa perłowa, co upodabniało go do nieziemskiej zjawy.

Jodie chciała krzyknąć, ale z jej gardła nie wydostał się żaden dźwięk. Wtedy, wbrew wszelkim oczekiwaniom, Sęp wyjął knebel z jej ust:

— No, dalej, krzycz sobie i płacz! Uwielbiam to...

Jodie zamknęła oczy i rozszlochała się na dobre.

Tymczasem Clarence otworzył walizeczkę, żeby przejrzeć jej zawartość: komplet strzykawek, fiołki i różnych rozmiarów skalpele.

Dokonanie wyboru zajęło mu minutę i kiedy odwrócił się w stronę Jodie, trzymał w ręku strzykawkę napełnioną żółtawym płynem.

Skuliła się, żeby uniknąć zastrzyku, lecz wszystko na nic. Bez większego trudu Sęp chwycił jej rękę w nadgarstku, po czym wbił igłę w nabrzmiąłą żyłę.

— Chciałaś dostać działkę? — spytał niesamowitym głosem. — No to ją dostaniesz...

Szybkim ruchem nacisnął na tłok strzykawki.

Niemal natychmiast Jodie poczuła, jak jej opór maleje, i zrozumiała, że nie należy już do siebie.

Straszliwy, piekący ból rozplątał się po całym ciele, docierając aż do serca. Odrzuciła w tył głowę i nagle sufit zawirował jej przed oczami z oszałamiającą prędkością.

A potem wpadła w czarną dziurę.

Wampiry mają szczęście, żywią się kosztem innych. My jesteśmy zmuszeni pożerać samych siebie.
wyjątek z filmu *Zły porucznik Abla Ferrary*

Jodie z trudem otworzyła oczy. Z początku jej wzrok rozróżniał tylko wirujący wokół ognisty kurz, gęsty i oślepiający. I jeszcze hałas: krzyki dzieci jakby dochodzące z placu zabaw. Żeby osłonić oczy przed światłem, podniosła rękę do twarzy i powoli rozsuwała palce. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyła, był łuk na placu Waszyngtona.

W jaki sposób znalazła się w tym miejscu i siedziała na samotnej ławce w samym środku Greenwich Village? Spojrzała na zegarek: od czasu jej spotkania z Sepem nie upłynęła nawet godzina.

Dziewczyna spróbowała wstać, ule natychmiast musiała z tego zamiaru zrezygnować. Jej tułów opasywało coś w rodzaju gorsetu, nie mówiąc już o bólu w kręgosłupie.

Podobnym niepowodzeniem zakończyła się próba odwrócenia głowy. Już pierwszy ruch został zastopowany paraliżującym bólem rozchodzącym się wzdłuż ramienia.

Stłumiła jednak jęk. Zaraz potem lodowaty dreszcz przebiegł całe ciało, bo usłyszała, jak jej kości trzeszczą niby odłamki szkła. Trzęsącą się ręką dotknęła tułowia: dlaczego wydało jej się, że ma wgniecionych kilka żeber?

Wolno rozsunęła zamek błyskawiczny kurtki. Klatkę piersiową i talię opasywało coś, co przypominało kamizelkę ratunkową. Po co nałożono jej to coś? Uplęnęło parę chwil, zanim zrozumiała, co się jej naprawdę przydarzyło. Informacja znajdowała się na kartce, którą wyjęła z kieszeni:

Jeden ruch, a wylecisz w powietrze. Jedno słowo, a wylecisz w powietrze. Pamiętaj: obserwuję cię. Ponownie rozpięła kurtkę i dokładnie obejrzała urządzenie, które miała na sobie: to nie była kamizelka ratunkowa, tylko pas naładowany materiałami wybuchowymi.

*

No, teraz chyba zrozumiała!

Siedząc przed monitorem, Sęp przeżywał chwile ekstazy. Dzięki systemowi kamer zamontowanych w całym parku mógł na żywo obserwować na ekranie komputera wszystko, co działo się na placu Waszyngtona. Podzielił ekran na cztery prostokąty: trzy z nich pokazywały różne części parku, a czwarty dawał zbliżenie na Jodie.

Ostrożnie przesunął palec na pomarańczowy przycisk detonatora połączonego z jego komórką. Przeszedł go dreszcz.

Bo wszystko miało wybuchnąć. Jodie miała na sobie ponad kilogram trotylu i mnóstwo metalowych części. Wybuch spowoduje masakrę i wywoła panikę. Miesiąc temu pewna kobieta kamikaze wysadziła się w moskiewskim metrze. To właśnie zainspirowało go do... W telewizji mówiono o dwudziestu zabitych i ponad sześćdziesięciu rannych. On spodziewał się znacznie wyższej liczby. Za dwadzieścia minut przed fontanną zacznie się cotygodniowe studenckie przedstawienie teatralne, które zawsze skupia tłumy ludzi. W sam raz na prawdziwą masakrę.

W swoim chorym umyśle wykoncypował, że zniszczenie czegoś jest najdoskonalszą formą posiadania. Mógł oczywiście nie czekać i wysadzić wszystko teraz, w jednej chwili. Wolał jednak zdobyć się na cierpliwość, żeby było więcej ofiar. Najbardziej lubił chwilę oczekiwania na eksplozję, kiedy szaleńcza apoteoza jawi się jako możliwość...

Kilkoma kliknięciami myszką skierował zoom na twarz Jodie i delectował się jej rozpaczą. Fascynowała go kruchość dziewczyny i wysiłki, jakie czyniła, by się nie poddawać. Podejrzewał jednak, że zbliża się do kresu wytrzymałości. Na razie wszystko idzie dobrze, ale musi być czujny. Ponownie położył palec na detonatorze.

Lepiej dłużej nie zwlekać.

*

W korytarzu budynku ktoś najwidoczniej postanowił /niszczyć dla zabawy wszystkie przyciski dzwonek. W tej sytuacji Sam był zmuszony walić w drzwi mieszkania. Najpierw usłyszał kroki, potem jakiś szelest i domyślił się, że ktoś obserwuje go przez judasza.

— Niech pan stąd idzie! — krzyknął głos za drzwiami. Sam przyjrzał się uważnie zamkowi, który już nieraz musiał być wyważany.

— Nie jestem złodziejem — oświadczył, starając się, by jego głos wzbudzał zaufanie — i nie jestem z policji.

Wreszcie zamek zazgrzytał i w szparze ukazała się nadąsana twarz Birdie, współlokatorki Jodie. Dziewczyna była raczej skąpo ubrana: w prowokujące krótkie majteczki i odsłaniający pępek T-shirt w cukierkoworóżowym kolorze.

— Pan w jakiej sprawie?

— Nazywam się Sam Galloway, jestem lekarzem i muszę zobaczyć się z Jodie.

— Nie ma jej — odpowiedziała Birdie, już żałując, że mu otworzyła.

— Bardzo proszę, to bardzo ważne — zapewniał Sam, jednocześnie wsuwając stopę w uchylone drzwi. — A czego pan od niej chce?

— Pomóc jej.

— Ona nie potrzebuje pańskiej pomocy.

— Ja sędzę, że tak.

— Czy Jodie ma jakieś kłopoty?

— Coś w tym rodzaju...

Sam starał się zajrzeć w oczy Birdie. Były smutne, szkliste, obrysowane rozmazanym czarnym ołówkiem.

— Proszę posłuchać: wiem, że była pani w szpitalu z powodu przedawkowania i że to Jodie tam panią zawiozła. Ona pani pomogła. Teraz kolej na panią. Proszę mi tylko dać adres, pod którym mogę ją zastać. Birdie zawahała się.

— Ostatnio często kręci się w pobliżu Cyrusa...

— Cyrusa?

— Tak, to nasz dostawca. Dam panu jego adres, ale proszę nie mówić, że to ode mnie...

— Obiecuję.

Birdie nabazgrała kilka słów na odwrocie kuponu promocyjnego. Sam podziękował i podał jej swoją wizytówkę z adresem szpitala.

— Jeśli pewnego dnia będzie miała pani zamiar odjechać, proszę mnie odwiedzić, pomogę pani.

Birdie nie chciała wziąć wizytówki.

— Wolałabym dwadzieścia dolców, co nie?

— O nie, bardzo mi przykro — odparł, zawiedziony reakcją dziewczyny.

Zawsze kiedy widział ludzką nędzę i rozpacz, obwinał się, że nie może pomóc. Chciałby uratować cały świat, chociaż wiedział, że to niemożliwe. W szpitalu śmiano się często z tej cechy jego osobowości, on jednak wiedział, że stanowi ona o jego sile i wewnętrznej równowadze. Był już na schodach, ale poczuł, że musi zawrócić.

— Niech pani poczeka!

Wyjął z portfela dwa banknoty i zawinął w nie wizytówkę w taki sposób, że kiedy Birdie weźmie pieniądze, będzie musiała przyjąć je razem z nią.

Wzięła to, co jej podał, i bez słowa trzasnęła drzwiami.

Znalazłszy się w pokoju, Birdie wróciła do swoich zajęć — oglądania videoklipów w telewizji — ale najpierw weszła do kuchni i wyrzuciła wizytówkę Sama do kubła. Dwa banknoty zatknęła za gumkę majtek. Będzie mogła kupić dwie lub trzy tabletki i wyruszyć w cudowną podróż...

Tymczasem Sam dołączył do Grace, która czekała na niego oparta o maskę samochodu, gotowa interweniować w razie niebezpieczeństwa.

— No i co? — spytała zaniepokojona.

— Jodie nie ma w domu, ale mam inny adres. Proszę wsiadać, opowiem po drodze...

Birdie wyciągnęła się na kanapie, z głową zwieszoną w dół i skrzyżowanymi ramionami, żeby lepiej chłonać muzykę. Nagle, w przebłysku przytomności, pobiegła do kuchni. Pogmerwała w kubie na śmieci, wyciągnęła wizytówkę Sama i przypięła ją pinezką do korkowej tablicy wiszącej obok lodówki.

Któregoś dnia, może...

*

Jodie, przerażona na myśl o najmniejszym choćby ruchu, słuchała odgłosów swojego serca odbijających się od materiałów wybuchowych. Kolana jej drżały, jej brzuchem zawładnęła pustka. Czowała się, jakby wpadała w otchłań bez dna.

Kilka godzin wcześniej życie wydawało jej się rozpaczliwie beznadziejne i kilkakrotnie myślała, że tylko śmierć mogłaby ją od niego uwolnić. Jednak teraz była pewna tylko jednego: nie chce umierać. Myśl, że wszystko się zaraz tak niespodziewanie skończy, w to zimowe popołudnie, napawała ją trwogą. Rozgorączkowana, odrzuciła w tył głowę, żeby zatopić wzrok w bezkresie nieba. Płatek śniegu osiadł na jej policzku i zamienił się w piekącą łzę.

Rozejrzała się. Ogarnięta paniką, wszystko widziała o wiele ostrzej i miała wrażenie, że jest każdą z osób obecnych w parku.

Plac Waszyngtona znajduje się w jednej z tych dzielnic, które zalicza się do najprzyjemniejszych na Manhattanie. Drapacze chmur ustąpiły tu miejsca niskim eleganckim budynkom z czerwonej cegły. W związku ze zbliżającym się Bożym Narodzeniem na drzewach i balkonach domów rozwieszono girlandy lampek, anioły i gwiazdy.

Pomimo padającego śniegu alejami przechadzał się kolorowy tłum. To miejsce upodobał sobie szczególnie studenci uniwersytetu, którego zabudowania usytuowane były wokół parku. Niektórzy z nich powtarzali dialogi z jakiejś sztuki teatralnej, inni grali we frisbee, żonglowali lub jeździli na rolkach.

Wielu muzyków pomimo chłodu grało na różnych instrumentach, umilając życie przechodniom. Muzykowanie w tym miejscu było znacznie przyjemniejsze niż granie w zamkniętej sali! Po zachodniej stronie parku rozsiadli się przy drewnianych stolikach szachiści, a paru pasjonatów z zainteresowaniem śledziło zażartą rozgrywkę między jakimś starym Żydem w kipie i początkującym Bobbym Fisherem.

Mamy poprawiały dzieciom szaliki, wciskały im na głowę wełniane czapeczki, po czym pozwalały biegać po alejkach w pogoni za wiewiórkami.

Był w tym wszystkim prawdziwy duch Nowego Jorku, miasta wielonarodowościowego i wielokulturowego, w którym przez parę minut można było uwierzyć w utopię braterskiego świata. Jodie przyglądała się temu ze wzruszeniem. Na ławce obok niej zakochana para dzieliła się gofrem i całowała. Popatrzyła na nich z zazdrością: ona miała za chwilę umrzeć, nigdy nie poznawszy takiej miłości.

Nagle, przy środkowej fontannie, grupa studentów oczekujących na początek przedstawienia zaczęła chórem śpiewać *Alleluja* Leonarda Cohena, parodiując Jeffa Buc-kleya. Oczarowani pięknem piosenki przechodnie zatrzymywali się, by jej posłuchać, i przez moment w parku zapanowały wdzięk i czystość.

Potem jakiś kaznodzieja z Biblią w ręku zatrzymał gapiów, żeby ogłosić im nieuniknione nadejście katastrofy.

Nikt jednak nie zwracał na niego uwagi...

*

Mark Rutelli patrolował w Midtown, czekając — choć sam nie bardzo w to wierzył — na jakąś wiadomość o Jodie. Przez całe przedpołudnie nie wziął do ust ani kropli alkoholu. Delgadillo byłby bardzo zadowolony, gdyby zobaczył go pijanego, ale on nie zamierzał dostarczać mu tej przyjemności. Miał swoją godność.

Jednak od paru minut czuł, że ręce zaczynają trząść mu się coraz bardziej. Prawie mimowolnie wcisnął mocniej pedał hamulca i zatrzymał się na wysokości sklepu monopolowego. Trudno, dziś jeszcze chyba nie przestanie pić.

Wszedł do środka i wyszedł z butelką wódki zawiniętą w papier. Pierwszy łyk pociągnął dopiero wtedy, gdy znalazł się w samochodzie. Poczul piekący smak alkoholu na języku, na podniebieniu i w gardle, zanim dobroczynny ogień rozpałił mu żołądek i rozlał się po całym ciele. Rutelli dobrze wiedział, że to poczucie komfortu jest złudne, ale na krótką chwilę trucizna pozwoli mu przynajmniej sprawnie działać. Z sercem przepelnionym smutkiem i poczuciem winy wypił drugi łyk i z ulgą stwierdził, że przestały mu się trząść ręce.

Czuł się rozbity wewnątrz i poobijany na zewnątrz. Wydawał się męski i mało wrażliwy, a było wprost przeciwnie. Im bardziej angażował się w pracę, tym intensywniej odczuwał nadmiar emocji, nad którymi nie potrafił zapanować.

Praca gliniarza nie zawsze pozwalała dostrzec w ludziach to, co w nich najlepsze. Coraz częściej zdawało mu się, że rzeczywistość nie jest taka, jaka być powinna. Dlatego pił. Pił, żeby poczuć się na zewnątrz tego świata i móc łatwiej znosić rozpacz i nędzę, które widział wokół siebie.

W czasach gdy pracował z Grace, jego życie było dużo lżejsze. Wzajemne porozumienie pozwalało łatwiej przeżywać trudne chwile towarzyszące ich profesji. Grace miała do tego szczególny talent, sprawiała, że codzienność stawała się jaśniejsza, i umiała nadać sens każdej rzeczy, podczas gdy on potrafił tylko popadać w melancholię, która od dłuższego czasu nigdy go nie opuszczała.

Codziennie odczuwał brak Grace. Czasami, kiedy był pijany, udawało mu się nawet wierzyć, że ona nadal żyje. Ale nigdy nie trwało to długo, a nawroty zdrowego rozsądku były za każdym razem boleśnieszsze.

Na ziemię sprowadził go głos, który rozległ się w radiu:

— Oficer Rutelli?

— Tak, to ja.

— Sądzę, że udało się zlokalizować Jodie Costello...

Sam zaparkował przed rzędem bloków komunalnych, ale nie zgasił silnika. Śnieg padający teraz obficie wyludnił ulice i dzielnica wyglądała jak miasto zjawa. Grace próbowała go jeszcze ostrzec, ale on skwitował to wzruszeniem ramion.

— Niech pan posłucha, Galloway — nalegała — znajdujemy się w samym sercu Bronksu, a pan ma zamiar spotkać się z dealerem. Przecież to niebezpieczne!

— Wiem o tym.

— Niech więc pan nie próbuje żadnych sztuczek z tym Cyrusem, jasne?

— *Yes, sir.*

Grace zamilkła na chwilę, zamyśliła się, po czym rzekła:

— Zastanawiam się nad czymś...

— Słucham.

— Dealer pańskiej żony, ten Dustface, czy on nie żyje?

— Oczywiście.

— A w jaki sposób umarł?

Sam otworzył drzwiczki samochodu i do wnętrza wdarł się lodowaty wiatr.

— To stara historia, raczej niezaliczana do tych, jakie opowiada się pod koniec kolacji w rodzinnym gronie...

Nie powiedział nic więcej i wysiadł z samochodu. Grace popatrzyła, jak oddala się zaśnieżoną ścieżką, po czym dołączyła do niego.

— Niech pan zaczeka, Sam.

Wyjęła broń, wyciągnęła z niej magazynek i ponownie mu ją zaproponowała.

— Magazynek jest pusty, a więc nie ma ryzyka, że czymś takim go pan zabije, ale może go pan postra...

Lekarz nie pozwolił jej dokończyć zdania.

— Proszę nie nalegać! Każdy ma swoje sposoby.

— W porządku, niech się pan da zabić, jeśli ma pan na to ochotę — odpowiedziała urażona.

Sam wszedł do pierwszego budynku, rozejrzał się i niemal natychmiast stamtąd wyszedł, bo na klatce schodowej na dobre rozgorzała kłótnia między sąsiadami. Poza tym

Grace miała rację: odgrywanie bohatera, narażanie się na cios nożem i śmierć w tym okropnym miejscu nie miało sensu.

Z powodu powyrywanych skrzynek na listy odszukanie adresu Cyrusa zajęło mu dobrą chwilę. Nikogo jednak nie spytał o drogę. Spędził dzieciństwo w takiej okolicy jak ta i wiedział, że może liczyć wyłącznie na siebie. Dotarłszy pod właściwe drzwi, zadzwonił kilka razy. Z mieszkania dochodziła ogłuszająca muzyka, ale nikt nie otwierał. Walił więc w drzwi tak długo, aż stanął w nich młody Afroamerykanin, rzucając mu wrogie spojrzenie.

— Czego tu chcesz, facet?

— Ty jesteś Cyrus?

— Może i tak.

— Szukam Jodie Costello. Jest tu z tobą?

— Nie znam — odpowiedział Cyrus obojętnym tonem.

— Nie pieprz. Dobrze wiem, że wtryniasz jej te swoje świństwa.

— Zjeżdżaj stąd, facet, albo rozkwaszę ci mordę. Nie znam żadnej Jodie.

Już miał zamknąć, kiedy Sam spróbował ponownie sztuczki ze stopą w szparze drzwi.

— Powiedz mi tylko, gdzie ona jest.

Jednak dealer nie miał zamiaru współpracować. Wziął rozpęd, zamachnął się gwałtownie nogą i z półobrotu wymierzył kopniaka, który odrzucił Sama pod przeciwległą ścianę korytarza.

— *Fucking hell! Get stuffed, man!** — bluzgnął, zachwycony, że może w praktyce zastosować umiejętności wyniesione z treningów kick boxingu.

*** O, kurwa! Spieprzaj, facet!**

Zaraz potem zatrzasnął drzwi.

Sam podniósł się, upokorzony i obolały. But Cyrusa trafił go w wątrobę, co zapało mu dech. Na schodach usłyszał odgłos kroków.

— No i co? Odnoszę wrażenie, że pańska metoda nie poskutkowała — zakpiła Grace.

— Nie za każdym razem skutkuje — przyznał Sam, otrzepując płaszcz.

— Ponieważ nam się spieszy, zastosujemy moją metodę, jeśli nie ma pan nic przeciwko temu.

— Nie zgłaszam sprzeciwu.

— Z góry proszę mi wybaczyć brak subtelności — powiedziała, wydobywając pistolet z kabury.

Stanąła przed drzwiami i strzeliła dwukrotnie raz za razem, rozwalając zamek. Sam kopnął w drzwi, które ustąpiły, i wszedł do środka za przykładem Grace.

Splonę w piekle, żeby cię chronić...

fragment z filmu *Ojciec chrzestny* Francisa Forda Coppoli

Jodie była złodowaciała. Cienka i przesiąknięta potem parka nie chroniła przed zimnem, a dżinsy paskudnie lepily się do skóry, bo dziewczyna zsięła się podczas spotkania z Sępem. Trzęsła się tak bardzo, iż miała wrażenie, że jej ciało się rozpada, jakby rozpuszczało się ze strachu.

— Witaj, Jodie.

Spanikowana, podniosła oczy. W jej stronę szedł Mark Rutelli, trzymając ręce w kieszeniach.

Bardzo chciała go jakoś ostrzec, powiedzieć mu, żeby się nie zbliżał, a zwłaszcza żeby nic do niej nie mówił!

Bo była pod obserwacją Sępa.

Bo wszystko miało zaraz wybuchnąć.

Żeby jej nie spłoszyć, Rutelli usiadł na sąsiedniej ławce. Natychmiast zdał sobie sprawę, w jak strasznym stanie jest nastolatka.

— Co u ciebie słycać? — spytał, żeby jakoś zacząć rozmowę.

— Nic dobrego — odparła Jodie.

Jej głos był słabutki i drżący, niemal gasnący jak płomień świecy palącej się na wietrze.

— Wpadłaś w jakieś kłopoty?

Początkowo nie zareagowała, potem skinęła głową i wtedy Rutelli zauważył, że płacze.

— Czy mogę ci jakoś pomóc, Jo? Tłumiąc szloch, zdołała wykrztusić:

— Myślę... że mam jakąś bombę...

— Bombę?

— ...na sobie...

— Co ty pleciesz?

— ...obwiązaną wokół talii.

Rutelli pokręcił z niedowierzaniem głową.

— Niech no zobaczą! — zaproponował, wstając z ławki.

Już miał do niej podejść, kiedy dała mu do zrozumienia, żeby się nie zbliżał. Przerazenie w oczach dziewczyny wytrąciło go z równowagi i zatrzymało na miejscu.

Rutelli spróbował uporządkować myśli. Ta historia z bombą nie trzyma się kupy. Jodie bredzi, to pewne. Na pewno przedawkowała, co zdarzało mu się widzieć nieraz podczas długiej kariery. Jeśli ma jej pomóc, jedyną słuszną rzeczą będzie wezwanie karetki pogotowia. Miał właśnie nadać wiadomość przez radio, kiedy spojrzał jej w oczy. Zazwyczaj tego unikał, bo Jodie miała spojrzenie Grace, a to bardzo bolało.

Jasne oczy Jodie płonęły, jakby ktoś podpalił morze. Mieszały się w nich łzy, przerażenie, narkotyki i brak

snu. Poza tym wszystkim Rutelli wyczytał w nich błaganie: Uratuj mnie!

*

Sęp walnął pięścią w stół. Kim jest ten facet, który rozmawia z Jodie? Jasna cholera! Dlaczego nie pomyślał o wyposażeniu jej w mikrofon? Mógłby teraz wszystko słyszeć. W podnieceniu i pośpiechu zapomniał o podstawowych zasadach bezpieczeństwa. Teraz, wyłażąc ze skóry, wystukał na klawiaturze komputera kilka instrukcji niezbędnych do ustawienia kamery filmującej dziewczynę. W tle dostrzegł sylwetkę Rutellego. Zmarszczył brwi i zmrużył oczy. Czy Jodie zna tego człowieka? Nie, z pewnością nie. To musi być jeden z tych zboczeńców, którzy nagabują nastolatki w parkach...

A jednak ich rozmowa niebezpiecznie się przedłużała. Sęp zawahał się i rzucił okiem na pozostałe ekrany. Przedstawienie miało się wkrótce zacząć i wokół fontanny zbierał się coraz gęstszy tłum. Jeszcze dwie minuty, postanowił, ściskając detonator d rżącą ręką.

*

— Myślisz, że on na nas patrzy? Jodie skinęła niedostrzegalnie głową.

Prawie nie poruszając ustami, opowiedziała policjantowi o tym, co przeżyła w ciągu ostatnich godzin: jak została porwana przez dealera i zawieziona do Sępa.

— Czy myślisz, że on jest gdzieś w pobliżu?

Kiedy pokręciła głową, Rutelli przestał cokolwiek rozumieć.

— W takim razie w jaki sposób nas widzi?

— Przez kamery. Rutelli się odwrócił.

— Jakie kamery? Tu nie ma żadnych kamer.

— Przez webcamy... — wyjaśniła Jodie.

Rutelli zaklął cicho. Nie miał zielonego pojęcia, co to takiego. Od dziesięciu lat nie starał się być na bieżąco z rozwojem technologii. Telefony komórkowe, palmtopy, e-maile... w życiu nie miał z tym do czynienia. Przypomniawszy sobie, co powiedział mu niedawno Delgadillo. Z całą pewnością nie mylił się, twierdząc, że czas Rutel-lego „się skończył”.

Wspomnienie tych słów jeszcze bardziej wytrąciło go z równowagi.

— Przepraszam — powiedziała nagle Jodie, z największym trudem powstrzymując płacz.

— Za co przepraszasz? — spytał Rutelli, podnosząc głowę.

— Przepraszam, że wcześniej panu nie zaufałam... Policjant poczuł, jak ściska mu się serce. On także

wszystkiego żałował.

— To nie twoja wina, Jodie. Wyłącznie moja. Nie potrafiłem cię chronić. Powinienem być bardziej interesować się twoim losem.

— Nie dałam panu do tego okazji — odparła z żalem Jodie.

Ich oczy spotkały się ponownie i Rutelli poczuł nagle nieznaną dotąd siłę.

— Wyciągnę cię z tego. Najpierw jednak musisz mi powiedzieć, gdzie ten drań się zaszył. Znasz jego adres?

Skonsternowana Jodie uświadomiła sobie, że nie wie dokładnie, gdzie znajduje się kryjówka Sępa. Cyrus zawiózł ją tam w bagażniku samochodu, po czym od razu zamknął w ciemnym pomieszczeniu bez okna. Próbowwała zebrać myśli, ale była zbyt wyczerpana psychicznie i fizycznie. Potworny ból głowy, jakiego nigdy nie zaznała, wkręcał się w jej mózg.

— Już nic nie wiem... — wyszeptała.

— Przypomnij sobie — nalegał Rutelli.

W pełni świadoma, że od tej informacji zależy być może jej życie, Jodie skupiła się i pomimo wyczerpania usiłowała dotrzeć do sił drzemiących w jej wnętrzu, w nigdy dotąd nieodwiedzanych zakamarkach ciała.

— To chyba jest gdzieś w okolicy Traverse Road, na zachód od Hyde Pierce.

— Postaraj się określić dokładniej.

— Kiedy nie wiem... już niczego nie wiem. Rutelli starał się zachować spokój.

— Dobrze — powiedział, wstając i kierując się w stronę samochodu. — Jakoś sobie z tym poradzę, ale muszę się pospieszyć.

— Boję się zostać sama — szepnęła Jodie.

— Wiem. Tylko się nie ruszaj! Wkrótce wrócę. Zazwyczaj nie potrafił dodawać otuchy ludziom, tym

bardziej młodej zrozpaczonej dziewczynie. Tymczasem, ku swojemu zdziwieniu, słowa pociechy same wyszły z jego ust jak coś najbardziej oczywistego.

— Wiesz co? Czekając na mój powrót, zrób listę wszystkich rzeczy, jakie chciałabyś zrobić, zanim skończysz dwadzieścia lat. Rozumiesz, co mam na myśli?

Przytaknęła nieśmiało.

— A kiedy już wszystko dobrze się skończy, pomogę ci nadrobić stracony czas. Obiecuję.

*

— Na prawo — wskazał Cyrus trzęsącą się ręką. Siedział na tylnym siedzeniu samochodu Sama, a Grace

trzymała lufę pistoletu przy jego skroni. Po dokładnym przesłuchaniu zdołała przekonać go, że powinien zaprowadzić ich do Sępa.

— A potem? — spytał Sam.

— Prosto i druga w lewo.

Sam włączył wycieraczki, żeby zebrać śnieg gromadzący się na szybie. Samochód wjechał w aleję prowadzącą do szeregu magazynów.

— To tutaj? — spytała Grace.

— Ta...k — odburknął Cyrus. — Ostatni garaż po lewej.

Sam podjechał wolno do automatycznych drzwi.

— Pewnie trzeba znać kod — stwierdził. — Znasz?

— Nie. On sam mi otwiera, kiedy wie, że mam przyjechać.

Grace odbezpieczyła pistolet i zdeterminowana włożyła lufę w usta Cyrusa.

— Kod!

Przerażony dealer rozłożył bezradnie ręce.

— Daję ci trzy sekundy. Raz... dwa... trz...

— Proszę przestać! — wrzasnął Sam. — On mówi prawdę!

— A co pan wie na ten temat?

— Jestem psychologiem i potrafię rozpoznać, kiedy ktoś kłamie.

— Nie jestem tego taka pewna. Jednak wyjęła lufę z ust Cyrusa.

— Chodź ze mną.

Wysiadła z samochodu, wywlekając za sobą dealera. Przycisnęła go do maski samochodu i przeszukała, żeby zabrać mu komórkę.

— Jaki jest numer Sępa?

— Nie mam pojęcia — skłamał Cyrus. — To on do mnie dzwoni, kiedy ma towar.

Grace podała komórkę Samowi. Lekarz przejrzał szybko listę numerów, ale nie znalazł na niej numeru Sępa.

Grace rzuciła telefonem o ziemię i zmiażdżyła go butem.

— Zjeżdżaj stąd! — warknęła do Cyrusa.

— M... m... mogę?

— Jeśli spróbujesz go uprzedzić, znajdę cię i zabiję. Rozumiesz, co do ciebie mówię?

— Tak, p...sze pani.

Sam jednak był innego zdania.

— Przecież to dealer, Grace. Nie zatrzymamy go?

— Nie jest pan oficerem policji, Galloway.

— Ale pani owszem...

— Niech pan da spokój. Nie po to tu przyjechaliśmy. Gdy Cyrus zwiewał, nie oglądając się za siebie, Grace dodała:

— Lekarze nie mogą uratować wszystkich, a gliniarze nie mogą wszystkich aresztować. Tak to już jest.

— Co pani teraz proponuje?

Grace obeszła wolno samochód, oglądając go uważnie, jakby zamierzała go kupić. Był to wysokiej klasy terenowy wóz z napędem na cztery koła, elegancką sylwetką, choć trochę kwadratową i masywną, prawie wojskową.

Przyjrzała się olbrzymiej kratownicy, spadzistej i mocnej, schodzącej pionowo między kwadratowymi reflektorami. Oceniała szerokość opon oraz imponującą wysokość siedzeń. Wszystko to sprawiało, że pojazd miał wygląd mocny i kanciasty, jakby przygotowany do abordażu.

— Ile takie coś może kosztować? — spytała.

— Bardzo dużo — odparł Sam. — I nie ukrywam, że jeszcze nie spłaciłem wszystkich rat.

— To dziwne — stwierdziła Grace — ale nie pasuje mi pan do takiego wozu.

Sam zmieszał się na moment, po czym wyznał niepewnie:

— Nie wiem, co mnie napadło... w dniu, w którym Federica oznajmiła mi, że jest w ciąży. Byłem taki szczęśliwy, że poleciałem do pierwszego lepszego salonu, jakby kupno wielkiego samochodu miało zapewnić mi liczną, odpowiednio dużą rodzinę. Wyobrażałem już sobie weekendowe wypadki, rodzinne podróże przez parki narodowe... Kretyństwo, co?

— Skądże znowu — powiedziała i porozumiewawczym gestem położyła dłoń na jego ramieniu.

Sam popatrzył na swój wóz z zadumą i oświadczył:

— Wiem, co pani ma na myśli. I zgadzam się.

— Dobrze. W takim razie nie traćmy czasu. Usiadł za kierownicą, a ona zajęła miejsce obok niego.

Włączył wsteczny bieg dla nabrania jak największego

rozpędu. Samochód miał silnik V8 — 4,4 litra, najsilniejszy, jaki instalowano w land-roverach.

— Niech pani zapnie pas!

Jeden z przycisków na tablicy rozdzielczej pozwalał ustalić rodzaj powierzchni, w jaką miał uderzyć pojazd.

Sam przesunął kursor z „normalnego biegu” na bieg „w terenie nierównym”. System natychmiast odpowiedział, wybierając najwłaściwsze ustawienia zawieszenia, mocy i zabezpieczenia przed poślizgiem.

— Zawsze wiedziałem, że wcześniej czy później ten samochód się do czegoś przyda — oznajmił, po czym wcisnął pedał gazu.

Niczym potężny bawół, dwutonowy pojazd terenowy uderzył z impetem w metalowe wrota.

Sęp patrzył zafascynowany na obrazy przewijające się przed jego oczami. Plac Waszyngtona był jednym z najbardziej uczęszczanych miejsc w mieście i podobało mu się panujące tam teraz ożywienie, jemu, który nigdy tak naprawdę nie poczuł, że żyje. Upajał się życiem tych wszystkich ludzi i zachłystywał każdym szczegółem: kolorem włosów studentki, uśmiechem mamy i jej dziecka, tanecznym krokiem dwóch raperów...

Zamknął na moment oczy i wyobraził sobie dalszy ciąg. Eksplozję będzie słycać wiele kilometrów od placu i wywoła szok. Najpierw zobaczy zaskoczone twarze ludzi nicrozumiejących, w jaki sposób wojna może tak nagle wtargnąć w ich życie. Potem ziemię pokryją rozszarpane ciała. Zewsząd rozlegną się straszliwe krzyki. Ludzie zaczną uciekać we wszystkich kierunkach, z zakrwawionymi twarzami i bebechami na wierzchu.

Obrazy straszliwej jatki docierały do niego we fragmentach, jakby wszystko to już się zdarzyło.

Były takie realistyczne. Mała dziewczynka przygnieciona ławką wrzeszczy: „Mamo! mamoo!”. Jakiś niestary jeszcze męż-

czyzna podnosi się spod fontanny, gdzie odrzucił go wybuch. Jego głowa jest jedną krwawą masą. Jakaś wstrząsana szlochem kobieta stwierdza z przerażeniem, że straciła rękę. Wszędzie trupy, ranni, horror. Trudny do opisanego chaos. Totalna rozpacz. Ciało leżące w kałużach krwi.

Ta rozpacz będzie tak powszechna, tak silna i tak bulwersująca, że nigdy o niej nie zapomną. Czy jest szalony? Z całą pewnością. Ale to niczego nie zmienia. Po dłuższym zastanowieniu Clarence doszedł do wniosku, że społeczeństwo potrzebuje ludzi takich jak on. Najwięksi kryminaliści potrzebni są ludzkości choćby po to, żeby zrozumiała, czym jest zło. Bo tylko zło pozwala istnieć dobru. Bo — kiedy się nad tym zastanowić — jaki byłby świat bez chorób, bez lekarzy, bez pożarów, bez strażaków, bez wrogów i bez żołnierzy...

Tak, pomyślał, jedynie zło pozwala otworzyć drzwi dobru.

*

Galloway musiał uderzyć parę razy, zanim wrota ustąpiły. Za trzecim podejściem złącza metalowej zapory puściły, otwierając drogę land-roverowi.

Sęp podskoczył, słysząc trzask pod stopami. Czyżby policja? W jaki sposób trafiła na jego ślad?

Rzucił okiem na ekran, który potwierdził, że jest obleżony. Jednocześnie z wielką ulgą skonstatował, że to tylko jeden samochód i że nie są to gliniarze.

Wściekły, że tak brutalnie przerwano mu wyobrażenie sobie katastrofy, chwycił pistolet automatyczny schowany w szufladzie. Kimkolwiek są intruzi, pożałują, że się tu zjawili.

Galloway przejechał po betonowej rampie i dotarł na podziemny parking. Pomieszczenie tonęło w ciemnościach. Chciał włączyć światła, ale Grace odradziła mu to, żeby nie można było ich namierzyć. Kiedy gasił silnik, grad kul roztrzaskał przednią szybę na tysiące kawałków.

— Niech się pan schyli — rozkazała Grace, pociągając go za rękę.

Kule gwizdały i odbijały się rykoszetem od wszystkiego, wypełniając przestrzeń ogłuszającym hałasem.

Samochód stał unieruchomiony na środku parkingu. Grace spojrzała na Sama. Jego twarz była trupio blada.

— Proszę tu poczekać — wyszeptała.

Skurczyli się oboje pod siedzeniami. Z pistoletem w garści Grace otworzyła drzwiczki, starając się zrobić to bezgłośnie, po czym wyturlała się na ziemię.

Samochód znów obsypał grad kul.

Grace udało się wśliznąć w coś w rodzaju betonowej niszy. Przyciśnięta do ściany, odpowiedziała kilkoma strzałami. Na parę chwil na parkingu zapanowała pełna napięcia cisza. Wkrótce potem na wyasfaltowanym podłożu rozległy się kroki. Grace zaryzykowała, wychylając się nieco ze swojej kryjówki, i zobaczyła sylwetkę Sępa uciekającego w stronę korytarza. Załadowała pistolet, strzeliła, ale chybiła. Wtedy wyszła z ukrycia i wbiegła w korytarz. Posuwała się ostrożnie. Pomarańczowa ciemność pozwalała dostrzec jedynie wąski pasek światła wydostający się spod drzwi.

Nadal siedząc w samochodzie, Sam sięgnął po płaszcz leżący na tylnym siedzeniu. Z kieszeni wyjął komórkę. Trzeba jak najszybciej zawiadomić policję. W mroku ledwo widział przyciski telefonu.

Nacisnął jeden, żeby oświetlić ekran, ale światełko się nie zapaliło. O cholera!

Nie naładował komórki i bateria padła! Zamierzał to zrobić już wczoraj w domu Leonarda McQueena, ale zapomniał ładowarki. Teraz gorzko pożałował, że nie zatrzymał komórki Cyrusa, którą przed chwilą zniszczyli.

Wysiadł z samochodu, zastanawiając się, jak pomóc Grace. Zmrużył oczy i zobaczył ją około dwudziestu metrów przed sobą. Posuwała się odważnie w ciemnościach korytarza w kierunku półotwartych drzwi, za którymi może znajdowała się Jodie.

Sam był coraz bardziej zdenerwowany. Grace wiele ryzykowała, idąc bez żadnej osłony. Sęp bez wątpienia kryje się za drzwiami i czeka, gotów zasypać intruza gradem kul. Walka jest nierówna. On ma pistolet automatyczny, podczas gdy Grace tylko służbową broń.

Nagle Sam dojrzał ciemną sylwetkę poruszającą się tuż za Grace i serce zaczęło mu mocniej bić. Sęp przycisnął się we wnęce i Grace minęła go, niczego nie przeczuwając. Znalazła się w pułapce. Otworzył usta, żeby ją ostrzec, ale żaden dźwięk nie wydostał się z jego gardła.

— Czy to mnie szukasz? — spytał Sęp.

Zaskoczona Grace zastygła bez ruchu na ułamek sekundy, po czym odwróciła się błyskawicznie. Było jednak za późno. Sęp nacisnął spust i przeszyte kulami ciało Grace zostało odrzucone kilka metrów w tył.

— Nie!!! — wrzasnął Sam, rzucając się na Sępa.

Korzystając z zaskoczenia, wymierzył mu potężny sierpowy, który powalił go na ziemię. Ogluszony bandyta wypuścił pistolet. Sam złapał go za kark, żeby wymierzyć kolejny cios kolanem, ale Sępowi udało się uwolnić z uścisku. Leżąc na ziemi, wykonał skręt, który podciął lekarza, zwalając go z nóg. Dwaj mężczyźni wstali jednocześnie i stanęli twarzą w twarz gotowi do bójki. Sam

zapomniał o strachu i kipiał z wściekłości. U jego stóp leżało ciało Grace.

Nie pamiętał, kiedy ostatnio się bił, ale rozwścieczony zaatakował pierwszy całą serią ciosów, które Sęp skutecznie parował, po czym osłonił się łokciem i trafił Sama w skroń. Lekarz odpowiedział kopniakiem, który dosięgnął przeciwnika jak młot. Sęp udał, że zwija się z bólu. Był teraz odwrócony plecami i zdawał się wystawiony na ciosy. Na chwilę Sam opuścił gardę, ale źle wybrał moment, bo Sterling wyprostował nogę, wymierzając z obrotu kopniaka, który podciął lekarza. Wykorzystując przewagę, Sęp zgiął kolano i miażdżący obcas jego buta trafił Sama prosto w kość piszczelową.

Zwalił się na ziemię, wyjąc z bólu, jakby miał złamaną nogę. Ostatni cios łokciem dopełnił całości i znokautował go.

— Skuteczne, co? — warknął Sęp, podnosząc pistolet. — Japończycy nazywają ten cios *fumikomi*. Można nim równie dobrze zmiażdżyć kolano, jak i kostkę stopy...

Leżąc na ziemi, Sam przyłożył obie dłonie do piszczeli, usiłując w ten sposób złagodzić ból. Parking nadal tonął w ciemnościach. Sęp przekręcił kontakt, żeby oświetlić twarz swojego więźnia, którego zamierzał zabić. Dla niego najważniejsze było zobaczyć zło w chwili, gdy je czynił.

W pomieszczeniu rozbłysło ostre światło. Przerażony Sam zamknął oczy. Czyżby miał umrzeć w ten sposób, od strzału w głowę, sam w tym obskurnym magazynie gdzieś w Bronksie? To zbyt straszne! Nie jest na to przygotowany! Dziś rano obudził się u boku Juliette i nawet przez moment nie pomyślał, że ten dzień może być ostatni. Oczywiście nie będzie pierwszym człowiekiem, którego życie zostanie przerwane w tak brutalny sposób, ale to

marna pociecha. Był teraz w szponach strachu i czuł, że serce podchodzi mu do gardła. Tymczasem Sęp nie strzelał.

W ostatnim geście odwagi Sam otworzył oczy. Lepiej spojrzeć śmierci w twarz. Po raz pierwszy zobaczył wyraźnie napastnika i ze zdumieniem stwierdził, że go zna.

— Clarence Sterling!

Kiedy Cyrus wspomniał o mężczyźnie, do którego zawiózł Jodie, nie wymienił jego nazwiska, ograniczając się do używania jego makabrycznego przezwiska.

Teraz także Sterling go rozpoznał i wybuchnął przeraźliwym śmiechem.

— Ha! ha! ha!... Galloway...

Sam podniósł się wolno. Wszystko mu się przypomniało. Widział Sterlinga tylko raz w życiu, przed dziesięcioma laty, ale nigdy go nie zapomniał.

Kiedy minął moment zaskoczenia, Sęp stwierdził:

— Ty, przecież ja wiem, kim jesteś, a ty dobrze wiesz, kim jestem ja...

Clarence Sterling, płatny zabójca, któremu zapłacił za zgładzenie Dustface'a. W tamtych czasach Sterling był tylko małym zabijaką, choć powszechnie znanym w dzielnicy ze swego okrucieństwa.

— ...w takim razie wcale nie muszę cię zabijać. Dalej! Wstawaj i podejdź do mnie!

Sam wstał i pod groźbą pistoletu zaczął iść korytarzem.

Po nieudanym spotkaniu z Dustface'em Sam uświadomił sobie, że dealer będzie ich ścigał — jego i Fede-ricę — aż ich dopadnie i zabije. Myślał o tym tysiące razy, zanim doszedł do wniosku, że jedynym sposobem na rozpoczęcie nowego życia jest pozbycie się Dustface'a. Po dzielnicy krążyły nazwiska „czyścicieli”, gotowych

podjąć się takiego zadania. Sam zabrał swoje sześć tysięcy dolarów oszczędności, żeby zaoferować je któremuś z nich. Człowiek, którego wybrał, nazywał się Clarence Sterling. Dwa dni później Dustface nie żył. Nikt nigdy nie dowiedział się, że stał za tym Sam. Ani ojciec Powell, ani Federica. To była jego decyzja i jego odpowiedzialność. Ale każdego ranka, kiedy patrzył w lustro przy goleniu, płacił za to swoją cenę. Cenę krwi.

Dwaj mężczyźni dotarli do końca korytarza i weszli na metalowe schody, które zaprowadziły ich do pomieszczenia przypominającego biuro. Galloway był prawie pewien, że w jakimś kącie znajdzie związaną Jodie. Zamiast niej ujrzał tylko komputer i kilka ekranów. Sęp usadowił się w fotelu i dał Samowi znak, żeby stanął w kącie.

— Razem ze mną zajmiesz miejsce w pierwszym rzędzie! Otwórz oczy i patrz! Będzie świetna zabawa!

Na głównym ekranie Sam zobaczył Jodie siedzącą na ławce. Na drugim planie rozpoznał plac Waszyngtona, nie zdając sobie jeszcze sprawy, co się dzieje.

Następnie zobaczył, jak Sterling bierze detonator, i wtedy zrozumiał.

— No to zaczynamy! — krzyknął Sęp. Ostatkiem sił Sam rzucił się w kierunku bestii, ale z powodu bólu w nodze nie był dostatecznie szybki.

Sterling zauważył jego ruch. Złapał pistolet i wymierzył go w lekarza.

— Tym gorzej dla ciebie!

Położył palec na spuście i strzelił. Pierwsza detonacja przerwała ciszę panującą w magazynie, a po niej nastąpiła druga, która echem odbiła się od pierwszej.

Sam poczuł, jak pęka mu ramię. Krew obryzgała mu twarz, ale kiedy zobaczył Sępa padającego tuż obok jego stóp, zrozumiał, że to nie była jego krew.

Wyczerpany, obezwładniony bólem, przytrzymując ręką zranione ramię, lekarz osunął się na ziemię, otwierając szeroko oczy.

W drzwiach stał Mark Rutelli i przyglądał się swojej dłoni zaciśniętej na kolbie pistoletu. Nawet nie zadrżała.

Zrobił kilka kroków w głąb pomieszczenia i upewnił się, że Sam nie jest poważnie ranny. Potem podszedł do ciała Sępa i wystrzelił jeszcze dwie kule, jakby chciał w ten sposób uwolnić się od lat cierpień i zmartwień.

W oddali słychać było wycie policyjnych syren i ambulansów.

Rutelli podszedł do biurka i zobaczył cały arsenał informatyczny, dzięki któremu Sęp mógł obserwować swoje ofiary. Spojrzał na główny monitor. Z pierwszego planu zdawały się spoglądać na niego oczy Jodie. Podszedł do ekranu i wyszeptał:

— To już skończone... Teraz wszystko pójdzie dobrze.

..jeden chroniący drugiego przed resztą świata, jeden będący dla drugiego całą resztą ziemi.

Philip Roth

Szpital Świętego Mateusza, oddział nagłych wypadków godzina 8.46

— Proszę siedzieć spokojnie, doktorze Galloway. Claire Giuliani, młoda internistka, kończyła właśnie

zakładać opatrunek na ramieniu Sama, którego na tę okazję wystrojono w przepisową szpitalną koszulę. Spełniając prośbę koleżanki po fachu, przestał się wiercić i zamknął oczy. Wrzawę strzelaniny zastąpił spokój szpitala. Kilka sekund po śmierci Sępa do magazynu wtargnęła armia policjantów i sanitariuszy, i niepytany o zdanie Sam został zabrany do własnego szpitala, gdzie poddano go serii badań i prześwietleń.

— Miał pan szczęście — stwierdziła Claire — kula przeszła pod obojczykiem, nie naruszając kości. Jednak za parę dni trzeba będzie zobaczyć, czy nie wdała się infekcja, bo mięśnie są poszarpane i...

— W porządku, proszę nie zapominać, że ja także jestem lekarzem. A co z moją kostką?

Podawała mu zdjęcie.

— Nie jest złamana, ale porządnie zwichnięta. I fakt, że „pan także” jest lekarzem, nie zwolni pana z obowiązkowego odpoczynku przez najbliższe dwa tygodnie. A jeśli będzie pan grzeczny, założę śliczny opatrunek...

Sam z grymasem odwrócił głowę. Plastikowy wężyk wkłuty w ramię ograniczał jego ruchy, jednak nie na tyle, żeby nie mógł dojrzeć kolosa w ciemnym ubraniu stojącego na straży w uchylonych drzwiach.

— Claire, muszę poprosić panią o przysługę.

— A co dostanę w zamian? — spytała młoda internist-ka, zdejmując worek z lodem z kostki pacjenta.

— Moje gorące podziękowania — zaproponował Sam.

— Oraz kolację w restauracji Saint-Georges 3, podobno mają tam powalające desery.

— Zgoda, niech będzie kolacja.

Wyciągnął palec w kierunku agenta FBI dokładnie w chwili, gdy pielęgniarka wchodziła z parą kul. Policjant skorzystał z okazji i wszedł do pokoju. Facet był wielki jak szafa z lustrem i miał włosy ostrzyżone na jeża, podobnie jak wielu kolegów z branży. Zbliżył się do łóżka i pokazał legitymację służbową na potwierdzenie swojej tożsamości.

— Dobry wieczór, panie Galloway, jestem agent Hunter. Wiem, że przeżywa pan trudne chwile, ale chciałbym zadać panu kilka pytań.

— Do usług — odpowiedział Sam, udając gotowość do współpracy.

Claire, która zrozumiała, czego Sam od niej oczekuje, zaraz wkroczyła do akcji.

— Nie ma mowy — powiedziała surowo. — Stan pacjenta wymaga wypoczynku.

— To nie zajmie dużo czasu — obiecał Hunter. — Chodzi tylko o kilka wyjaśnień, które chcemy porównać z oświadczeniem oficera Rutellego.

— Stanowczo się temu sprzeciwiam — odparła Claire, wypychając go za drzwi.

Hunter jednak nie miał zamiaru rezygnować.

— Proszę mi dać piętnaście minut.

— Wszystko, co mogę panu dać, to rozkaz odejścia.

— Grozi pani agentowi federalnemu! — oburzył się.

— Tak — odpowiedziała niespeszona młoda kobieta. — Pan Galloway jest pod moją opieką i stan jego zdrowia na razie nie pozwala na przesłuchanie. Proszę więc, żeby przestał pan nalegać.

— No cóż... dobrze — zgodził się Hunter, niezbyt zadowolony, że został pokonany przez tę kobietkę. — Wrócę tu jutro rano.

— Tak, tak — rzuciła mu w odpowiedzi. — Niech pan mnie tylko uprzedzi, żebym mogła powitać pana z kwiatami!

Agent Hunter wyszedł, tłumiąc jakieś przekleństwo i żałując czasów — nie tak znowu odległych — kiedy to kobiety wiedziały, gdzie ich miejsce.

Kiedy tylko znalazł się za drzwiami, Sam odrzucił kołdrę, usiadł na brzegu łóżka i odłączył kroplówkę.

— Mogę wiedzieć, co pan robi?

— Wracam do domu.

— Proszę się natychmiast położyć! — rozkazała

Claire. — Za kogo pan się uważa? Za Jacka Bauera? Nie ma mowy o opuszczeniu szpitala.

Sam odsunął nogą wózek, na którym leżały narzędzia chirurgiczne, i złapał swoje ubranie.

— Podpiszę każde zwolnienie z odpowiedzialności, jakie tylko pani zechce, jeśli o to chodzi.

— Wcale nie chodzi o zwolnienie z odpowiedzialności — denerwowała się Claire — tylko o zdrowy rozsądek. Otarł się pan o śmierć, pańskie ramię i pańska kostka są w opłakanym stanie, dochodzi dziewiąta wieczór, a na dworze jest minus dziesięć. Ma pan coś lepszego do roboty poza leżeniem w łóżku?

— Muszę odnaleźć pewną kobietę — odpowiedział Sam, podnosząc się.

— Kobietę?! — krzyknęła zaskoczona Claire. — Wyobraża pan sobie pewnie, że ona nie potrafi się panu oprzeć, kiedy zobaczy opatrunek i te kule.

— Nie o to chodzi.

— Kim jest ta kobieta?

— Nie sądzę, żeby to mogło panią obchodzić.

— A właśnie że obchodzi, proszę sobie wyobrazić!

— To pewna Francuzka... — zaczął Sam.

— Tylko tego brakowało! Kiedy już myślałam, że wreszcie będę miała pana przez całą noc, pan zdradza mnie z jakąś Francuzką.

Sam odpowiedział jej uśmiechem i z trudem powlókł się w stronę drzwi.

— Dzięki za wszystko, Claire.

Odprosiła go i poczekała, aż wsiądzie do windy, po czym poprosiła:

— Proszę mi wyjaśnić jeszcze jedno, Sam!

— Co takiego?

Ich spojrzenia spotkały się w chwili, gdy drzwi windy się zamykały. — Dlaczego ciągle te same kobiety mają szczęście?

*

Winda zatrzymała się w holu szpitala. Przeszklony i ozdobiony roślinami przypominał ogród zimowy. Sam przeszedł o kulach przez patio na oddział, na który przyjęto Jodie. Zanim spotka się z Juliette, chciał się upewnić, że dziewczyna jest pod dobrą opieką.

Na parę sekund zatrzymał się przed szklaną ścianą, żeby popatrzeć na śnieg. Lubił szpital w nocy, kiedy zamierał całodzienny ruch. Znał ten budynek na pamięć. To była jego przestrzeń, może jedyna na ziemi, gdzie czuł się na swoim miejscu i gdzie był potrzebny.

Na końcu korytarza delikatnie otworzył drzwi sali wskazanej przez pielęgniarkę.

Jodie spała niespokojnym snem. Przy łóżku czuwał Mark Rutelli, stojąc z założonymi rękami obok krzesła. Miał oko tygrysa, zawsze czujnego, gotowego skoczyć w razie niebezpieczeństwa, które mogłoby zagrozić jego podopiecznej.

Powitał Sama klepnięciem w plecy. Nie rozmawiali ze sobą od czasu zakończenia strzelaniny, ale obaj wiedzieli, że łączy ich jakaś dziwna więź. Ściągnięciem brwi Rutelli spytał o ranę, a Sam pokręcił głową z miną człowieka, który widział gorsze rzeczy.

Podszedł do Jodie. Przykryta była prześcieradłem i kocem, spod których wystawała prawie przezroczysta twarz.

Mała lampka na nocnym stoliku rzucała kojące światło.

Sam sprawdził odruchowo, czy kroplówka jest dobrze podłączona, i zerknął na kartę zawieszoną w nogach łóżka.

— Trzeba będzie znaleźć jakiś sposób, żeby ją z tego definitywnie wyciągnąć — wyszeptał Rutelli z niepokojem w głosie. — W przeciwnym razie wcześniej czy później źle się to skończy.

Sam miał już gotową odpowiedź.

— Zajmę się tym — obiecał. — Znam ośrodek w Connecticut. Naprawdę świetna placówka.

Ponieważ jest w nim mało miejsc, jutro tam zadzwonię.

Rutelli odburknął coś na znak wdzięczności, po czym obaj pograżyli się w ciszy nocy do chwili, gdy policjant rozkazał:

— Teraz niech pan idzie się położyć. Nawet bohaterowie muszą czasem spać. Poza tym ma pan gębę jak ekshumowany.

— A oglądał pan swoją? — mruknął Sam, opuszczając pokój.

*

Drżąc na całym ciele, Juliette krążyła tam i z powrotem po mieszkaniu. Od czasu popołudniowej sprzeczki nie miała żadnych wieści od Sama. Za każdym razem, kiedy próbowała zadzwonić na jego komórkę, odzywała się poczta głosowa. Postanowiła więc pójść do jego domu.

Przyłożyła czoło do zimnej szyby i patrzyła na błyskające w oddali światła. Nawet gdyby ich historia miała się na tym zakończyć, musi porozmawiać z nim ostatni raz, żeby wszystko wyjaśnić. Nie wiedziała, co myśleć o tej „innej kobiecie”, ale jedno było pewne: miała Samowi za złe, że ją okłamywał.

Juliette zapaliła kilka świec i w salonie rozblęsnęło łagodne światło, które niestety przypomniało jej ich pierwszą miłosną noc. Czym prędzej odegnęła od siebie te myśli. To nie jest odpowiednia chwila na sentymenty. Zarzucała sobie, że uwierzyła w miłość, podczas gdy dobrze wiedziała, jakie kryje zasadzki i rozczarowania. Będąc osobą czytanną, powinna była raczej posłuchać ostrzeżeń Kanta i Stendhala: miłość powoduje udrękę i cierpienie; miłość jest tylko złudnym słońcem, narkotykiem, który nas odurza. Wydaje nam się, że kochamy kogoś za to, kim jest, ale w rzeczywistości kochamy tylko ideę miłości.

Żeby skierować myśli na inny tor, włączyła telewizor na kanale informacyjnym. Na piersi prezenterki, pulchnej brunetki w typie „monicalewinsky” migotał czerwony napis: *Terror Alert in New York*. Komentowała właśnie główny temat dnia: policja udaremniła zamach na placu Waszyngtona. Reportaż zainscenizowany jak czołówka filmu akcji pokazywał przedziwną przygodę piętnastoletniej dziewczyny, zamienionej przez jakiegoś psychopatę w ludzką bombę. Nawołując do zachowania ostrożności, prezenterka wypowiedziała ponownie słowa budzące strach: Al-Kaida, sarin, brudna bomba, węglik...

Podczas pobytu w Nowym Jorku Juliette zdążyła przywyknąć do tego typu dramatycznych informacji. Znudzona, przycisnęła wyłącznik na pilocie, żeby przerwać tę litanie.

*

W holu szpitala obok dystrybutorów z napojami ciągnął się szereg budek telefonicznych. Sam wygrzebał z kieszeni kilka monet. Musi jakoś znaleźć Juliette. Na wszelki

wypadek wybrał numer Colleen, która jednak nie wiedziała, gdzie jest przyjaciółka, i Sam pożałował, że janiepokoił.

Trochę zły na siebie, wyszedł na parking i wsiadł do jednej z taksówek oczekujących na pacjentów. Drżał z zimna. Płaszcz został w samochodzie. Z powodu opatrunku Sam nie mógł zdjąć szpitalnej koszuli i za jedyne ciepłe okrycie mogła mu teraz służyć marynarka.

— Czy wszystko w porządku, proszę pana? — zaniepokoił się kierowca, przyglądając mu się we wstecznym lusterku.

— W porządku — zapewnił go Sam, wtulając się w siedzenie.

Taksówka ruszyła. W radiu śpiewała Cesaria Evora.

Sam przyłożył rękę do czoła i stwierdził, że ma gorączkę. Był wykończony. Ten dzień zaliczał się do najbardziej wyczerpujących w jego dotychczasowym życiu. Śmierć Grace wstrząsnęła nim do głębi, poza tym nie widział żadnego sensu w tym, co mu się przydarzyło.

Kołysany głosem piosenkarki z Zielonego Przylądka zamknął oczy i pogrążył się w niespokojnej drzemce.

*

Wystarczyło nieodkryte okno, przeciąg, trzaśnięcie drzwi, żeby Juliette poczuła dreszcze.

Przyszła tu, żeby oznajmić Samowi, że jest w ciąży. Była mu winna prawdę i bez względu na to, jak on zareaguje, postanowiła urodzić dziecko. Zastanawiała się nad tym przez całe popołudnie. Ku jej wielkiemu zdziwieniu decyzja ta była czymś oczywistym i teraz Juliette zdała sobie sprawę, że wiedziała od zawsze, iż kiedyś tak się stanie.

Pomimo niepewnego jutra.

Pomimo cierpienia świata i szaleństwa ludzi.

Zziębnięta próbowała — na próżno — podkreślić ogrzewanie. Chcąc jakoś się rozgrzać, włożyła jedną z marynarek Sama leżącą na oparciu fotela i tak ubrana, skuliła się w rogu kanapy. Poczowała zapach Sama, od którego ścisnęło się jej serce. Z emocji dostała gęsiej skórki, jakby pod wpływem lodowatej cieczy mrożącej gwałtownie każdy gest.

Rękawem otarła łzę spływającą po policzku.

Do jasnej cholery! Dlaczego jakiś facet doprowadza mnie do takiego stanu?

Przez łzy dojrzała zmiętą kartkę wystającą z kieszeni marynarki. Rozprostowała ją: była to kserokopia artykułu z gazety relacjonującego sensacyjne wydarzenie sprzed dziesięciu lat.

GraceCostello, detektyw z 36. okręgu, została ostatniej nocy znaleziona martwa za kierownicą swojego samochodu. Została zabita strzałem w głowę. Okoliczności jej śmierci nadal pozostają niewyjaśnione...

Juliette przebiegła roztargnionym wzrokiem pierwsze linijki tekstu, potem spojrzała na dwa zdjęcia, którymi opatrzony był artykuł, i rozpoznała na nich kobietę towarzyszącą Samowi wczesnym popołudniem. Przetarła oczy: nie mogło być mowy o pomyłce. To ta sama osoba.

Dlaczego jednak przez te wszystkie lata nie przybyła jej ani jedna zmarszczka? Co robiła na ulicach Manhattanu, skoro zginęła dziesięć lat temu?

Gdy Juliette dręczyła się tymi pytaniami, usłyszała

odgłos otwieranych drzwi wejściowych. Podbiegła do schodów i zdziwiła się niepomiarnie, widząc Sama opierającego się na dwóch kulach i poprawiającego opatrunek na ramieniu. W jednej chwili złość, jaka wzbierała w niej przez cały dzień, zamieniła się w niepokój.

— Co ci się stało?

Przyciągnął Juliette do siebie i wtulił twarz w jej szyję. Zapach jej włosów był pierwszym momentem wytchnienia w tym okropnym dniu. Wyzwoliła się z jego objęć.

— Jesteś cały rozpalony — stwierdziła, kładąc dłoń na jego policzku.

— Wszystko będzie dobrze — pocieszył ją. Pomogła mu wejść po schodach i kiedy dotarł do salonu,

od razu zauważył kawałek gazety leżący na stole.

— Kim jest ta kobieta, Sam? — spytała Juliette przez ściśnięte gardło.

— To była policjantka — wyjaśnił, zdecydowany więcej nie kłamać, ale nadal niezdecydowany, czy powiedzieć prawdę. — Znajoma, która poprosiła mnie o pomoc w odnalezieniu córki.

— Przecież ona od dziesięciu lat nie żyje!

— Nie, umarła dopiero dzisiaj.

Chciał znów wziąć ją w ramiona, ale odepchnęła go.

— Nic nie rozumiem — zdołała wykrztusić.

— Posłuchaj, nie mogę powiedzieć ci niczego więcej, proszę tylko, żebyś mi zaufała. Przysięgam ci, że ta kobieta nie jest moją kochanką, jeśli tego się obawiasz.

— Trochę się obawiam!

Sam uświadomił sobie, że jest jej winien szczere wyjaśnienie. W ogólnych zarysach przedstawił więc historię Jodie i jej porwania przez Sępa. Opowiedział, w jaki sposób zginęła Grace i jak Mark Rutelli uratował go od

śmierci. Żeby jakoś wyjaśnić, dlaczego w artykule jest mowa o śmierci Grace, wymyślił naprędce, że otrzymała nową tożsamość w ramach programu ochrony świadków. Było to jedyne odstępstwo od prawdy.

— O mało nie zginąłeś! — wyszeptała Juliette, kiedy Sam skończył opowiadać.

— Rzeczywiście tak było. Kiedy ten szaleniec wycelował we mnie pistolet, myślałem, że zaraz umrę, i wtedy pomyślałem, że...

Zamilkł, zrobił parę kroków w stronę Juliette i pogłaskał ją po twarzy.

— Pomyślałeś o czym?

— Że kiedy wreszcie znalazłem kobietę, którą mógłbym pokochać, nie zdążyłem jej o tym powiedzieć.

Podniosła głowę, pocałowała go leciutko i wtuliła się w jego ramiona.

Między dwoma namiętymi pocałunkami zdołał wyszeptać:

— Chciałem cię o coś poprosić...

— Słucham cię — odpowiedziała, przygryzając mu wargę.

Rozpiął pierwsze guziki jej bluzki.

— Pewnie uznasz mnie za wariata, ale...

— Mimo to mów dalej.

— Może zrobilibyśmy sobie dziecko?

*

Godziną później

Sam i Juliette leżeli na kanapie ukojeni. Ich nogi splątały się, a ciała wtopiły w siebie.

Podkręcili ogrzewanie do maksimum i otworzyli butelkę wina. Z gramofonu na cały głos rozbrzmiewała *Angie* Rolling Stonesów.

Sam otworzył oczy i stwierdził, że Juliette usnęła z głową przytuloną do jego piersi. Długi kosmyk blond włosów spływał po jej policzku. Koniuszkami palców pogłaskał jej piersi, które unosiły się w rytm oddechu, lekkiego i regularnego. W obecności Juliette doznawał uczucia magicznego spokoju. Starał się nie poruszać, żeby jej nie obudzić, i tylko położył rękę na jej brzuchu. Dziecko! Będzie miał dziecko! Kiedy Juliette mu o tym powiedziała, rozplakał się z radości. Zdecydowanie przeżywał najbardziej nieoczekiwany i najbardziej intensywny dzień w życiu. A jednak nie mógł się odprężyć. Zapewne dlatego, że nie ufał szczęściu.

Kiedy wszystko układa się zbyt dobrze, zazwyczaj nie trwa długo, myślał sobie, kiedy nagle z tego letargu wyrwał go agresywny dzwonek domofonu.

Juliette się obudziła. Owinęła się kołdrą i w mgnieniu oka odzyskała wigor.

— Chcesz, żebym ja odebrała?

— Dobrze — zgodził się Sam, któremu trudno było się podnieść z powodu odniesionej rany.

Wziął pilota od wieży stereo i jednym naciśnięciem zamknął usta Mickowi Jaggerowi.

— To jakiś sąsiad — oznajmiła Juliette, wróciwszy do pokoju. — Twierdzi, że twój samochód stoi na jego miejscu parkingowym.

Sam zmarszczył brwi. Jaki sąsiad?

Poza tym, w jaki sposób jego samochód mógł się tutaj znaleźć, skoro został w garażu Sępa?

Nagły niepokój, ten sam, jaki odczuwał kilka minut temu, ogarnął go na powrót z jeszcze większą siłą.

— Pozwól mi pójść to sprawdzić — powiedział, zakładając szlafrok, a potem płaszcz.

Zszedł po schodach, otworzył drzwi i znalazł się na ulicy. Noc była zimna i roziskrzona.

— Jest tu ktoś? — krzyknął. Jednak nikt nie odpowiedział.

Czapa mgły zawisła nad całą dzielnicą. Sam zrobił kilka kroków w ciemnościach, prawie po omacku.

— Galloway...

Odwrócił się oszołomiony dźwiękiem wołającego go głosu; Grace Costello stała oparta o latarnię i patrzyła na niego ze smutkiem. Jej twarz, oświetlona białym światłem, błyszczała, jakby była z porcelany.

— Grace?

Z niedowierzaniem podszedł bliżej.

To niemożliwe! Przecież widział jej ciało podziurawione kulami, leżące na posadzce! Sęp nie strzelał ślepymi nabojami, najlepiej świadczyły o tym jego ramię i przednia szyba samochodu.

— Ja nie... ja nie rozumiem.

Jako lekarz często bywał świadkiem niespodziewanych cudownych wyzdrowień, ale nikt nie mógł stanąć na nogi po tym, jak dostał serię z broni automatycznej.

— Więc pani nie jest...

Grace rozchyliła kurtkę i rozerwała dwa rzepy, na które zapięta była kamizelka kuloodporna. Zdjęła ciężką osłonę ściskającą klatkę piersiową i rzuciła pod nogi Sama.

— Bardzo mi przykro, Sam.

Na te słowa coś w nim pękło. Jeszcze nigdy jego zdrowy rozsądek nie został poddany takiej próbie. Nagle wszystko

zaczęło się rozpadać, mieszać: smutek i poczucie winy, jakie odczuwał po śmierci Federiki; szok po zetknięciu ze śmiercią w szponach Sępa; traumatyczne wspomnienia z przeszłości, od których pragnął uciec i które wciąż powracały; wielka radość, jaką poczuł na wiadomość, że Juliette spodziewa się dziecka; a teraz pojawienie się Grace, którą uważał za martwą.

Usiadł na schodach pokrytych śniegiem, objął głowę rękami i zapłakał ze strachu, wściekłości i bezsilności.

— Przykro mi—powtórzyła Grace — ale uprzedzałam pana: zostanę tu tak długo, aż zakończę swoją misję. Nie mogę wrócić bez Juliette.

— Nie teraz! — błagał. — Niech pani mi jej teraz nie zabiera!

— Termin pozostał bez zmian, Sam. Pojutrze przy kolejce linowej na Roosevelt Island.

Podniósł się z trudem. Odezwał się ból w ramieniu, ale nie to było w tej chwili ważne.

— Na to, co się ma wydarzyć, nie mam żadnego wpływu — wyjaśniła Grace, oddalając się.

Zrozpaczony Sam krzyknął za nią:

— Nigdy do tego nie dopuszczę!

— Porozmawiamy jeszcze o tym, ale nie teraz.

— W takim razie kiedy?

— Niech pan przyjdzie jutro rano do Battery Park! Pomimo wzajemnej wrogości dosłyszał w jej głosie

współczucie, jakby to on był chory, a ona go pielęgnowała. W końcu, czy to wszystko jest naprawdę takie zaskakujące? Czyż w głębi duszy nie był zawsze przekonany, iż nie będzie mógł cieszyć się długo chwilami szczęścia, jakby jakieś przekleństwo, w którym nie widział żadnego sensu, uporczywie czepiało się każdego jego kroku?

Zanim Grace na dobre znikła w ciemnościach nocy, wypowiedziała jeszcze ostatnie zdanie:
— Wolałabym tu nie wracać, Sam, wolałabym, żeby to wszystko zakończyło się inaczej...
I Sam zrozumiał, że mówiła szczerze.

Nic nie jest pewniejsze od śmierci, Nic nie jest mniej pewne od jej godziny.

Ambroise Pare

Piątek

godzina 8.12 rano

Grace postawiła kołnierz kurtki. Przez Bartery Park przelatywały podmuchy silnego wiatru.

Niewielki ogród na południowym krańcu Manhattanu tworzył zieloną wysepkę, wciśniętą pomiędzy brzeg morza i wieżowce Wall Street. Grace minęła park i wyszła na długą promenadę biegnącą wzdłuż rzeki, skąd rozciągał się zapierający dech w piersiach widok. Pomimo zimna i wczesnej pory pełno tu było turystów i amatorów joggingu. Grace usiadła na ławce i na moment pogrążyła się w kontemplacji zatoki, po której krążyły liczne barki i promy.

Rześkie powietrze i chłód szczypały w oczy i wywoływały lekki dreszcz na całym ciele. Od kiedy tu wróciła, z niezwykłą ostrością dostrzegała takie szczegóły jak kolor nieba, krzyk mew, wiatr we włosach... Wiedziała, że jej pobyt w tym miejscu dobiega końca i wkrótce będzie

musiała rozstać się z tym wszystkim, co stanowiło o smaku egzystencji. Tymczasem od kiedy zobaczyła córkę, ponownie nabrała apetytu na życie, i to właśnie czyniło ją bardziej wrażliwą i bardziej bezbronną. Oczywiście miała świadomość, że nie uniknie wypełnienia swojej misji i że będzie musiała doprowadzić ją do końca, ale myślenie o tym stawało się coraz trudniejsze i dręczyło ją mnóstwo wątpliwości. Dlaczego nadal nie może przypomnieć sobie dokładnie kilku dni, które poprzedziły jej śmierć? Dlaczego sekcja zwłok wykazała obecność narkotyków w jej organizmie? A zwłaszcza dlaczego właśnie ją wybrano do wypełnienia tej dziwnej misji, w której nie mogła doszukać się sensu?

*

Kiedy Sam otworzył oczy, Juliette już przy nim nie było. Czuwali do białego rana, ale on z pierwszym blaskiem świtu pogrążył się w półśnie pod wpływem zażytych środków przeciwbólowych.

W panice zerwał się na równe nogi, ale uspokoił się zaraz na widok karteczki leżącej na poduszce.

Moje Kochanie,

Muszę pójść do konsulatu, żeby załatwić swoje sprawy. Zobaczymy się później. Dbaj o siebie.

Kocham Cię.

Juliette

PS: Zaczynij już myśleć o imieniu dla naszego dzidziusia. Mnie podoba się

Matteo, jeśli to będzie chłopiec, a dla dziewczynki — Alicja. A może Jimmy i Violette?
Z bólem w sercu Sam położył głowę na poduszce w poszukiwaniu zapachu kobiety, którą kochał.
Następnie poszedł do łazienki, gdzie na lustrze czekał na niego napis wykaligrafowany szminką do ust:

A może Adriano i Céleste? Albo Mathis i Angèle?

A jeśli to będą bliźnięta?, pomyślał nagle, podejmując tę grę.

W kuchni zauważył, że magnetyczne napisy na lodówce w kształcie zwierząt z dżungli zmieniły miejsce i utworzyły nowe słowa: Guilermo, potem niżej — Claire-Lise, i zastanawiał się, jak je wymówić po francusku.

Ubrał się, jak mógł najstaranniej, pomimo opatrunku na ramieniu, i wyszedł na ulicę. Z uwagi na wczesną porę bez trudu złapał taksówkę.

— Do Bartery Park — rzucił do kierowcy.

Wysiadł na wysokości wież Dolnego Manhattanu. Czuł pustkę w żołądku. Zdał sobie sprawę, że nie jadł od dwudziestu czterech godzin, wstąpił więc do pierwszego z brzegu Starbucksa, gdzie zamówił nowojorskie śniadanie: bajgla i dużą kawę, którą wypił, idąc ulicą.

Odezwała się jego komórka. Ktoś nagrał się na pocztę głosową. To Juliette proponowała:

„A co powiesz na takie imiona jak: Manon albo Emma, albo Lucie, Hugo, Clément, Valentin, Garance, Tony, Susan, Constance, Adèle"...

Zareagował grymasem, sfrustrowany, że nie może dzielić z nią tego, co powinno być ich wspólną chwilą radości.

Powłócząc nogą, okrążył Castle Clinton, niewielki fort w centrum parku, niegdyś służący do obrony portu, a obecnie przekształcony w kasę biletową dla promów. Wychodząc z domu, nie wziął kul i teraz tego żałował.

Podchodził właśnie łagodnym wzniesieniem, kiedy dojrzał Grace idącą mu naprzeciw. Znów nie mógł powstrzymać zdziwienia, że widzi ją żywą. Budząc się tego ranka, zapragnął, żeby ich wczorajsze spotkanie odbyło się jedynie w jego wyobraźni. Nic dziwnego, przecież miał gorączkę i majaczył we śnie.

Ale koniec z marzeniami.

Zmieszana Grace położyła rękę na jego ramieniu i niezbyt zręcznie powiedziała:

— Mam nadzieję, że nie bardzo cierpi pan z powodu odniesionych ran.

— Jak pani widzi, jestem w świetnej formie — odparł tonem ni to agresywnym, ni to zawiedzionym.

— Co pani powie na partyjkę sąuasha?

— Tak bardzo mi przykro, Sam.

— Niech pani przestanie powtarzać, że jest pani przykro! — wybuchnął. — To zbyt łatwe! Łąduje pani znienacka w moim życiu, oznajmia, że kobieta, którą kocham, wkrótce umrze, i jeszcze by pani chciała, żebym z radości zatańczył sambę!

— Ma pan rację — przyznała.

Oboje dygotali z zimna. Dla rozgrzewki wtopili się w tłum pasażerów podążających w kierunku przystani promowej na Staten Island. Sam starał się ukryć, że chodzi

z wielkim trudem, ale nie uszło to uwagi Grace. Chciała mu pomóc, ale ją odepchnął. Jeden z promów stał przy nabrzeżu gotowy do drogi. Bez słowa zdecydowali się na niego wsiąść. Trasa była krótka, przejazd bezpłatny, a prom ogrzewany. Stateczek był prawie pełen. Pomimo chłodu Sam zajął miejsce na tylnym pomoście, gdzie wkrótce dołączyła do niego Grace. Jak podczas ich pierwszego spotkania, podała mu kubek z kawą. — To podobno najgorsza kawa w Nowym Jorku. Podgrzewana przez cały dzień w wielkich metalowych cysternach... Sam wziął od niej kubek i upił łyk. — Rzeczywiście, ciekawy smak — mruknął, krzywiąc się. Ale trzymając gorący kubek z tą lurą, można było ogrzać sobie ręce. Stali obok siebie, popijając, ze wzrokiem utkwionym w niebieskawym horyzoncie. Grace wpatrywała się w Ellis Island i doki Brooklynu, jakby widziała je po raz pierwszy w życiu. Sam zapalił papierosa i zaciągnął się głęboko. Parę węzłów dalej Statua Wolności wystawiała swoją pochodnię na wiatr. Po kilku minutach Grace spróbowała ponownie nawiązać rozmowę. — Wie pan co, Sam, gdybym odmówiła wypełnienia misji, oni wysłaliby kogoś innego. — Kogoś innego? — Innego emisariusza, żeby naprawić pomyłkę... — Żeby naprawić pomyłkę! Przypominam, że mówi pani o moim życiu i o życiu Juliette! — Mam tego świadomość, ale już to panu tłumaczy-

łam: Juliette musi umrzeć i po to właśnie mnie tu przysłano. Nie prosiłam o tę misję i proszę mi wierzyć, że nie wypełniam jej z radością w sercu. Po raz któryś Sam spróbował bronić tej, którą kochał.

— Nie mogę słuchać tego gadania o przeznaczeniu. Przez całe życie walczyłem, żeby nie stać się niewolnikiem determinizmu. Wiele wskazywało na to, że mogę skończyć jako przestępca, ale ze wszystkich sił starałem się zostać kimś innym i szczęśliwie udało mi się to!

— Już o tym rozmawialiśmy, Sam. Nigdy nie mówiłam, że ludzkie czyny są przewidziane w najdrobniejszych szczegółach ani że życie jest realizacją wcześniej napisanego scenariusza.

Spojrzała mu w oczy i dodała:

— Chcę natomiast powiedzieć, że są rzeczy, których nie można uniknąć.

Sam wyczerpał swoje argumenty. Już wczoraj wieczorem, kiedy zobaczył Grace po strzelaninie, zrozumiał, że jego walka jest z góry przegrana. Niemniej jednak dorzucił coś, co było krzykiem serca:

— Ale ja ją kocham!

Grace popatrzyła na niego z pobłażaniem.

— Dobrze pan wie, że miłość nie jest wystarczającą ochroną przed śmiercią. Kochałam swoją córeczkę, kochałam Marka, ale to nie przeszkodziło, żeby ktoś wpakował mi kulę w łeb...

Zamyśliła się na chwilę, a potem mówiła dalej, jakby sama do siebie:

— Najbardziej żałuję tego, że nie zdążyłam powiedzieć mu, że go kocham...

Sam zapalił drugiego papierosa, ale trzymał go tylko w palcach, zafascynowany tym, co mówi Grace. Prom

powoli dobił do Staten Island, lecz większość pasażerów pozostała na pokładzie, żeby wrócić na Manhattan.

Teraz, kiedy Sam zmuszony był pogodzić się z niewiarygodną historią Grace, nie przestawał zadawać sobie pytań o naturę życia i śmierci. Zastanawiał się nad tym przez sporą część nocy, ale pytania powracały bez przerwy, zarazem niepokojące i ekscytujące. Czy ludzkie życie jest celem samym w sobie, czy też wyłącznie mechanizmem biologicznym? A śmierć? Czy jest pozbawiona sensu, czy raczej otwiera nam drogę do innego życia, jakiegoś miejsca, do którego wszyscy zdążamy?

Od kiedy w młodości strzelił do człowieka, nie potrafił pogodzić się ze śmiercią i w jej obliczu za każdym razem czuł się z czegoś okradziony. Przed oczami miał twarz Federiki, której nie potrafił uratować, potem Angeli, małej pacjentki, którą dopiero co stracił. Pomyślał nawet o Sepie i obraz jego gwałtownej śmierci nie chciał go opuścić. Gdzie oni wszyscy teraz są?

Często dyskutował z azjatyckimi pacjentami, którzy wierzyli, że coś w nas nigdy nie umiera i nadal żyje pod inną postacią. Poruszały go opowiadania tych, którzy przeszli śmierć kliniczną i mówili o świetlnym tunelu, uczuciu błogości i o spotkaniach z bliskimi zmarłymi... Jednak nic nie mogło go przekonać, ani te opowieści, ani piękne słowa ojca Hathawaya, który nakłaniał go do poszukiwania Boga i gotów był zakładać się z nim o jego istnienie.

Jednak dzisiejsze spotkanie z Grace objawiło mu nowe horyzonty. Skoro ona przeszła na drugą stronę, będzie mogła wyjawić mu wielką tajemnicę.

Z mieszaniną ciekawości i lęku zapytał:

— Co dzieje się potem, Grace?

— Po czym?

— Dobrze pani wie, o czym mówię.

Nie odpowiedziała od razu. Ale wiedziała, co Sam ma na myśli. Zresztą spodziewała się, że wcześniej czy później zada to pytanie.

— Po śmierci? Przykro mi, że pana rozczaruję, ale niczego nie pamiętam.

— Trudno mi w to uwierzyć...

— A jednak to prawda.

— Niczego pani nie zapamiętała z tych dziesięciu lat?

— To zupełnie tak, jakby tych lat nigdy nie było.

— A zatem śmierć to ogromna czarna dziura...

— Wcale nie. To, że ja niczego nie pamiętam, nie oznacza bynajmniej, że niczego tam nie ma, w przeciwnym razie nie byłabym tutaj. Myślę raczej, że kiedy emisariusze są wysyłani na ziemię, nawet dla nich śmierć musi być tajemnicą. To dlatego, że za życia ludzie nigdy nie będą mieli dostępu do tego, co jest potem. Wiem tylko tyle, że nie jesteśmy tu przypadkiem.

Widząc jego zmieszanie, dodała łagodniej:

— Niech pan nie myśli, że mnie to nie przeraża! Czuję się bezbronna i bezsilna i nie ukrywam, że boję się tam wrócić. Jednego jestem jednak pewna: mam do wypełnienia określoną misję i poza nią nie mogę wkraczać w życie ludzi.

— Tymczasem nie przeszkadzało to pani, kiedy w grę wchodziło ratowanie córki!

— To prawda — przyznała Grace — i starając się odnaleźć Jodie, naruszyłam częściowo warunki mojego zadania...

Sam wzruszył ramionami. Jego komórka odezwała się w chwili, gdy statek manewrował u wejścia do portu.

— Tak?

Dzwoniła Juliette. Odbiór był zakłócony, a jej głos zdawał się dobiegać z daleka. Na pomoście wiał silny wiatr i Sam zdołał uchwycić zaledwie kilka słów: „już tęsknię...”, „kocham cię...”, „nie przezięb się...”, a potem seria nowych imion: „Jorge, Margaux i Apolline...”. Reszta była jeszcze bardziej nieuchwytna, jakby na znak, że Juliette już mu się wymyka.

Kiedy pierwsi pasażerowie zaczęli wysiadać, Sam zdecydował się wyłożyć ostatnią kartę. W ostatnich dniach często zastanawiał się nad ewentualnością, z którą trudno mu się było pogodzić. Już tamtego wieczoru, gdy oglądał rysunki Angeli i odczytał ukryte w nich przesłanie, zrozumiał, że ze spotkania z Grace Costello nie wyjdzie bez szwanku. Pomimo wszystko rozważył różne możliwości uratowania Juliette i doszedł do wniosku, że jest tylko jedno wyjście z tej sytuacji.

— Jeśli koniecznie musi pani kogoś stąd zabrać, jeśli naprawdę musi pani uszanować ten porządek rzeczy...

— To co?

— W takim razie proszę zabrać mnie! Proszę się zgodzić, żebym to ja wsiadł z panią do kolejki linowej zamiast Juliette.

Grace popatrzyła mu prosto w oczy. Na jej twarzy malowała się dziwna słodycz, jakby propozycja Sama wcale jej nie zdziwiła.

Jednak przez kilka sekund nie odpowiadała. Sam otworzył usta, żeby coś dodać, ale się rozmyślił.

— Tu chodzi o pańskie życie — odpowiedziała w końcu. — Takiej decyzji nie podejmuje się ot tak sobie, i w ostatniej chwili mógłby pan jej żałować.

— Myślałem o tym dostatecznie długo. Kiedyś, żeby

uratować Federicę, popełniłem zbrodnię, ale nie uratowałem jej. Za to zgubiłem samego siebie. Teraz wiem, że aby uratować Juliette, nie pozostaje mi nic innego, jak oddać za nią życie. Proszę je wziąć — błagał Sam.

— W porządku. W takim razie niech pan przyjdzie. Wiatr przybrał na sile. Sam starał się nie okazywać

wzruszenia, jednak poczuł, że drżą mu nogi.

— Spotkamy się przy stacji kolejki na Roosevelt Island, tak?

— Tak, jutro o trzynastej — uściśliła Grace.

— A gdybym chciał przedtem się z panią skontaktować?

— Sama dam panu znak.

— Nie, Grace — powiedział, wyjmując komórkę — odtąd nie tylko pani ustala zasady gry.

Zanim zdążyła zaprotestować, włożył telefon do kieszeni jej kurtki i wysiadł z promu.

Grace stała na pomoście jeszcze przez kilka minut. Patrzyła z góry na oddalającego się Sama.

Jak dotąd wszystko przebiegało tak, jak przewidywała.

Chciałoby się wrócić na stronicę o miłości, Tymczasem trafiamy na stronicę o śmierci.

Lamartine

Wczesne popołudnie, szpital Świętego Mateusza

Szpitalny pokój Jodie Costello pogrążony był w półmroku. Drzwi otworzyły się cicho i w szparze ukazała się czyjaś głowa. Upewniwszy się, że dziewczyna śpi, Grace podeszła na palcach do łóżka. Położyła leciutko drżącą rękę na czole córki. Do głębi poruszona, stała bez ruchu. Tylko po jej policzkach spływały łzy. Było to uczucie, jakiego nie doznała nigdy przedtem: wielka radość, że wreszcie odnalazła Jodie, pomieszana z ogromnym bólem, że nie może z nią porozmawiać. Przez moment miała zamiar ją obudzić, żeby powiedzieć, jak bardzo ją kocha i jak bardzo żałuje tego, co się stało. Wiedziała jednak, że nie ma prawa tak postąpić. Jodie potrzebowała przede wszystkim spokoju, a nie kolejnego szoku. Ograniczyła się zatem do wyszeptania:
— Przebacz mi, że nie byłam z tobą przez te wszystkie

lata... — Wzięła ją za rękę. — Mam nadzieję, że odtąd wszystko potoczy się dla ciebie lepiej. Jodie spała lekkim snem. Poruszyła się i wymamrotała kilka niezrozumiałych słów. Na nocnym stoliku Grace zauważyła zdjęcie, które sama zawsze nosiła w portfelu.

Doskonale pamiętała dzień z początku lat dziewięćdziesiątych, kiedy ta fotografia została zrobiona... To był przepiękny jesienny dzień, niedziela. Grace i Mark Rutelli postanowili skorzystać ze słońca i spędzić ją na wyspie Nantucket, na południe od Bostonu. Zatrzymali się na plaży Madaket, ulubionej przez surferów, i rozłożyli się nad brzegiem oceanu. Obok nich, chrupiąc ciasteczko Oreo, bawiła się w piasku Jodie, która właśnie skończyła rok.

Ze starego odbiornika radiowego płynęła piosenka Simona i Garfunkela, która mówiła o sile szczerego przywiązania. Grace zamknęła oczy. Czuła się wspaniale. Spokojna, ukołyszana szumem fal i owiana podmuchami ciepłej bryzy.

Potem zjedli lunch na powietrzu: kanapki z rybą, tartę z kurczakiem, a na deser — żeby zrobić przyjemność Jodie — ciasto z jagodami polane syropem klonowym.

Tamtego dnia dyskutowali również o swojej przyszłości w policji. Jeden z ich dawnych kolegów, który założył własną firmę ochroniarską, zaproponował im pracę u siebie, lepiej płatną i mniej niebezpieczną niż praca w policji.

Doświadczony trudami życia policjanta Rutelli gotów był przyjąć propozycję, ale w przypadku Grace nie wchodziło to w grę.

— Lubię tę robotę, Marko. Kocham pracować w terenie...

— Lubisz kiepsko zarabiać, jeździć zdezelowaną bryką i mieszkać w nędznym mieszkanku?
— Nie przesadzaj. Moje mieszkanie wcale nie jest nędzne!
— W każdym razie ta robota jest zbyt niebezpieczna. Zwłaszcza dla kobiety!
— No tak! Jesteśmy w domu! Ty i twoje seksistowskie argumenty!
— Nigdy nie używam takich argumentów!
— Ta praca jest tym, co lubię robić. Nie chcę zajęcia dla emerytowanych dziadków. Lubię czuć, że narażam się na niebezpieczeństwo, żeby ratować innych...
— Zbyt wiele ryzykujesz, Grace. Masz teraz dziecko, więc pomyśl o nim!
— Wierzę w swoją dobrą gwiazdę.
— Któregoś dnia szczęście może cię opuścić.
— Kiedy mnie opuści, to mnie opuści. Równie dobrze mogę zostać przejechana przez samochód, kiedy będę robiła zakupy na ulicy.
Rutelli wziął aparat fotograficzny i poprosił, żeby Grace pozowała mu z Jodie na tle oceanu.
— Nigdy nie zrezygnuję z tej pracy — oświadczyła Grace, biorąc córeczkę na ręce.
— W takim razie powinnaś być ostrożniejsza — powtórzył Rutelli. — Mamy tylko jedno życie.
Grace wzruszyła ramionami, posyłając mu uwodzicielski uśmiech.
— Kto to może wiedzieć, Marko? Kto to wie?
Skrzypnięcie otwieranych drzwi przywołało Grace do rzeczywistości. Pielęgniarka chciała tylko upewnić się,

że z Jodie wszystko w porządku, i zaraz opuściła pokój, nie zwracając uwagi na Grace. Ta odetchnęła z ulgą, ale zdała sobie sprawę, że zbytnio ryzykuje. Nie może przebywać tu w nieskończoność.

Jodie ponownie poruszyła się na łóżku, a Grace — podobnie jak robiła to kiedyś — zanuciła melodię Gershwina, która przypominała kołysankę i która miała wymowny tytuł: *Someone to watch over me*⁴.

Na pożegnanie pochyliła się nad łóżkiem i cichutko przyrzekła:

— Nie wiem, dokąd idę, nie wiem, co teraz będzie, mam tylko nadzieję, że coś ze mnie pozostanie z tobą, nawet jeśli nie będziesz mogła mnie zobaczyć ani usłyszeć...

Tym razem Jodie obudziła się i podskoczyła. Ktoś jest w jej pokoju! Otworzyła oczy i zapaliła nocną lampkę. Ale Grace już nie było.

*

Chelsea,

Trzydziesta Czwarta Ulica

Liczący sto tysięcy metrów kwadratowych i dziesięć pięter największy z największych sklepów na świecie, Macy's, zajmował cały kwartał domów na Siódmej Alei. To w tej świątyni zakupów Sam i Juliette spędzali popołudnie. Spacerując po SoHo i delektując się porcją lodów w Serendipity, robili plany na najbliższe pięćdziesiąt lat.

⁴ Jest ktoś, kto czuwa nade mną.

Doszli do porozumienia w sprawie imion swoich trojga dzieci, koloru okiennic i miejsc, w których będą spędzali wakacje.

Juliette promieniała szczęściem. Lekkim krokiem przemierzała alejki wielkiego sklepu, zachwycała się kołyskami, pluszowymi zwierzątkami i śpioszkami. Wykończony Sam zostawał nieco w tyle, ale próbował podzielać ten entuzjazm. Przez całe popołudnie rozmyślał o szczęściu, którego nigdy nie zazna, i teraz miał świadomość, że przeżywa jego ostatnie chwile. Pewność, że jutro o tej porze nie będzie go już na tym świecie, napawała go strachem. Jednak ani przez chwilę nie żałował propozycji, jaką złożył Grace. Sama myśl, że w ten sposób uratuje Juliette, przynosiła mu ulgę i wynagradzała poświęcenie.

Nie miał się co łudzić, przecież odpowiadał za śmierć dwóch mężczyzn. Nawet jeśli byli to dealerzy narkotyków, poczucie winy, jakie miał od tamtego czasu, zmarnowało mu życie. Mógł sobie mówić co chciał: w głębi duszy zawsze wiedział, że któregoś dnia przyjdzie mu za to zapłacić, a śmierć Federiki nie wystarczyła, by odkupić winy. To dlatego okłamał Juliette pierwszego wieczoru.

Wyrzuty sumienia były tak trudne do zniesienia, że zagrażały mu drogę do szczęścia. — Sam! Z drugiego końca sklepowej alejki Juliette machała w jego stronę, zafascynowana widokiem przeszło pięciometrowego pluszowego dinozaura. Odpowiedział jej uśmiechem, ale myślami był gdzie indziej.

Jakby już nie żył.

Kurwa, on umierał ze strachu! A przecież tyle razy towarzyszył swoim pacjentom do samych wrót śmierci. Trzymał za ręce ludzi pozbawionych rodziny, próbując

znaleźć słowa pociechy mające odpędzić przerażenie. W przypadku własnej śmierci nie było jednak tak samo.

Sam był zły. Wraz ze strachem odczuwał frustrację wywołaną pewnością, że nie zobaczy własnego dziecka. Czy będzie to chłopiec, czy dziewczynka? Nawet tego się nie dowie.

Tymczasem od wielu lat marzył o założeniu rodziny. Nigdy jej nie miał i bardzo z tego powodu cierpiał. Pragnął mieć dzieci, żeby zaistnieć na tym świecie. W otoczeniu coraz bardziej wrogim i odczłowieczonym chciał stworzyć silne więzi i zbudować przestrzeń wypełnioną uczuciem i bezpieczeństwem.

Ale miało być inaczej. Jutro zniknie. Juliette wróci zapewne do Francji i odbuduje swoje życie. Jego dziecko może nigdy się o nim nie dowie. A zresztajakie dziedzictwo mu zostawi? Nie miał żadnych dóbr materialnych, żadnego bogactwa, żadnego realnego świadectwa swojej bytności na ziemi.

Oczywiście wyleczył setki osób, ale kto będzie o tym pamiętał?

Nagle wpadł na pewien pomysł: dlaczego nie miałyby poślubić Juliette przed śmiercią? To jest wyjście! To będzie równoznaczne z oficjalnym uznaniem dziecka. Zastanawiał się przez parę chwil, potem wyjął komórkę pożyczoną od Juliette i zadzwonił do ratusza, żeby dowiedzieć się, jakie formalności należy załatwić. Czy mogą wziąć ślub tego wieczoru lub nazajutrz rano? W odpowiedzi usłyszał, że to nie Las Vegas i że każdy ślub w stanie Nowy Jork wymaga uzyskania *wedding license* i złożenia prośby w tej sprawie na dwadzieścia cztery godziny przed planowaną ceremonią. Było to logiczne: chciano w ten sposób zapobiec związkom zawierany pod wpływem chwilowej emocji. Sam rozłączył się wście-

kły. Nie miał przed sobą wymaganych dwudziestu czterech godzin.

— Czy zawsze będziesz mnie kochał?

Zatopiony w myślach podniósł głowę i zobaczył Juliette stojącą przed nim na palcach i czekającą na pocałunek.

— Zawsze — odpowiedział, całując ją.

Bardzo chciał, żeby to była prawda, ale — jak mówiła Grace Costello — z pewnością są w życiu rzeczy, których nie da się uniknąć.

Kiedy Juliette wsiadała pierwsza do taksówki, Samowi przyszła do głowy inna myśl.

— Nie będziesz miała nic przeciwko temu, żeby wrócić do domu sama? Chciałbym jeszcze wpaść do szpitala.

— A miałam nadzieję na wspólny wieczór!

— Daj mi tylko dwie godziny, proszę. To bardzo ważne.

Zrobiła rozczarowaną minę.

— Tylko dwie małe godzinki! — przyrzekł Sam, zamykając drzwiczki taksówki i posyłając jej całusa.

Spojrzał na zegarek. Jeszcze nie jest za późno. Jeśli się pospieszy, być może zdąży. Nie czekając na następną taksówkę, wbiegł do najbliższej stacji metra i wbrew temu, co powiedział Juliette, wcale nie udał się do szpitala, lecz do banku.

— Nasi doradcy finansowi przyjmują zazwyczaj umówionych wcześniej klientów — wyjaśnił mu pracownik recepcji. — Może jednak któryś z nich jest już wolny. Pójdę się dowiedzieć.

Sam czekał cierpliwie w pomieszczeniu pełniącym rolę poczekalni, gdzie można było zapoznać się z różnymi

broszurami. Kiedy więc wszedł do biura Eda Zicka Juniora, konsultanta do spraw inwestycji, mógł swobodnie przedstawić swój projekt.

— Co mogę dla pana zrobić?

— Chciałbym zawrzeć ubezpieczenie na wypadek śmierci — wyjaśnił Sam.

— Dla zabezpieczenia przyszłości naszych klientów mamy doskonałą opcję, prostą i niezbyt kosztowną — wyrecytował bankier.

Sam pokiwał głową i zachęcił go do kontynuowania.

— Czy zna pan zasady dotyczące ubezpieczeń na wypadek śmierci? Wpłaca pan składkę co miesiąc. Jeśli nic się panu nie stanie — i oby Bóg zechciał to sprawić — będzie pan płacił nadal. Jednak w przypadku pańskiej przedwczesnej śmierci zgromadzony kapitał przekazemy wskazanemu przez pana beneficjentowi: pańskiej małżonce, dzieciom albo... innej osobie. I bez opłat za nabycie prawa do spadku!

— Dokładnie o to mi chodzi.

W ciągu niecałej pół godziny dwaj mężczyźni uzgodnili wysokość składki, okres zawarcia ubezpieczenia, wysokość kwoty odszkodowania (siedemset pięćdziesiąt tysięcy dolarów) i osobę uposażoną (Juliette Beaumont).

Sam wypełnił kwestionariusz medyczny i zobowiązał się przejść nazajutrz badania lekarskie z analizą krwi włącznie. Z uwagi na jego wiek formalności były stosunkowo proste. Ed Zick przekazał mu listę stowarzyszonych lecznic, wśród których szczęśliwym trafem znajdował się również jego szpital. Będzie mógł zrobić sobie badania jutro z samego rana. Był jeszcze inny szczęśliwy zbieg okoliczności: Zick pracował w sobotę i zaproponował, że zatwierdzi dokumenty natychmiast po otrzymaniu stosownego faksu.

Kiedy Sam zamierzał złożyć podpis, konfidencjonalnym tonem bankier zasugerował mu dodatkową gwarancję: podwojenie kapitału w przypadku śmierci w wypadku.

Sam zmarszczył brwi i udał, że się zastanawia. Ukończył kurs z zakresu ekonomii medycznej i znał ten marketingowy chwyt. Statystycznie rzecz biorąc, jeden zgon na dwanaście lub trzynaście następował w wyniku wypadku. Ubezpieczyciele nie ponosili zatem wielkiego ryzyka, za to podwyższenie składek pozwalało na maksymalne zwiększenie wypłacanej kwoty.

— Zgoda — oznajmił Sam, myśląc o wypadku kolejki linowej, w którym miał zginąć.

Uśmiechnięty od ucha do ucha Ed Zick podał mu rękę, święcie przekonany, że bez trudu udało mu się oskubać tego idealnego wprost klienta.

Jutro nie będziesz się tak śmiał, pomyślał Sam, żegnając się. Była to jednak marna pociecha.

Kiedy znalazł się na ulicy, był przejmujący chłód i zaczynała zapadać noc. Na niebie pokazały się pierwsze gwiazdy.

Sam odetchnął z ulgą. Udało się chociaż zabezpieczyć przyszłość materialną Juliette i jego dziecka. Wiedział jednak, że pieniądze są często tylko pozornym rozwiązaniem.

*

Południowy Brooklyn, dzielnica Bensonhurst, wczesny wieczór

Mark Rutelli wdrapał się na drugie piętro budynku z brunatnej cegły. Otworzył drzwi do mieszkania i nie od razu zapalił światło. Żaluzje były podniesione i pokój

tonął w niebieskawym kojącym świetle księżycy w pełni. Wbrew temu, co można by podejrzewać, skromne i bezosobowe mieszkanko było czyste i dobrze utrzymane.

Nie było go w domu od dwóch dni. Ostatnią noc spędził w szpitalu, a potem miał całodzienną służbę. Dopóki absorbowała go praca, czuł się dobrze. Teraz nie miał ochoty być sam. Nastawił płytę z symfonią Prokofiewa. Lubił muzykę klasyczną i potrafił ją ocenić. Ludzie znający go od niedawna brali go na ogół za prostackiego alkoholika, on zaś nie zamierzał wyprowadzać ich z błędu. Za to ci, którzy mieli kiedykolwiek okazję z nim podyskutować, wiedzieli, że ma dużą wiedzę i jest wrażliwy.

Wziął prysznic, ogolił się i włożył czyste ubranie: czarne dżinsy i podarowany mu dawno temu przez Grace granatowy pulower, którego nie miał na sobie od lat. Po raz pierwszy od wielu miesięcy odważył się spojrzeć na swoje odbicie w lustrze. Zazwyczaj nie przepadał za człowiekiem, którego tam widział, ale od kiedy uratował Jodie, czuł, że coś się w nim zmieniło, i dlatego bez grymasu niechęci spojrzął na swoją twarz.

Następnie przeszedł do kuchni, otworzył lodówkę i wyjął z niej sześciopak budweisera w puszkach. To była jego dzienna racja, jego dawka, jedyny dobrze znany mu środek nasenny. Doskonale wiedział, co się stanie: będzie pił tak długo, aż oszołomiony alkoholem zapadnie w przerywany sen i będzie tak spał do trzeciej nad ranem. Wtedy wstanie, niespokojny i rozdygotany, i żeby ponownie zasnąć, sięgnie po sporą dawkę wódki.

Postawił sześć puszek piwa na stole, ale żadnej nie otworzył.

W co ty się bawisz? Dobrze wiesz, że w końcu i tak je opróżnisz.

Otworzył pierwszą, ale jej nie tknął.

Bawi cię to, co? Myślisz, że to tylko kwestia silnej woli!

Wylał do zlewu zawartość pierwszej puszkę, potem drugiej, trzeciej, czwartej i piątej.

W ten sposób została ci tylko jedna. Baw się dalej! Nie przerywaj, żeby zobaczyć, co będzie.

Myślał, że zdechnie, tak cholernie chciał się napić. Mimo to wylał zawartość ostatniej puszkę i puścił strumień wody, żeby pozbyć się zapachu.

Zapalił papierosa i wyszedł na taras. Jutro zgłosi się do Sama Gallowaya i jeśli będzie to konieczne, podda się kuracji odwykowej. Po raz pierwszy wydało mu się, że to warte zachodu. Przystanie pić, dla siebie i dla Jodie.

Chuchnął w dłonie dla rozgrzewki. Chłód był ostry i piekący. Kiedy zamierzał wejść do pokoju, usłyszał za plecami czyjeś kroki.

— Cześć, Marko.

Na dźwięk tego głosu odwrócił się gwałtownie.

O trzy metry od niego stała Grace. Promienna i przyjazna, dokładnie taka sama jak w jego wspomnieniach.

Oczy zaszyły mu mgłą. Wzruszenie było zbyt silne.

Cholera, przecież od dwóch dni nie wypłem ani kropli alkoholu...

Chyba tracił rozum. Zrobił krok w jej kierunku, próbował coś powiedzieć, ale głos mu drżał:

— Ja... ja nie rozumiem, co...

— A ja myślę, że nie ma tu wiele do rozumienia — powiedziała Grace, kładąc mu palec na ustach.

Objęła go i Rutelli poddał się tej chwili.

Długo stali objęci. Rutelli wdychał zapach skóry Grace, mieszaninę mleka i wanilii, woń, której nigdy nie zapomniał.

— Tak bardzo za tobą tęskniłem — wyznał.

— A ja za tobą, Marko.

Rutelli czuł głucho uderzenia serca, które biło mocno z emocji i trwogi. Chwycił Grace za rękaw i ze strachu, że znów ją straci, nie był w stanie jej puścić.

— Ty naprawdę wróciłaś? — zdołał wykrztusić. Popatrzyła mu prosto w oczy i dotknęła jego policzka.

— Tak, Marko...

Zamilkła na moment, bo ją też ogarnęło wzruszenie.

— ...ale nie zostaję — dokończyła.

Błyszczące oczy Marka nagle zgasły. Grace położyła głowę na jego ramieniu.

— Wszystko ci wyjaśnię.

*

W ciągu następnej godziny Grace opowiedziała Rutelle-mu swoją niewiarygodną historię. Mark parokrotnie unosił brwi ze zdziwienia, chociaż nie mógł zrobić nic innego, jak tylko przyjąć do wiadomości jej opowieść. Nawet jeśli trudno mu było się w tym połapać, był pewien, że Grace mówi prawdę. Szczęśliwy, że ją widzi, nie zasypywał jej pytaniami, bo wiedział, że nigdy nie otrzyma odpowiedzi.

Paradoksalnie to Grace poszukiwała informacji.

— Może ty będziesz mógł mi pomóc — powiedziała, podając mu zwitek papierów.

Był to raport z sekcji jej zwłok. Czytał go już wielokrotnie, teraz jednak ponownie przeglądał z uwagą.

— Czy nic cię nie dziwi?

— Co takiego? — wymamrotał.

— Ślady heroiny, Mark! Skąd? Przecież ja nigdy nie brałam narkotyków, prawda?

Rutelli westchnął zażenowany.

— Nie pamiętasz?

— Nie.

Teraz Grace zaczęła obawiać się tego, co powie jej Rutelli. Sama nie była już niczego pewna. Kim była? Czy miała coś do ukrycia?

— W tamtych czasach faceci z brygady antynarkotykowej zaproponowali ci rolę wtyczki...

— Pracowałam jako wtyczka? Rutelli przytaknął.

— Kiedy zostałam zabita, próbowałam właśnie przeniknąć do jednej z grup dealerów.

— To by mogło tłumaczyć obecność narkotyku...

— No jasne, przecież znasz perfidne zasady obowiązujące w tego rodzaju robocie...

Grace pokiwała głową. Wspomnienia z wolna powracały. Chcąc wejść do grupy dealerów, gliniarze musieli często ćpać w ich obecności, żeby zdobyć ich zaufanie i nie stracić przykrywki. Grace wiedziała, że wielu z nich wpadło w ten sposób w nałóg i przeszło na drugą stronę.

— Wierz mi, że próbowałam wyperswadować ci tę robotę — zapewnił Rutelli. — Ale ty byłaś młodą agentką, nieustraszoną i pełną zapału, która święcie wierzyła w sens swojej pracy.

— Chciałam być przydatna społeczeństwu i móc zapewnić mojej córce bezpieczniejszy świat.

— No pewnie. Przede wszystkim byłaś uparta i oboje wiemy, dokąd to cię zaprowadziło!

— Życie często bywa okrutne — stwierdziła Grace, myśląc o tym, co przytrafiło się Jodie.

— Owszem — przyznał Mark — okrutne i krótkie.

Nagle oboje ogarnął głęboki smutek. Grace miała do siebie pretensje, że tak oziębiła temperaturę spotkania.

— Nie psujmy tego wieczoru, Marko. Zabierzesz mnie gdzieś na kolację? — zapytała, chcąc wprowadzić weselszy nastrój.

— Dokąd tylko zechcesz.

— W takim razie jedźmy do naszej restauracji — zdecydowała, patrząc na niego z szelmowskim uśmiechem.

Przez parę minut jechali na północ i zaparkowali samochód na Brooklyn Heights, dwa kroki od River Café. Z tego słynnego na całym świecie lokalu rozciągał się wspaniały widok na Manhattan i Most Brooklyński. Dawniej, kiedy mieli służbę w dzielnicy, obiecywali sobie często, że kiedyś, kiedy będą mieli dużo pieniędzy, zafundują sobie kolację w tym luksusowym miejscu. Tymczasem zadowalali się pizzą kupowaną na wynos u Grimaldiego, którą zjadali, siedząc w samochodzie. Pizza w samochodzie była tym, co nazywali „ich restauracją”. Był to wybór mniej kosztowny od River Café. Z pewnością także mniej szykowny, ale z miejsca, w którym stali, widok był równie piękny.

Grace została sama w samochodzie, a Rutelli poszedł po prowiant. Wracając, zapukał w szybę i wcisnął się do wnętrza z kartonowym pudłem w ręce.

— Pizza del Mare, jeśli dobrze pamiętam?

— Masz świetną pamięć.

Jak za dawnych dobrych czasów jedli, słuchając radia i spoglądając w kierunku przeciwległej strony mostu. W radiu Neil Young wydobywał ze swojej gitary śliczne akordy *Harvest Moon*. Przed nimi wznosiły się wieżowce Dolnego Manhattanu i znów mieli wrażenie, że miasto

należy do nich. Tu całymi godzinami dyskutowali, żartowali i naprawiali świat.

Panującą ciszę przerwało pytanie, które Rutelli zamierzał zadać od jakiegoś czasu:

— Nie mogłabyś zostać na dłużej? Grace pokręciła głową.

— Nie, Marko. To, co teraz robię, jest już wystarczająco nieodpowiedzialne...

— A kiedy i jak zamierzasz odejść? Opowiedziała mu więc, co ma się zdarzyć nazajutrz w kolejce linowej na Roosevelt Island, i ta wiadomość bardzo przygnębiła Rutellego. Grace próbowała przemówić mu do rozsądku.

— Musisz przestać mnie idealizować. Musisz nauczyć się żyć beze mnie.

— Kiedy nie mogę.

— Oczywiście, że możesz. Jesteś jeszcze młody i masz masę zalet. Możesz odbudować swoje życie, założyć rodzinę i być szczęśliwy. I bardzo cię proszę, pilnuj Jodie!

Rutelli odwrócił się gwałtownie w jej stronę i zmarszczył brwi.

— No... a ty?

— Ja jestem martwa — odparła Grace bardzo cicho. Jednak Mark Rutelli nie mógł pogodzić się z tą oczywistą prawdą.

— Powinienem być pójść z tobą tego wieczoru, kiedy cię zamordowano. Powinienem tam wtedy być, żeby cię chronić i nie odstępować na krok!

— Nie, Marko! Nie! Nie masz sobie nic do zarzucenia. Tak to już w życiu bywa.

Rutelli nie odpuszczał:

— Wszystko wtedy potoczyłoby się inaczej.

Na długą chwilę oboje zaniknęli się w sobie i nie odzywali do czasu, aż Grace przeczesła dłonią włosy Marka.

— Musisz przyjąć do wiadomości tę żałobę — wyszeptała.

Rutelli tylko pokiwał głową.

— Żebyś wiedziała, jak bardzo mi ciebie brakuje, Grace.

Głos mu się załamał i odwrócił się, żeby nie zobaczyła jego łez.

— Ja czuję dokładnie to samo — powiedziała, pochylając się nad nim.

Wtedy zapomnieli o wszystkim i wreszcie po raz pierwszy się pocałowali.

Wrócili do Bensonhurst parę minut po północy. Kiedy podchodzili pod jego dom, Rutelli pomyślał, że nadeszła pora rozstania, i poczuł ucisk w sercu.

— Wiesz, powinnaś coś wiedzieć... Grace przerwała mu delikatnie:

— Ja wiem, Marko, wiem.

Dla obrony przed ogarniającym ją wzruszeniem spytała trochę kpiącym tonem:

— Nie zaprosisz mnie na pożegnalną szklaneczkę? Sądziłam, że potrafisz postępować z kobietami...

Wchodzili po schodach odrobinę zmieszani, ale kiedy zaniknęli za sobą drzwi, zażenowanie minęło bez śladu i padli sobie w ramiona, oszołomieni i rozgorączkowani. Wiedzieli, że ta noc będzie ich nocą i że będzie to noc ostatnia.

Nie tracili więc ani sekundy. Czas się zatrzymał. Było

tylko ich dwoje, zakochanych w sobie do nieprzytomności i kochających się tak, jakby miało to trwać wiecznie.

Wczesnym rankiem Rutellego zbudził szczebiot turkawek i szpaków. Mieszkanie tonęło w bladoniebieskim świetle. W pierwszym odruchu odwrócił się w stronę poduszki. Cud się nie zdarzył: nie znalazł obok siebie Grace i wiedział, że ona już nie wróci.

Wstał i spojrział przez otwarte okno na budzący się dzień.

Tak długo analizował wszystko, co powiedziała Grace, aż wpadł mu do głowy pewien pomysł, zupełnie oczywisty. Przemyślał wszystkie jego konsekwencje, po czym podjął decyzję.

Kiedy zamykał okno, jego serce wypełnił dziwny spokój.

Kiedy myślę o wszystkim, co mi się przydarzyło, nie mogę pozbyć się wrażenia, że jakieś tajemnicze przeznaczenie splata nici naszego życia, mając bardzo jasną wizję przyszłości i nie biorąc pod uwagę naszych pragnień ani naszych planów.

Matilde Asensi

— To ja już idę, kochanie.

Sam obudził się gwałtownie. Juliette, świeża i wystrojona pocałowała go w szyję i postawiła na środku łóżka tacę ze śniadaniem.

Wyprostował się gwałtownie.

— Dokąd się wybierasz? — spytał zaniepokojony, że widzi ją gotową do wyjścia.

— Moja dawna współlokatorka Colleen dzisiaj się przeprowadza. Chcę jej pomóc.

W mgnieniu oka był na nogach, zaskoczony i zły, że nie obudził się wcześniej. Jak mógł spać tak twardo, pomimo gnębiącego go niepokoju?

— Ależ... — wymamrotał — myślałem, że razem spędzimy przedpołudnie...

— Zajmie mi to tylko parę godzin. Potem możemy zjeść razem lunch.

O tej porze będę już martwy!

Podawała mu bajglę z konfiturą. Nie mógł oderwać od niej oczu. Spojrzała na niego z uśmiechem, zachwycona, że jest obiektem tak wielkiej uwagi. Promieniała. Jogurt, którego nie zdążyła zetrzeć, wymalował pod jej nosem białe wąsiki, a poranne słońce złociło kosmyki włosów.

Pod oknami zatrąbiło auto.

— To Colleen — oznajmiła Juliette, patrząc przez okno. — Miała po mnie przyjechać.

Zapięła płaszcz i wzięła kolorowy szalik.

— Zaczekaj chwilę! — poprosił Sam.

Podszedł do niej i wziął ją za rękę. Pocałowała go i wtuliła głowę w jego szyję.

— Wychodzę tylko na parę godzin, kochanie — zapewniła, żartując sobie z jego czułości.

Za to ja odchodzę na zawsze!

Ale ona już mu się wymykała. Nigdy więcej jej nie zobaczy. Nie pomyślał, że to może nastąpić tak szybko. Jakie wspomnienie o nim zachowa? Spędzili ze sobą tak mało czasu. Chciałby powiedzieć jej tyle rzeczy, chciałby, żeby poznała go lepiej, chciałby, żeby...

Może jednak tak będzie jej łatwiej.

Zrezygnowany puścił jej dłoń.

Juliette otworzyła drzwi i zbiegła po schodach. Sam wyszedł za nią aż na ulicę i zobaczył, jak wsiada do starego chevroleta Colleen. Samochód ruszył i skręcił za róg. Przez szybę Juliette pomachała w jego stronę telefonem i z ruchu jej warg Sam zdążył odczytać dwa krótkie zdania.

Pierwsze: „Zadzwoń do ciebie”. I drugie: „Kocham cię”.

*

Umył się i ubrał, po czym pospieszył do szpitala, gdzie miał zrobić kilka badań niezbędnych do polisy ubezpieczeniowej. Poprzedniego dnia uprzedził Janice Freeman o swojej wizycie, wszystko więc poszło szybko. Faksując wyniki badań swojemu bankierowi, czuł gorzką satysfakcję z poczucia, że umrze w doskonałym zdrowiu.

Gdyby chodziło tylko o niego, zostałyby w szpitalu

1 popracował trochę, żeby pożytecznie spędzić ostatnie godziny życia. Od kiedy wstał tego ranka, nie opuszczał go głuchy strach, który powodował, że chciał być sam. Ale niemająca pojęcia o jego problemach Janice Freeman wypchnęła go za drzwi, zalecając, by dobrze wykorzystał przymusowe wakacje.

Słońce odbijające się od śniegu rozświetlało miasto tysiącami blasków. Szedł po chodniku i specjalnie ocierał się o innych przechodniów. Czuł się jak kropla wody w środku fali; człowiek pomiędzy innymi ludźmi. Poczucie tej niemej wspólnoty wyciszyło go, a strach zmałał.

Szedł szybko dla rozgrzewki i z przyjemnością słuchał, jak śnieg skrzypi pod jego butami.

Zatrzymał się w Por-tobello Café, usiadł przy stoliku i zamówił cappuccino.

Przed odejściem miał jeszcze do załatwienia jedną ważną sprawę: musiał dotrzymać obietnicy.

Wybrał więc numer telefonu Butterfly Center w Hartford, ośrodka odwykowego specjalizującego się w leczeniu młodocianych narkomanów. Tak jak przewidywał, przyjęcia były wstrzymane na sześć najbliższych miesięcy, a leczenie

w ośrodku kosztowało ponad dziesięć tysięcy dolarów. Sam nie zamierzał szczerzyć trudu, żeby zająć się sprawą Jodie, w rozmowie z ośrodkiem podkreślał wstrząs, jaki przeszła niedawno dziewczyna, i konieczność natychmiastowego podjęcia terapii. Po dwudziestu minutach jego cierpliwość została nagrodzona i ośrodek wyraził zgodę na leczenie nastolatki, pod warunkiem że należność za cały pobyt zostanie przekazana jeszcze tego samego dnia. Natychmiast zadzwonił do banku i poprosił o sprawdzenie stanu konta. Praca na stanowisku lekarza w szpitalu publicznym przynosiła nędzny dochód w porównaniu z tym, co mógłby zarabiać, otwierając prywatną praktykę, wobec czego dopiero niedawno spłacił kredyt zaciągnięty w czasie studiów.

— Na pańskim koncie jest jeszcze jedenaście tysięcy trzysta dolarów — poinformował go pracownik banku.

Sam zawahał się, po czym polecił przelać pieniądze na konto Butterfly Center i niezwłocznie zawiadomił szpital o dokonaniu wpłaty.

Oto mój ostatni uczynek lekarza, pomyślał, czując ukłucie w sercu.

Musi jeszcze odwiedzić Shake'a Powella.

*

Shake nie zdziwił się zbyt, widząc Sama wysiadającego z taksówki. Od dziesięciu dni spodziewał się jego wizyty, jednocześnie w nią wątpiąc. Z pomocą wolontariusza ładował na furgonetkę skrzynki z żywnością przeznaczoną dla jednego z miejskich ośrodków dla bezdomnych.

— Potrzebujesz pomocy?

— To nie jest zajęcie dla cherlaków — uprzedził go Shake.

— No to popatrz, na co stać tego cherlaka?! — odkrzyknął Sam, biorąc najcięższą skrzynkę.

Trzej mężczyźni pracowali w milczeniu i wkrótce wszystkie kartony z wiktuałami znalazły się na samochodzie. Przed zamknięciem klapy Shake poprawił przykrycie i przesunął worek z artykułami toaletowymi.

— Jedź powoli, Chuckie! — zawołał, patrząc na oddalający się pojazd, starego pick-upa, który zapewne był już wrakiem w czasach Ronalda Reagana.

— Co się dzieje, stary? Masz taką minę jak w złych dniach.

— Zrób mi kawę.

Weszli do mieszkania. Podczas gdy Shake krzątał się przy swojej archaicznej maszynie do espresso, Sam patrzył w zamyśleniu na krucyfiks wytatuowany na jego przedramieniu.

— Nigdy tego nie widziałem — stwierdził głosem, w którym przebijała odrobina złości.

— Czego? — spytał Shake, podając kawę.

— Twojego pieprzonego Boga. Nigdy dotąd go nie widziałem. Ani w naszej dzielnicy, kiedy byliśmy szczeniakami, ani w moim szpitalu, ani w żadnym kraju ogarniętym wojną...

— On jednak tu jest — odparł ksiądz, otwierając okno. — Musisz nauczyć się uważniej patrzeć, chłopie.

Sam spojrział przez szybę.

Dwoje dzieci — chłopiec i dziewczynka — bawiło się na boisku do koszykówki. On był czarny, ona

— Azjatka.

Oboje mieli nie więcej niż dziesięć lat. Ona rysowała kredą na asfalcie kratki do gry w klasy, on wprawiał się w rzutach piłką do kosza. Niebawem dołączą tu więksi i silniejsi, wezmą ten teren w posiadanie i przegonią ich stąd. Ale jeszcze przez parę chwil to terytorium należy do nich.

Chłopczyk był okrągłutki i tak mały, że piłka w jego rękach wydawała się ogromna. Pomimo wysiłków nie za każdym razem udawało mu się trafić choćby w tablicę, co nie przeszkadzało jego małej towarzysze w zachęcaniu go. Po kilku minutach zabawy on zapewne doszedł do wniosku, że po takim wysiłku należy mu się jakaś rekompensata. Nie zważając na chłód, usiadł na murku okalającym boisko, wyjął z chlebaka czekoladową babeczkę i podał połówkę koleżance, która śmiała się do rozpuku.

Sam odwrócił się w stronę przyjaciela.

— To piękne, ale to mi nie wystarcza — powiedział.

— Nie wystarcza?

— Nie. — Odpowiedź była krótka i stanowcza. Shake westchnął.

— A czego chcesz więcej?

— Zrozumieć.

— Co zrozumieć?

— Sens tego wszystkiego: idiotycznych wojen, nieuleczalnych chorób, potwornych zamachów...

— Zawracasz mi głowę, Sam. Bóg nie jest supermanem. Ty, który tak bardzo kochasz wolność, powinieneś się cieszyć, że masz wybór. Co byś powiedział, gdyby jakaś zewnętrzna siła wkraczała za każdym razem w twoją egzystencję, żeby skorygować zasięg twoich zamierzeń?

Sam wzruszył ramionami, co miało oznaczać, że ten argument nie trafia mu do przekonania.

— Jesteśmy wolni i możemy czynić zarówno dobro, jak i zło — stwierdził Shake. — Wprawdzie im więcej mamy wolności, tym trudniejsze są wybory, ale nie możemy kazać Bogu płacić cenę za tę wolność.

Shake wstał i zapalił cygaretkę. Sam poznał po zapachu, że zawiera tylko czysty tytoń.

— Co się z tobą dzieje?

— Boję się, Shake.

— Dlaczego?

— Ponieważ wkrótce umrę.

— Przestań pieprzyć!

Przeciąg trzasnął oknem. Sam podniósł się, żeby je zamknąć. Słońce schowało się za ciemne chmury, które napływały nagle z północy, pogrążając pokój w ciemnościach. Shake chciał zapalić lampę, ale żarówka była przepalona.

— Muszę już iść.

Kiedy Sam zmierzał w kierunku schodów, Shake złapał go za rękaw.

— Zaczekaj!

— Na co?

— Wtedy nie powiedziałem ci wszystkiego... Zaskoczony Sam usiadł na szczycie schodów. Nawet jeśli obawiał się tego, co miał mu wyjawić przyjaciel, to on zrobił pierwszy krok.

— Tyją znasz, prawda? To dlatego dzwoniłeś do mnie do szpitala.

— Grace Costello? Niestety — westchnął Shake. — Już ją kiedyś spotkałem.

— Kiedy?

— Dziesięć lat temu.

— Kiedy zginęła? Shake skinął głową.

— Podczas strzelaniny z Dustface'em myślałeś, że zabiłeś jednego z jego klientów, prawda?

— Jasne — odparł Sam. — Co prawda było ciemno i widziałem go tylko z tyłu, jednak pamiętam, że to był mężczyzna w czapce.

— To nie był mężczyzna, Sam. Lekarz w dalszym ciągu nie rozumiał.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Kilka sekund po tym, jak strzeliłeś, Dustface zwał, bo usłyszał nadjeżdżający samochód. Myślał, że to policja, ale to byłem ja. Federica, bardzo o ciebie niespokojna, powiedziała mi o wszystkim przez telefon.

— Wiem o tym.

Wspomnienie dwóch mężczyzn powróciło teraz z zadziwiającą dokładnością. Przeżywając ponownie wydarzenia tego strasznego wieczoru, odnaleźli jego atmosferę, klimat, a nawet zapach strachu, jaki wtedy czuli.

Shake mówił dalej:

— Kiedy tylko wszedłem, wiedziałem od razu, że sprawy przybrały zły obrót. Chciałem cię chronić, Sam.

— Powiedziałeś, żebym uciekał twoim samochodem. Nie chciałem, ale nalegałeś tak bardzo, że w końcu cię posłuchałem — przypomniał z bólem Sam, nadal dręczony poczuciem winy.

— Bo to było jedyne wyjście — przyznał Shake. — Gdyby taki facet jak ty miał spędzić w pudle dwadzieścia lat, można by zwątpić w ten świat. Miałeś skończyć studia. To było najważniejsze. Dla ciebie, dla Federiki, dla nas wszystkich.

— Niewątpliwie...

— Zostałem sam — ciągnął Shake. — Ja także trochę się bałem, ale wiedziałem, że sobie poradzę. Wystarczyło uprzątnąć trupa. Uklęknąłem obok ciała leżącego twarzą do podłogi i odwróciłem je. To była kobieta...

Sam zmarł.

— Przeszukałem jej kieszenie. Nie było w nich portfela, ale znalazłem kluczyki od samochodu. Wyszedłem z tej nory i niemal natychmiast dostrzegłem jej wóz. Nie mogłem go zostawić, bo wtedy gliny przetrząsnęłyby cały Bedford. Zniosłem ciało do samochodu i odjechałem daleko dla pewności, że nic nigdy nie naprowadzi policji na twój ślad.

Sam nie był w stanie wykrztusić słowa. Shake tymczasem kończył swoją opowieść:

— Dopiero dwa dni później, czytając gazetę, dowiedziałem się, kim była ta kobieta: nazywała się Grace Costello i pracowała w policji. Wywnioskowałem, że musiała być wtyczką w grupie narkomanów i chciała dopaść tych pieprzonych dealerów.

Rysy jego twarzy ściągnęły się, jakby wraz z odgrzebaniem wspomnień przybyło mu kilka ładnych lat.

Sam był w szoku. Trząśnięcie, serce biło mu coraz szybciej.

Shake położył dłoń na jego ramieniu.

- Czy wiesz, dlaczego wyciąłem z „New York

Timesa" ten artykuł, w którym była mowa o tobie? Żeby pokazać go dzieciakom z dzielnicy i powiedzieć: „Popatrzcie na tego faceta, który został lekarzem i który urodził się tutaj, jak wy, w tej dzielnicy, w tym gównie. Nie miał ojca, a jego matka zmyła się zaraz po jego narodzinach. A jednak mu się udało. Bo bardzo tego

pragnął i nie słuchał gówniarzy, którzy chcieli zawrócić go z obranej drogi. Ten facet nazywa się Sam Galloway i jest moim przyjacielem".

— Dziękuję — szepnął Sam.

— My dwaj zrobiliśmy to, co należało zrobić — dodał Shake stanowczo. — I nie widzę, z kim na tej ziemi mielibyśmy się z tego rozliczać.

— Z nią, Shake, z Grace Costello...

Zdanie to zabrzmiało w głowie Sama jak przywołanie do porządku.

Rzucił okiem na zegarek. Grace wyznaczyła mu spotkanie na trzynastą, a teraz dochodziło południe.

— Muszę iść — oznajmił pospiesznie i wybiegł na ulicę.

Shake próbował go zatrzymać.

— Dokąd idziesz? — spytał zaniepokojony. — Na spotkanie z nią, tak?

Na szczęście Sam poprosił taksówkarza, żeby na niego czekał. Wskoczył na tylne siedzenie.

— Jadę z tobą! — krzyknął ksiądz.

— Nie, Shake. Tym razem pojedę sam! Zatrzęsął drzwiami taksówki, ale opuścił szybę, chcąc uspokoić przyjaciela:

— Nie martw się. Odezwę się do ciebie.

Samochód ruszył jak trąba powietrzna w stronę Manhattanu, zostawiając na schodach kościoła Shake'a Powella, który zastanawiał się nad znaczeniem ostatnich słów Sama.

Wszechświat ogarnia mnie i nie mogę uwierzyć Że ten zegar istnieje i że nie ma zegarmistrza.

Wolter

12.01

Taksówka wlokła się przy wjeździe na Most Brooklyński.

— Szybciej! — ponaglał Sam.

Kierowca wzruszył tylko ramionami, wskazując sznur samochodów jadących powoli z powodu złej pogody.

Po raz drugi w ciągu tego tygodnia Nowy Jork przygotowywał się na spotkanie z gwałtowną burzą śnieżną. Wiatr smagał silnymi podmuchami, a patrząc na czarne chmury zbierające się ponad drapaczami chmur, raczej nie można było marzyć o słonecznym przedpołudniu.

Siedząc na tylnym siedzeniu, Sam wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów. Został tylko jeden.

Ostatni papieros skazańca, pomyślał, zapalając go.

Taksówkarz przywołał go natychmiast do porządku, pokazując palcem tabliczkę z napisem *No Smoking*.

— *Please, sir!*

Opuścił szybę i nie zgasił papierosa.

Słowa Shake'a wstrząsnęły nim, ale jednocześnie wyjaśniły wiele rzeczy: to on zabił Grace i teraz miał umrzeć. O ile ta bulwersująca informacja wywoływała w nim ból, o tyle rozumiał, że cena do zapłacenia jest na miarę jego zbrodni. A więc Grace wróciła, żeby się zemścić. To wydawało się logiczne, ale musi mieć jeszcze co do tego pewność.

— Ma pan może komórkę? — spytał kierowcę.

— Komórka? — powtórzył Pakistańczyk, udając, że nie rozumie.

— Tak, telefon komórkowy.

— *No, sir.*

Sam westchnął, po czym wyciągnął z portfela banknot dwudziestodolarowy, który przylepił do szyby oddzielającej kierowcę od pasażera.

— Tylko jedno połączenie!

Kierowca złapał banknot i podał mu małą niklowaną komórkę, która jakimś cudem wyłoniła się ze schowka na rękawiczki.

Pieniądze otwierają wszystkie drzwi, pomyślał Sam, biorąc telefon. Wybrał swój własny numer i — jak się spodziewał — odebrała Grace.

— Nie zapomniał pan o naszym spotkaniu, Sam...

— Niech się pani nie martwi. Był na nią zły i dał jej to odczuć.

— Wiedziała pani, że to się tak skończy, prawda?

— O czym pan mówi?

— Cała ta historia z Juliette była tylko pretekstem, żeby wejść w kontakt ze mną. Od samego początku chodziło o mnie, żeby mogła się pani zemścić...

— Zemścić za co?

Wstrząśnięty, spoglądał przez szybę. Niebo było szare jak popiół i śnieg zaczął padać grubymi płatkami. Czy Grace udaje zdziwienie, czy naprawdę nie wie, kto ją zabił?

— Niech pani przestanie się zgrywać! Doskonale pani wie, dlaczego panią wybrano do wypełnienia tej misji.

— Nie! — zapewniła Grace.

Wobec tak kategorycznego zaprzeczenia Sam zrozumiał z przerażeniem, że Grace nie kłamie i że to on będzie jej musiał o tym powiedzieć.

Nie miał jednak pojęcia, jak to zrobić. Nie w ten sposób! Nie przez telefon! Wolałby, żeby Grace przed nim stała, żeby mógł patrzeć jej w oczy, ale nie mógł czekać. A więc drżącym głosem wykrztusił:

— Mężczyzna, który do pani strzelił dziesięć lat temu... facet, który jest odpowiedzialny za pani śmierć i za wszystkie nieszczęścia, jakie dotknęły pani bliskich...

Przerwał na moment, jakby dla nabrania tchu, po czym wyrzucił z siebie:

— Tym mężczyzną... jestem ja.

A ponieważ nic nie mówiła, dodał:

— Chciałem zastrzelić Dustface'a, żeby panią uratować, ale chybiłem.

Galloway słyszał oddech po drugiej stronie słuchawki.

— Tak mi przykro, Grace! Przepraszam za wszystko, co się pani przytrafiło!

Usłyszał jej coraz szybszy oddech, a potem zdławiony szloch. Nawet jeśli Grace nic nie mówiła, wiedział, że jest poruszona. Powtórzył tylko: „Bardzo mi przykro”.

W tej samej chwili połączenie zostało przerwane.

12.07

Z powodu śniegu taksówka ugrzęzła przy wjeździe na Manhattan. Wszystkie samochody jechały ciasno jeden za drugim przy wtórze klaksonów. Sam spróbował znowu połączyć się z Grace, ale widocznie wyłączyła komórkę. Popatrzył na zegarek: do trzynastej zostało jeszcze trochę czasu. W najgorszym razie, jeśli korek się nie rozładuje, wysiądzie przy najbliższej stacji metra. Coś jednak nie dawało mu spokoju: skoro Grace nie przybyła tu, żeby się na nim zemścić, czy nie zgodziła się zbyt szybko na jego propozycję zajęcia miejsca Juliette?

Czuł, że jakiś fragment puzzla mu się wymyka, choć nie bardzo wiedział jaki. Na domiar złego, odkąd wyjechał od Shake'a, dokuczał mu okropny ból głowy. Objął więc głowę dłońmi, zatkał uszy kciukami i próbował się skupić. Diabeł zawsze tkwi w szczegółach, o czym dobrze wiedział. Powoli przypomniawszy sobie najważniejsze wydarzenia ostatnich dni: pierwsze spotkanie z Grace w Central Parku, artykuł z gazety z jutrzejszą datą, zawierający wiadomość, że Juliette żyje, ich dyskusję na temat bezlitosnego przeznaczenia, z którym nie należy walczyć, przesłanie z za grobu odkryte w rysunkach Angeli, wypadek kolejki linowej zapowiadany w depeszy na fikcyjnej stronie internetowej, to zdanie tak często powtarzane przez Grace: „Są czasem rzeczy, których nie możemy zmienić”...

Te słowa najbardziej zaprzętały jego myśli: skoro niczego nie można zmienić, dlaczego Grace zgodziła się odejść z nim, a nie z Juliette? Coś tu nie gra.

Nagle przypomniawszy sobie pewien szczegół. Kiedy Grace pokazała mu stronę internetową z przepowiednią wypadku kolejki linowej, zapamiętał, że była tam mowa o godzinie

dwunastej trzydzieści. A przecież Grace wyznaczyła mu spotkanie na trzynastą!

Tym razem wszystko się zgadzało. Grace specjalnie podała mu inną godzinę, gdyż zrozumiała, że on nigdy nie zrezygnuje z Juliette i że zrobi wszystko, żeby zapobiec jej śmierci. Żeby uspić jego czujność, pozwoliła mu uwierzyć, że godzi się na jego poświęcenie. Zaufał jej, a ona nie dotrzymała słowa.

I teraz Juliette jest w niebezpieczeństwie.

12.12

Jeśli do wypadku miało dojść o dwunastej trzydzieści, pozostało niecałe dwadzieścia minut. Bez pytania wziął telefon taksówkarza. — Ej! Mówił pan o tylko jednym połączeniu! Musi połączyć się z komórką Juliette. Pierwszy sygnał. Drugi sygnał. Trzeci sygnał.

„Dzień dobry, połączyłeś się z pocztą głosową telefonu komórkowego Juliette Beaumont. Zostaw wiadomość, a ja od...”.

Kurewska poczta głosowa! *12.14*

Ponownie spojrzął na zegarek. Za późno! Nie zdąży tam dojechać przez piętnaście minut, nawet gdyby zdecydował się wsiąść do metra.

Taksówka nadal stała w korku razem z innymi samochodami i z powodu coraz większej śnieżycy nie przejechała nawet przez Astor Place. Ogarnięty paniką i zupełnie bezsilny, Sam nie wiedział, co robić. Podał kierowcy pięćdziesięciodolarowy banknot i wysiadł z taksówki. Nagle niebo przecięła seria błyskawic, którym zawtórował grzmot. Sam spojrzał w górę, zaskoczony tą zimową burzą. Najwidoczniej klimat także dzisiaj oszalał!

Rozejrzał się. Musi coś wymyślić. Tylko co? Jego uwagę zwrócił terenowy motor, który prześlizgiwał się slalomem między samochodami. Bez zastanowienia Sam rzucił się na środek jezdni. Motocyklista zahamował tuż przed nim. Tylnie koło wpadło w poślizg, silnik zgasł i motocykl się przewrócił.

— Pan jest chyba chory! — wrzasnął motocyklista. Sam podszedł do niego, ale zamiast mu pomóc, pchnął

go do tyłu i w ten sposób pozbawił równowagi.

— Naprawdę bardzo mi przykro, ale nie mam czasu na wyjaśnienia.

W mgnieniu oka wsiadł na motocykl, wcisnął sprzęgło, dodał gazu i maszyna stanęła dęba.

— Ty cholerny dupku, ten motor jest na dotarciu! — wrzasnął za nim motocyklista.

Ale Sam był już daleko.

12.17

Lekki i zwrotny motocykl przemykał się wśród samochodów z fantastyczną prędkością. Rzut oka w prawo, rzut oka w lewo: Sam uważał, żeby nie spowodować wypadku. Od tej chwili liczyła się każda sekunda. Uwa-

zając przez cały czas, zastanawiał się nad tym, co zrobi. Może jeszcze uratować Juliette, pod warunkiem że natychmiast ją odnajdzie.

12.19

Powiedziała mu, że będzie u Colleen do południa. Tam więc powinien jej szukać. Zapamiętał adres, jaki mu podała: mały blok na rogu Morningside Park. Spojrzał we wsteczne lusterko, włączył kierunkowskaz i przyspieszył, żeby wyminąć kilka samochodów i popędzić na północ.

Kiedy miał szesnaście lat, Shake kupił starą stowudziestkępiątkę i Sam pomógł mu ją wyremontować. Przez całe lato urządzali sobie rajdy na czas dookoła dzielnicy.

To o tym myślał, jadąc w górę Broadwayu, przez Columbus Circle i Central Park West...

12.21

Dojeżdżając do Morningside Park, od razu zauważył dom, w którym mieszkała Colleen. Rzut oka na skrytki pocztowe wystarczył, by wskazać szóste piętro. Windą? Nie, na piechotę będzie szybciej.

Kuśtykając, wdrapał się na górę na czwartym biegu, stopniowo odzyskując nadzieję. Dotarłszy pod drzwi, zaczął walić w nie jak opętany. Otworzyła mu Colleen, z pędzlem w dłoni, ubrana w podkoszulek Uniwersytetu Columbia i dżinsowe ogrodniczki. Długie pasmo blond włosów wysunęło się spod baseballowej czapeczki.

- Gdzie jest Juliette? — krzyknął, potrząsając ją za ramiona.
Spojrzała na niego jak na szaleńca.
— Co się z panem dzieje, Sam?
— GDZIE JEST JULIETTE? — powtórzył, nadal nią potrząsając.
— Już wyszła — odparła Colleen i odepchnęła go.
— Kiedy?
— Przed kwadrans. Ktoś po nią przyjechał.
— Kto taki?
— Czyja wiem... Jakaś kobieta. Wyglądało na to, że Juliette ją zna, bo wyszły razem.
— Jak ta kobieta wyglądała?
— Brunetka, jakieś trzydzieści pięć lat, w skórzanej kurtce i...
Grace!
— Dokąd poszły?
— Nie mam pojęcia. Szlag by to trafił!

12.24

Zbiegł ze schodów jeszcze szybciej, niż po nich wbiegł. Zdyszany wsiadł na motor i ruszył w stronę stacji kolejki linowej.

Jego obawy okazały się uzasadnione: Grace przyszła po Juliette, żeby ją ze sobą zabrać. Z dłońmi kurczowo zaciśniętymi na kierownicy jechał tak szybko, jak mógł. Zrzucił płaszcz i teraz polarny chłód przenikał go do szpiku kości. Płatki śniegu przyczepiały się do włosów i wirowały przed oczami. Raczej domyślał się, gdzie jest droga, niż ją widział.

12.25

Objechał Central Park od północy, następnie ruszył Piątą Aleją. Kiedy minął MOMA5, cofnął się, żeby pojechać ulicą, która wydała mu się skrótem, a w rzeczywistości była ulicą jednokierunkową. Zjechał w dół kilkadziesiąt metrów pod prąd, parokrotnie wjeżdżał na chodnik przy wtórze klaksonów i wyzwisk kierowców, po czym kontynuował szaleńczą jazdę.

Jezdnia była śliska jak lodowisko i strach oblatywał go na myśl o konieczności hamowania.

12.26

Stową na godzinę wjechał na Grand Army Plaża. Zachwiał się z powodu silnego wiatru, ale jakoś zdołał utrzymać równowagę. Jeden z policyjnych samochodów ruszył za nim w pościg, lecz on nie miał zamiaru się zatrzymać. Był już prawie na miejscu. Ledwo skręcił na wschód na wysokości Trump Tower, kiedy na miasto posypał się grad. W niecałą minutę masa lodu pokryła jezdnię, grad obijał karoserie, rozbijał szyby samochodów i uszkadzał latarnie i witryny sklepowe.

W mgnieniu oka ulica zamieniła się w ślizgawkę i w tych ekstremalnych warunkach motor nie wytrzymał. Kiedy Sam próbował zahamować, pojazd wpadł w poślizg, sunął jeszcze kilka metrów, po czym uderzył w stojący samochód.

12.27

Sam podniósł się.

Spodnie były rozdarte, łokieć zakrwawiony, a wcześniej odniesiona rana wściekle bolała. Mógł jednak chodzić. Zostawił więc motor na chodniku i ostatnie sto metrów przebiegł tak szybko, jak pozwalała na to zwichnięta noga.

12.28

Sam dotarł do stacji kolejki linowej na skrzyżowaniu Drugiej Alei i Sześćdziesiątej Ulicy.

Zwykle kolejka łączyła drogą powietrzną Manhattan z Roosevelt Island przez sam środek East River. Teraz jednak, z powodu burzy, wokół platformy rozciągnięto linę zabezpieczającą opatrzoną dużą żółtą tablicą z trupią czaszką.

Tymczasem ostatni wagonik kolejki był gotów do opuszczenia stacji i przebycia trasy bez pasażerów. Tylko że wcale nie był pusty...

12.29

Z miejsca, w którym stał, Sam widział wyraźnie sylwetki dwóch osób.

— Juliette! Grace! — krzyknął, zbliżając się do podestu.

Było jednak za późno. Automatyczne drzwiczki zamknęły się i wagonik zaczął nabierać wysokości.

— Trzeba zatrzymać tę kabinę — wrzasnął, przekrzykując huk wiatru i padającego gradu. Ale nikt go nie usłyszał.

W poczuciu bezsilności padł na kolana, nie spuszczać oczu z jadącego w górę wagonika...

Po błyskawicach następowały grzmoty. Co dziwniejsze, grad mieszał się z padającym śniegiem.

Wagonik minął East Side, żeby wznieść się siedemdziesiąt metrów nad siedzibę Organizacji Narodów Zjednoczonych.

Serce Sama waliło jak oszalałe, ale przez moment próbował jeszcze chwycić się nadziei. A jeśli Grace to wszystko zmyśliła? Dlaczego miałyby zdarzyć się ten wypadek? To bez sensu. Nikt nie może znać przyszłości. Z pewnością nic się nie wydarzy...

12.30

Właśnie zmagął się z tymi myślami, kiedy wagonikiem wstrząsnął potężny podmuch wiatru. Kabina wypięła się z kabli nośnych, ześliznęła kilka metrów w dół, po czym z hukiem uderzyła w jedną z podpór.

W powietrze buchnął snop iskier. Lampy w kabinie zaskwierczały i zgasły. Przez parę sekund wydawało się, że wagonik zastygł w bezruchu, ale po ponownym podmuchu wiatru zerwał się i wpadł do rzeki.

Świat jest tylko mostem. Przekrocz go, ale nie buduj na nim swojego domostwa.

Henn, Apokryfy, 35

Padający bez przerwy śnieg dusił miasto pod perłowo-białą kapą.

Sam wędrował ulicami, zgięty pod ciężarem wyrzutów sumienia i poczucia winy. Znowu nie udało mu się uratować kobiety, którą kochał. I tym razem nie miał już nic na swoje usprawiedliwienie.

Śmierć nie nadeszła przez zaskoczenie i miał mnóstwo czasu, żeby patrzeć, jak się zbliża.

Wlokąc się Park Avenue, zobaczył swoje odbicie w jednej z wystaw i to, co ujrzał, przeraziło go: spodnie były wystrzępione, koszula poplamiona krwią, a zsiniała z zimna twarz wyglądała jak blada maska.

Drżąc, szedł dalej swoją drogą krzyżową i nieustannie myślał o wieczorze, kiedy to przyglądając się rysunkom Angeli, odkrył w nich ostrzeżenie: „Grace mówi prawdę”.

Było oczywiste, że Grace mówiła prawdę: nie odejdzie stąd bez Juliette. I słowa dotrzymała.

Śnieżyca i chłód wyludniły ulice. Sam zdał sobie spra-

wę, że na tej nieskazitelnie białej przestrzeni zostawia ślady krwi, i postanowił obejrzeć swoją ranę. Kiedy spadł z motoru, jego ręka nadziała się na metalową końcówkę podpórki na stopę. W pierwszej chwili wziął to za draśnięcie, okazało się jednak, że mięsień jest głęboko rozdarty, aż do kości. Nie przejął się tym jednak. Czuł w sobie wielką pustkę. Wiedział, że nie podniesie się po tym doświadczeniu i że już nic nie trzyma go na tej ziemi.

Przy Union Square minął małą francuską kafejkę, do której przyprowadził Juliette tamtego ranka po ich pierwszej miłosnej nocy. W tym staromodnym miejscu żartowali i zajadali tartinki. Wtedy właśnie poczuł, że naprawdę się zakochał.

Patrząc, cjak Juliette się śmieje i nuci stare piosenki, nabrał pewności, że to ona: kobieta, przy której pragnie przeżyć całe życie. Że jest tą, która się nim zaopiekuje. Jakby niebo zesłało mu anioła, który przerwie jego udękę.

Kiedy przypomniiał sobie tamten pełen szczęścia weekend, ogarnęła go fala smutku. Dlaczego los, który pozwolił mu to wszystko poznać, wystawia go teraz na tak okrutną próbę?

Wiedział jednak doskonale, że nie uzyska odpowiedzi na to pytanie. Wyczerpany i pokonany złożył więc broń.

Upadł w śnieg o kilka metrów od swojego domu i nie starał się nawet podnieść. Był teraz bardziej martwy niż żywy.

Jak długo tak leżał? Bardzo długo...

Tak długo, aż ujrzał ją na końcu ulicy, przezroczystą i nierealną. Juliette.

Najpierw zrobiła parę kroków, przedzierając się przez zasłonę z wirujących płatków śniegu. Potem zobaczył, jak biegnie w jego stronę.

Jak anioł zesłany z nieba, który przerwie jego udrękę...

Epilog

Następnego dnia...

Burza śnieżna szalejąca nad miastem przez ponad dwadzieścia cztery godziny skończyła się tak samo nagle, jak zaczęła. Mgła się podniosła i za szeregiem wieżowców wystrzeliły promienie popołudniowego słońca.

W całym Nowym Jorku życie wracało do normy. Pług śnieżny oczyszczały ulice, ludzie uzbroili się w łopaty, żeby odgarnąć śnieg sprzed domów, a kilkoro dzieci wyciągnęło snowboardy.

Nie wiadomo skąd nad Midtown pojawił się jakiś ptak o srebrnym upierzeniu. Jak strzała przeleciał przez pomarańczową poświatę spowijającą biurowce, potem przysiadł na parapecie jednego z okien szpitala Świętego Mateusza.

Tam, w sali numer sześćset sześć spał Sam. Leżał na łóżku z nogą w gipsie i grubym opatrunkiem na ramieniu. Obok, wtulona w fotel Juliette wsłuchiwała się czujnie w jego oddech. Kiedy się obudził, w radiu stojącym na nocnym stoliku powtarzano monotennie ostatnie wiadomości.

...gwałtowna burza, która zdewastowała Manhattan, uspokoiła się i miasto odzyskuje spokój. Szacuje się, że szkody mogą być znaczne: w Central Parku setki drzew zostały ogołoczone z gałęzi, a na ulicach pełno jest potłuczonego szkła i mnóstwo porozbijanych samochodów...

Przez parę minut Sam poddawał się kołysance tych słów. Kiedy wreszcie otworzył oczy, ujrzał uśmiechającą się do niego Juliette.

Targany niepokojem i nadzieją uniósł się na łokciach, nie bardzo jeszcze rozumiejąc, co się dzieje. Juliette dotknęła dłonią jego policzka i pochyliła się, muskając ustami jego wargi.

W tle słychać było dalszy ciąg wiadomości:

...służby ratownicze miały przez cały dzień pełne ręce roboty, a szpitale szturmowały tłumy...

W głowie Sama kłębiły się pytania: — Nie wsiadłaś do kolejki? Juliette pokręciła głową.

Sam poczuł ulgę, ale nadal czegoś nie rozumiał. Był pewny, że widział w kabinie dwie sylwetki. Jeśli Grace odeszła bez Juliette, kto w takim razie wsiadł z nią do kolejki?

Odpowiedź nadeszła na falach radiowych:

...po wczorajszym tragicznym wypadku kolejka linowa na Roosevelt Island będzie nieczynna przez wiele tygodni, żeby umożliwić jej naprawę. Zdaniem świadków w chwili wypadku w kabinie znajdowały się dwie

osoby. Płetwonurkowie w dalszym ciągu przeczesują dno rzeki, ale dotychczas nie wyłowili żadnego ciała. Kabinę podniesiono, ale wewnątrz znaleziono jedynie dwie odznaki policyjne. Pierwsza należała do oficera Marka Rutellego z dwudziestego pierwszego okręgu, a druga — ponoć do jednej z agentek nieżyjącej od dziesięciu lat...

Sam nie mógł ukryć smutku. Tak więc w ostatnim geście miłości Rutelli postanowił towarzyszyć Grace w podróży po śmierć. Juliette wzięła go za rękę i spytała:

— Chodzi o Grace Costello, prawda? Sam spojrzał na nią zdziwiony.

— Skąd wiesz?

— Bo przyszła zobaczyć się ze mną, kiedy byłam u Colleen, i zostawiła dla ciebie list.

Sięgnęła do nocnego stolika po kopertę. Wyjęła list i mu go podała.

Sam,

Kiedy dziesięć lat temu nasze drogi się spotkały po raz pierwszy, wszystko zakończyło się straszliwym dramatem. Jednak nie jest pan za to odpowiedzialny, Sam. Lubię nawet myśleć, że w innych okolicznościach moglibyśmy zostać przyjaciółmi.

Dziękuję za to, że zerwał pan zasłonę zawieszoną nad tajemnicą mojej śmierci. Teraz znam odpowiedź na pytania, które mnie dręczyły.

Natomiast nie mam żadnej pewności, jeśli chodzi o głębszy sens mojej misji. A jeśli od samego początku myliłam się co do tego, czego ode mnie oczekiwano? Czy naprawdę chciano, żebym zabrała z sobą Juliette,

czy też wysłano mnie, żebym uratowała swoją córkę i zawarła pokój z panem? Nie mam pojęcia.

Wiem natomiast jedno: nie zabiorę panu ukochanej kobiety.

Jeśli czasem zdarzy się panu o mnie pomyśleć, niech pan to zrobi bez żalu i poczucia winy. Proszę sobie powiedzieć, że może jestem gdzieś niedaleko, i zbytnio się o mnie nie martwić.

Natomiast w jednej z sal pańskiego szpitala leży pewna piętnastolatka, która nie miała łatwego życia. Ma ciało dorosłej kobiety, ale to jeszcze mała dziewczynka. Jest dla mnie tym, co mam najdroższego na świecie. Raz już pan ją uratował; ona nadal potrzebuje pańskiej pomocy i pańskiego zaufania. Bardzo proszę, żeby pan nad nią czuwał.

No, czas leci i muszę iść.

Nie wiem, co znajdę po drugiej stronie ani jakie będą konsekwencje moich czynów. Nie ukrywam, że trochę się boję. Jednak w chwili odejścia myślę, że pozostawiono mi wybór. Posłuchałam swojego serca i ono podpowiedziało mi, żebym zostawiła panu Juliette.

Czy miałam prawo do takiej decyzji? Nie mam bladego pojęcia, ale to bez znaczenia... ..w końcu niebo może poczekać.

Grace

Podziękowania

Dla Suzy.

Dla moich rodziców i braci.

Dla wszystkich czytelników książki *Potem...*, którzy ustnie lub listownie okazali swoje zainteresowanie tą historią.

Dla Bernarda Fixota, Edith Leblond i Caroline Lepee.

Praca z wami jest dla mnie zaszczytem.